Dziewczynka z zapałkami

Piotr Myśliwiec

Dziewczynka z zapałkami

Łódź 2012

REDAKCJA I KOREKTA
Izabela Wiercińska
Magdalena Michalak
Anna Torbicka
Liwia Purgał

OPRACOWANIE GRAFICZNE, TYPOGRAFIA
Liwia Purgał

SKŁAD
Artur Nowakowski

© Copyright by Piotr Myśliwiec, 2012

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, rozpowszechnianie publikacji, przechowywanie jej w pamięci komputera, przesyłanie drogą elektroniczną lub mechaniczną oraz powielanie tylko za zgodą wydawcy i osób posiadających prawa autorskie.

Wydanie II (poprawione)
Łódź 2012
FUNDACJA „DZIEWCZYNKA Z ZAPAŁKAMI”
ul. Gdańska 29, 90-715 Łódź
www.dzz.org.pl, e-mail: fundzz@gmail.com
nr konta:
Bank Pocztowy S.A. O/Łódź
63 1320 144926334 96120000001

Spis treści

Wstęp 7

Dziesięć dni bez jedzenia, pierwszy dzień 13

Piątek, dzień pierwszy 25

Afera medialna 27

Sobota, drugi dzień 35

Płaczący pies 39

Niedziela, trzeci dzień 43

Dziewczynka z zapałkami wyrusza w swoją wędrówkę 51

Poniedziałek, czwarty dzień 63

Inwazja jogurtowa 67

Wtorek, piąty dzień 81

Warszawa płacze nad losem dziewczynki z zapałkami 89

Środa, szósty dzień 105

Afera podsłuchowa 111

Zakończenie 129

Kryzys coraz bardziej dokucza 132

Jak można pomóc 133

Nagroda 138

Wstęp

Zapraszam Cię do przeczytania tej książki. Tego, co tu jest napisane, informacji tu zawartych, nie uzyskasz i nie dowiesz się w żadnym radiu czy telewizji, nie przeczytasz w żadnej gazecie.

W 1998 r. powstał projekt o skromnej nazwie „Dziewczynka z zapałkami". Projekt po 13 latach przyjął rozmiary ogromne. Wiele osób, które nas odwiedzają ma wyobrażenie o Fundacji jak o malutkiej instytucji z jednym biurkiem i trzema pracownikami. Są bardzo zaskoczeni, widząc ogrom działań i ilość ludzi, którzy tu pracują.

Jak to możliwe, że pracowało przy owym projekcie tysiące osób?

Po dwóch latach od powstania projektu została zarejestrowana Fundacja o tej samej nazwie „Dziewczynka z zapałkami", celem jej jest pomoc tym najsłabszym dzieciom, pokrzywdzonym przez los.

Fundacja w bardzo krótkim czasie dotarła do około 300 miast w kraju, gdzie udało się zorganizować pomoc dla tysięcy dzieci. Tylko w latach 2009 i 2010 zorganizowała prawie 4000 imprez, zajęć i akcji na rzecz dzieci, w których brało udział skromnie licząc ponad dwadzieścia tysięcy dzieciaków.

Chcesz dowiedzieć się jak bez pieniędzy a nawet przy zadłużeniu udało się Fundacji zabrać na wakacje i ferie zimowe tysiące dzieci?

Jak udało się zaangażować do projektu międzynarodowy zespół ludzi z Brazylii, Japonii, Chin, Tajwanu, Kolumbii, Stanów Zjednoczonych Ameryk, Rosji, Francji, Niemiec i wielu innych krajów.

Kto stoi za tak popularnymi dzisiaj akcjami pomoc zbierania żywności tak bardzo popularnymi w kraju. Dowiesz się z tej książki. Ile trzeba przejść i z jakimi przeciwnościami losu trzeba się zmagać by móc pomagać dzieciom w Fundacji, wydawałoby się łatwej, lekkiej i przyjemnej pracy.

Kolejny już raz Fundacji grozi bankructwo. Postanowiłem opisać w tej książce moją przygodę i walkę z przeciwnościami losu, by znowu ktoś nie powiedział - zostaliśmy oszukani - nachapali się pieniędzy i uciekli. Chcę pokazać, jak ogromną ilość poświęcenia i wiary trzeba wykrzesać z siebie, aby przetrwać w tej współczesnej dżungli XXI wieku.

Poprosiłem osoby, które pomagały mi przy korekcie tej książki i jako pierwsze poznały jej treść, by zaopiniowały tę pracę. Poniżej, za zgodą tychże, osób umieszczam te opinie.

Książka jest napisana językiem żywym, potocznym, wydobywanym na bieżąco z pamięci. Uważam, że taki język jest dobry, bo świetnie się go czyta; jest zrozumiały i przekonujący.

IZABELA WIERCIŃSKA

Nie zdajemy sobie sprawy z tego, że wokół nas toczy się nieustająca wojna. Po jednej stronie barykady jest bezduszna machina urzędnicza z oddziałami swoich żołnierzy i popleczników, a po drugiej — ubogie dzieciaki i ludzie, którym ich los nie jest obojętny.
Piotr Myśliwiec w bardzo osobisty sposób ukazuje kulisy walki o przetrwanie swojej Fundacji, otwiera nam oczy na fakty, o których wolelibyśmy nie wiedzieć.
Jego książka nie pozwala pozostać obojętnym.
Jeśli ją przeczytasz, będziesz musiał opowiedzieć się po jednej ze stron.

BARBARA JUSZCZYK

Książka, którą Państwo czytają, jest zbiorem kilkunastu opowiadań, będących próbą przybliżenia historii Fundacji „Dziewczynka z zapałkami". Autor odtwarza w swej pamięci wydarzenia, miejsca i postaci, które miały wpływ na powstanie i rozwój utworzonej z jego inicjatywy organizacji charytatywnej, stawiającej sobie za cel pomoc i wsparcie dzieci z najuboższych rodzin. Zaletą publikacji jest jej felietonowy charakter, który sprawia, że tekst jest lekki w formie i nosi wyraźne znamiona indywidualnego stylu autora. Z jednej strony, książkę tę można traktować jako wskazówkę dla osób rozpoczynających podobną działalność; z drugiej zaś, jako swego rodzaju kronikę i zapis najważniejszych wydarzeń z kilkunastoletniej historii „Dziewczynki z zapałkami".

MAGDALENA MICHALAK

Dziewczynka z zapałkami i jej odsłony" — tak zatytułowałabym tę książkę. Czytałam ją z ogromnym zainteresowaniem. Sądzę, że autor stworzył w niej swoisty klimat, dzięki czemu czyta się ją z zainteresowaniem. Powiedziałabym, że czyta się ją lekko, ale z pewnością treści w niej poruszone lekkie nie są. Czasem są trudne. Zwłaszcza dla tych, którzy starają się pomóc dziewczynce z zapałkami, tej dziewczynce, którą każdy z nas spotyka codziennie w swoim życiu, ale nie codziennie ją dostrzega.

ANNA TORBICKA,
pedagog społeczny w zakresie pracy opiekuńczej i socjalno-wychowawczej

Niezłe jest, czyta się to szybciej niż Harrego Pottera
KAROLINA GOGULSKA

Wezwanie o pomoc dla dziewczynki z zapałkami

Około 200 lat temu w małym Skandynawskim miasteczku urodził się człowiek, który po dziś dzień wywiera wpływ na życie, bez mała każdego z nas, Baśnie które napisał przetrwały po dziś dzień są żywe pomimo upływu lat i znane w wielu krajach świata. Jedna z tych baśni w szczególny sposób zmieniła życie wielu ludzi w tym dzieci, literacka fikcja Duńczyka Hansa Christiana Andersena bo o nim tutaj mowa stała się rzeczywistością.

15 lat temu powstała inicjatywa pomocy dzieciom biednym pod hasłem i symbolem „dziewczynki z zapałkami".

Projekt ten po różnych perypetiach zaczął się bardzo dynamicznie rozwijać, dotarł do tysięcy dzieci, które w różnych formach otrzymały pomoc coś jednak się wydarzyło, że określany prze wielu jako jeden z najlepszych projektów i pomysłów na pomoc dzieciom zagrożony jest upadkiem.

Pomóż przetrwać „dziewczynce z zapałkami".

W załączeniu pierwsza książka opisująca zdarzenia związane z tą zadziwiającą i niezwykłą sprawą.

„Dziewczynka z zapałkami" wzywa i prosi cię o pomoc - nie pozwólmy jej zamarznąć.

...Iskrzył się straszny mróz na dworze, śnieg padał i już się dobrze ściemniać zaczynało, a był to ostatni wieczór roku starego — wigilia Nowego Roku! Na takie zimno i wśród ciemności, z gołą główką i boso, mała dziewczynka po ulicach błądziła. Wychodząc z domu, włożyła co prawda pantofle, ale na cóż jej się zdać mogły stare, rozdeptane papcie, w których jeszcze jej matka chodziła, takie wielkie były, a i te jeszcze biedactwo zgubiło, uciekając co tchu przez ulicę przed dwoma pojazdami, pędzącymi co koń wyskoczy. Poszła tedy dalej, biedaczka, boso, a nóżki aż jej zsiniały od mrozu. W starym fartuchu niosła mnóstwo zapałek i jedną paczkę w rączce trzymała.

Przez cały dzień nikt nic od niej nie kupił, nikt ani grosika jej nie dał; głodna i zziębnięta błąkała się po ciemnych ulicach, ale jaką, biedactwo, miała minę żałosną! Śnieg wielkimi płatami padał na jej długie, złote włosy, które się w śliczne loki na plecach zwijały.

W kątku, pomiędzy dwiema kamienicami, z których jedna występowała na ulicę, przykucnęła na ziemi, skostniałe nóżki pod kusą sukienkę schowała, ale to nic nie pomogło, jeszcze jej zimniej było, a do domu iść nie mogła; nie sprzedała przecież ani jednej zapałki, ani jednej jałmużny nie dostała! Ojciec zbiłby ją, a zresztą w domu było równie zimno: bo tylko dach dziurawy mieli nad głową, dach, przez który wicher dmuchał i wył, pomimo że wszystkie otwory słomą i starymi gałganami starannie pozatykano.

Ach! Jedna malutka zapałka, jakżeby jej dobrze zrobiła. Gdyby jedną, jedyną mogła wyciągnąć z paczki, potrzeć o mur, i przy świetle jej rozgrzać sobie palce! Odważyła się na to: trzask!...

Dziesięć dni bez jedzenia, początek

23 marca 2011

Hania zaprosiła mnie na randkę.

— Słuchaj Piotr, a propos czasu, który mamy tylko dla siebie, a praktycznie go nie mamy, to zarezerwuj sobie dla mnie czwartkowy wieczór, tak od godziny dziewiętnastej do dwudziestej pierwszej.

— Będzie jakaś niespodzianka? – pytam.

— No, coś będzie — odpowiedziała Hania.

Jestem z Hanią już dwa lata, ale nasze wspólne życie wygląda raczej nietypowo. Praktycznie razem pracujemy całe dnie — od rana do wieczora. Jesteśmy obok siebie, ale często nie mamy czasu nawet ze sobą porozmawiać. Najlepszą do tego okazją jest nasza droga z pracy do domu. Jedziemy w tym samym kierunku. Ona jedzie trochę dalej, do miasta oddalonego od Łodzi trzydzieści kilometrów. Ja wysiadam mniej więcej po środku tej trasy, w mieście położonym po drodze. Idziemy razem na przystanek. Czekamy na autobus do kilkunastu minut i razem jedziemy jakieś pół godziny; wygląda to jak randka w drodze. W weekendy czas raczej też spędzamy osobno - ona lubi być ze swoją rodziną, a ja ze swoją. Lubię posiedzieć z mamą i ze zwierzakami. W tygodniu nie ma kiedy uraczyć się rodzinnym towarzystwem, więc chyba zgodnie z naturalnymi potrzebami nadrabiamy te zaległości po prostu w weekendy.

No fajnie, w czwartek wieczór randka. Niestety, chyba do końca niespodzianka się nie udała. W pracy nasze pokoje biurowe są przejściowe. Gdy około godziny siedemnastej szedłem do magazynku, przechodziłem obok biurka Hani. Siedziało tam kilka osób i rozmawiało. Wracając z magazynku dosyć wolnym krokiem, usłyszałem: „Piotr nie chodzi w ogóle do kina i chciałabym go zabrać". Akurat na koniec tych słów wszedłem do pokoju, gdzie siedzieli. Hania załamała ręce. Wszyscy aż

się zachłysnęli, a ja — co miałem zrobić — zamknąłem oczy, przyspieszyłem kroku, aby opuścić ten pokój jak najszybciej i powtarzałem cały czas, jakby mi się zacięła płyta: „Ja nic nie słyszałem, ja nic nie słyszałem" tylko to przychodziło mi wtedy do głowy. Bardzo nie chciałem jej popsuć niespodzianki, którą tak skrupulatnie przygotowała. Za chwilę spotkaliśmy się w kuchni i od razu zacząłem ją przekonywać, że nic nie słyszałem, ale koniec końców i tak przecież nie wiedziałem, do jakiego kina idziemy i na jaki film. Tak, niespodzianka cały czas była.

Godzina filmu przesunęła się na dwudziestą, wyszliśmy więc troszkę później. Przed dwudziestą, mijając ulicę Piotrkowską, doszliśmy do filharmonii. Już wiedziałem, że będzie to kino, które bardzo lubię, mianowicie Bałtyk, mieści się on na tyłach wspomnianego pięknego budynku. Kiedyś to było kino numer jeden w Łodzi. Choć nie chodzę do kin od lat, to i tak dla mnie pozostał numerem pierwszym. No, może nie jestem obiektywny – nie byłem ani razu w multipleksach, a są w Łodzi dwa. Pierwsze, jakie powstało to Silverscreen, drugie zaś przy kompleksie handlowo-rozrywkowym Manufaktura — Cinema City z salą 3D Imax.

Stoimy przed kinem, jest jeszcze trochę czasu, ale widzę, że grupki starszych ludzi podążają w kierunku wejścia kinowego. No i to zdradziło ostatnią część przygotowanego jakby nie patrzeć prezentu. Już wiedziałem, które kino, ale nie wiedziałem jeszcze jaki film. Mówię:

– Hania, wiesz co, jak widzę tych starszych ludzi idących w stronę kina, to już chyba wiem, na jaki film idziemy.

Uśmialiśmy się oboje zdrowo z tej sytuacji i skierowaliśmy za wędrującą starszą i młodszą gawiedzią w stronę drzwi wejściowych kina. W holu zaczęło się gromadzić coraz więcej ludzi. Spotkaliśmy kilku znajomych, również z pracy. Był to — okazało się — specjalny seans zamknięty, wykupiony dla jednej z łódzkich wspólnot kościelnych, a zaprosiła nas na niego nasza koleżanka z pracy. Opłata jednak była, ale tylko symboliczna. Jak się domyśliłem, mieliśmy oglądać najnowszy dokumentalny film o naszym Papieżu Polaku. Bardzo ciekawy zbieg okoliczności: jakiś tydzień, dwa wcześniej rozmawialiśmy sobie z Hanią, czy nie poszlibyśmy na jakiś film do kina. Powiedziałem jej wtedy, że jeśli miałbym iść z ochotą na jakiś dobry film, to musiałby to być najnowszy film o Papieżu i najchętniej obejrzałbym go w Bałtyku. Trzask i stało się, jakbym wypowiedział zaklęcie. Raptem minęła chwila i już siedzieliśmy w miękkich fotelach przed ogromnym ekranem.

Film przypomniał mi postać tego wielkiego i niezwykłego człowieka, który tak zmienił otaczającą nas rzeczywistość i ten świat. Te niewyobrażalne zmiany geopolityczne, upadek Układu Warszawskiego, Okrągły Stół, pierwsze demokratyczne wybory, pierwszy demokratycznie wybrany rząd i prezydent, runięcie muru berlińskiego. A i tak przecież powyższe zdanie nie oddaje lat walki, przemian i ofiar uwieńczonych sukcesem. „Udało się" — jak to niektórzy mówią. Zostaliśmy wyzwoleni spod wpływów Moskwy. Zdecydowaliśmy o swoim losie. Oczywiście, w naturalny sposób połączyliśmy się z krajami starej demokratycznej Europy. Zostaliśmy przyjęci w skład krajów Unii Europejskiej. Dołączyliśmy do nowego układu wojskowego, broniącego również interesów zjednoczonych państw europejskich. Podpisaliśmy umowę z Schengen o bezgranicznym ruchu turystycznym. Coś wręcz niewyobrażalnego, nawet za mało realne, żeby o tym marzyć w tamtych dawnych czasach. Ale stało się. To nie sen, to wszystko się stało. Jesteśmy wolnym, demokratycznym krajem. Możemy podróżować po świecie, a na przejawy tyranii czy prześladowań w niektórych krajach świata patrzymy już z dystansem. Młodzi ludzie, nowe pokolenie dwudziestolatków nawet za bardzo nie potrafi zrozumieć, o co kiedyś chodziło tamtemu starszemu pokoleniu, które walczyło na ulicach miast. To historyczne wezwanie Ojca Świętego w czasie pierwszej pielgrzymki: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi!" wypowiedziane kilka razy drgają w nas jeszcze do dziś. A Duch, chciałoby się powiedzieć, zstąpił, odnowił i przemienił nasze serca oraz dusze. Jak wszyscy w tamtych czasach byłem pod ogromnym działaniem tej siły, która wręcz promieniowała z tego człowieka, Papieża Watykanu — Papieża Polaka. W filmie pokazano, że Papież poruszał nie tylko nas, tu w Polsce, gdzie nie istniała bariera języka. On poruszał wiele innych narodów tego świata. Tak jak nas, tak i wiele innych krajów przemieniał. Odmieniał umysły ludzi o różnych kolorach skóry, mówiących różnymi językami, a nawet innych wyznań. Był to autentyczny, żywy fenomen i żywe świadectwo Boga na ziemi. Cud, który wyraził się potem w kanonizacji.

Film skończył się po dwudziestej drugiej. Powoli, spacerem minęliśmy już pustą Pietrynę (Piotrkowską — główną ulicę Łodzi) i udaliśmy się do naszego drugiego domu, jakim jest dla nas Fundacja. Mamy tutaj warunki domowe – kuchnię, łazienkę, skromne, ale wygodne spanie, własną pościel, w którą zaopatrywaliśmy się w sklepach z używaną

odzieżą. Położyliśmy się spać. Za dużo nie rozmawialiśmy, ale ja zbyt szybko nie usnąłem. Myśli biegały mi po głowie. Myślałem o filmie, o Papieżu, o tym, jak jeden człowiek może zmienić świat. Myślałem o sobie, o swoim przeznaczeniu, o „Dziewczynce z zapałkami", którą przyszło mi się opiekować i trudnościach, jakie napotykam na swojej drodze w wykonywaniu tego zadania. Przez trzynaście lat swojej misji kilka razy nosiłem się z zamiarem rozwiązania Fundacji — nie ze swojego powodu, lecz z powodu okoliczności, w jakich się znalazła. Najczęściej były to długi, komornicy. Pomyślicie: „No tak, pożyczyli pewnie jakieś pieniądze i nie oddali. Jak tak można? „Do bani" z taką organizacją". Ale nic w tym rodzaju.

Działamy już 12 lat. Od pewnego momentu Fundacja ze swą pomocą zaczęła docierać do dzieci w bardzo wielu miastach Polski. Projekt i biuro Fundacji rosły jak na dobrych drożdżach; pomimo niezliczonych trudności spowodowanych przez, nieżyczliwość ludzką czasami też niestety urzędników i głupotę, która jak wiecie podąża za nami całe życie i czeka tylko, aby nam coś spsocić. Będę pisał o tym więcej, ale proszę o cierpliwość. Kilkakrotnie budowałem zespół, który z powodu braku funduszy rozpadał się. Trzeba było wciąż od początku go tworzyć, podobnie jak Syzyf wtaczał swój kamień pod górę. Są to niewyobrażalne koszty. Ten scenariusz powtarzał się kilkakrotnie. No i kwestia długów... Teoretycznie Fundacja jest zwolniona z podatków, ale przy zatrudnieniu pracowników trzeba odprowadzić zgodnie z przepisami podatek od ich zarobku, tak zwany PIT-4 i opłacić składki Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. No i tu zaczyna się problem. Jeśli masz pieniądze - pokrywasz koszty opłat: czynszu, telefonów, energii elektrycznej i inne. Wypłacasz wynagrodzenia, przekazujesz jak najwięcej pieniędzy na pomoc dzieciom i to możliwie jak najwięcej, bo po to jest fundacja taka jak ta, aby pomagać. To raz. A dwa — musisz cały czas potwierdzać swoją wiarygodność.

No tak, ale w jakimś kolejnym miesiącu już brakowało na Urząd Skarbowy i Zakład Ubezpieczeń Społecznych. Myślisz sobie: „To nic, następny miesiąc będzie lepszy. Zrobimy coś nowego. Uda się zdobyć więcej pieniędzy i zapłacimy". Okazuje się, że w następnym miesiącu jest to samo albo jeszcze gorzej... i teraz już wiesz, skąd się wzięli komornicy, którzy drepcą pod drzwiami Fundacji.

Na szczęście przyszedł dzień, w którym poszło po myśli — spłaciliśmy zaległe opłaty, naszych „kochanych" komorników niestety łączne

z odsetkami i to czasami nie małymi w Polsce fundacje nie są z nich zwolnione. Super — też kilka razy tutaj to przeżyłem. Nie śpię, myślę, tyle pomysłów i zrealizowanych inicjatyw, obserwowanych i naśladowanych przez innych. Ile razy w radiu, bądź telewizji słyszę, jak ktoś coś robi fajnego dla dzieci, jaki wspaniały pomysł ktoś zaczyna realizować. Ja siedzę i słucham z uśmiechem na twarzy. No tak tylko, że u nas działa to już od kilku lat. Ilu młodych ludzi wyszkoliliśmy, ilu z nich ma teraz wspaniałą pracę, realizuje się zawodowo a pierwsze szlify zdobywało u nas. Pamiętam, jak w rozmowach kwalifikacyjnych nie raz kandydaci narzekali, że tak ciężko po studiach o jakąkolwiek pracę: „Wszędzie chcą zatrudniać ludzi doświadczonych, a jak ktoś nie ma tego doświadczenia to niestety pracy nie ma. Gdzie to doświadczenie zdobyć?" – narzekali i tak koło się zamykało. Uśmiechałem się często i mówiłem: „No gdzie? Tu, w Fundacji „Dziewczynka z zapałkami". Szkoliliśmy, uczyliśmy, wychowywaliśmy. Jak ktoś okazał się dobry, to szybko znikał, dostawał pracę za dwa razy większe pieniądze. Fajnie, tylko co ma z tego „Dziewczynka z zapałkami"? Każda firma, podobnie instytucja, ponosi koszty wykształcenia i wyszkolenia kadry – jest to traktowane jako inwestycja w przyszłość takiej firmy czy instytucji. No tak, ale od nas ludzie odchodzą i nic nie jesteś w stanie zrobić. Płacimy najniższe stawki, w granicach minimalnej krajowej, czyli niewiele ponad tysiąc złotych — dotyczy to również mnie, prezesa Fundacji. Jeśli znajdzie się inny pracodawca, który zaoferuje zatrudnionej u nas osobie wynagrodzenie wyższe o sto czy dwieście złotych, nic się nie da zrobić. Ale ja rozumiem te osoby i cieszę się, że mogły trafić na mnie, na moją Fundację, gdzie miały możliwość postawienia pierwszych kroków w swej karierze zawodowej, otrzymały dobrą szkołę i wychowanie. Kiedyś może docenią, jak skorzystali i jak pomagała im „Dziewczynka z zapałkami". Poza tym warto zasiać dobre ziarno, które wyda dobre plony. Dobro raz wydane jest przekazywane z ręki do ręki i w takiej, czy innej postaci wraca do nas. Tak więc nie zraziłem się i szkoliłem ciągle tych naszych kandydatów do świata dorosłych. W taki sposób, co któraś osoba zostaje w biurze na dłużej.

Wszyscy pracownicy są dyspozycyjni, z nielicznymi wyjątkami. Organizujemy tysiące zajęć dla dzieci, co oznacza, że często jeździmy po całym kraju. Jeżeli – co niestety często się zdarza — opiekun czy animator nawali i czasem „za minutę dwunasta" powiadomi nas, że zachorował albo poda inny z dziesiątków powodów i wypowie nader częste

w takich sytuacjach zdanie: „Niestety, nie mogę jechać", ktoś z nas — pracowników biura — wstaje zza biurka, bierze plecak i wyrusza w świat zastąpić naszego chorego animatora. Jest to dodatkowe ograniczenie przy kompletowaniu zespołu w biurze. Nie każdy może tak wyjeżdżać. Powodów jest masa — to mąż nie pozwala, a to dzieci są małe albo nie ma kto się zwierzakami zająć, lub po prostu ktoś się boi i nie pojedzie. Ale pomimo tego udawało mi się zbudować zespoły, które radziły sobie z zadaniami i celem, jaki realizujemy. Jest to niewyobrażalny wkład pracy – całe dnie od rana do wieczora, świątek, piątek czy niedziela w pracy, zapominając co to znaczy urlop.

W ostatnim czasie, a dokładnie w roku 2010, łącznie było zatrudnionych w biurze i poza nim około sześciuset osób. W rzeczywistości oznacza to kilka razy więcej kandydatów głównie na animatorów zajęć z dziećmi, którzy odbyli szkolenie, ale z różnych powodów nie zostali, odchodząc dalej w szeroki świat w poszukiwaniu swojego szczęścia. Reasumując — przez biuro Fundacji przechodzi w ostatnim czasie parę tysięcy osób rocznie. Nasz fundacyjny statystyk Piotruś obliczył, że styczność z naszą Fundacją od momentu jej powstania miało już kilkaset tysięcy osób, nie wspominając tych, co kupili od nas zapałki. Licząc tych ostatnich - mogły być ich miliony. Pewnie coś w tym jest. Ostatnim razem, kiedy byłem z wizytą w banku, jedna z pań przy obsłudze klientów zawołała i prawie podskoczyła: „O, Fundacja „Dziewczynka z zapałkami"! Moja córka tam pracowała".

Od samego początku, pomysłem na zdobycie pieniędzy do realizowania celów Fundacji była sprzedaż zapałek i nie taka zwyczajna, tylko baśniowa. Czego to nie wymyślaliśmy, aby tę sprzedaż upowszechnić. Sprzedawaliśmy na ulicach, na rynkach, skwerach i starówkach miejskich. Ile rodzajów zapałek stworzyliśmy — trudno wyliczyć. Chyba największym hitem były i są wonne zapałki, które nasączone olejkami eterycznymi pachną jak choinki zapachowe. Takich nie ma nikt. Ale ile było zachodu, aby wkupić się w łaski dyrektorów sklepów, by nas wpuścili do centrów handlowych z naszymi zapałkami…

Organizowaliśmy występy, przedstawienia, festyny. Okazało się, że w sklepach ta działalność ma sens, tak więc tym bardziej stawaliśmy czasami na głowie, aby dostać pozwolenie na naszą baśniową sprzedaż. A jest to tak wrażliwa materia, że wystarczy jeden nieżyczliwy człowiek, który pójdzie do dyrektora sklepu, zrobi awanturę o to, że ktoś go zaczepiał, bo coś tam chciał od niego, aby współpraca się skoń-

czyła. W niektórych przypadkach dyrektor natychmiast przerywa akcję i wyprasza hostessy czy wolontariuszy za drzwi. Nie pomagają żadne argumenty, nawet wyjaśnienia, że przygotowanie i zorganizowanie akcji kosztuje czasem nie mało, Fundacja poniesie straty a tym samym dzieci. Pojedyncza osoba nie odzwierciedla opinii wszystkich klientów marketu, którzy w większości są nam życzliwi. Przeżywamy takie sytuacje dość często. A po jakimś czasie okazuje się, że był to ktoś z organizacji lokalnej, która za jakiś czas poprosi dyrektora o zgodę i ją otrzyma. Takie rzeczy zaczęły się dziać od niedawna, kiedy jeszcze kilka lat temu było to nie do pomyślenia. Zdarzało się też, że ktoś zastraszał hostessy. To też przeżyliśmy, ale o tym w kolejnych opowiadaniach.

Mógłby ktoś powiedzieć: „Fundacja — taka spokojna, pożyteczna, prowadzi swoją działalność nie wadzi nikomu i wszyscy są życzliwi. Komu to może przeszkadzać?". Ale na przekór wszystkim trudnościom udało się, przebiliśmy się i przetrwaliśmy. Mimo to, w 2008 roku znowu, jak kilka lat wcześniej, jedna z największych sieć marketów w Polsce zamknęła przed nami drzwi. Praktycznie od tego czasu projekt sprzedaży baśniowych zapałek zaczął się łamać. Na nasze usilne i wielokrotnie powtarzające się prośby, wreszcie odpowiedziano, dostaliśmy zgodę, jedno wejście przed Świętami Bożego Narodzenia w 2009 roku. Udało się, złapaliśmy głębszy oddech, cała maszyna aż zadudniła. Jednak na kolejne Święta zgody już nie było i tak do dziś.

Próbowaliśmy wszystkich możliwych argumentów, by zgodę otrzymać. W końcu pani w centrali firmy powiedziała mi, że oni teraz będą z inną fundacją organizować taką samą akcję jak my. To znaczy, że ze szkołami będą organizować wolontariat i tak dalej, po czym odłożyła słuchawkę. Co się dzieje? Mają naszą Fundację, która dobrze działa, ma pomysł, ma od lat sprawdzony projekt, jest lubiana w sklepach również przez dyrekcje sklepów i personel... No, ale coś się dzieje, w czymś tkwi problem? Czy Fundacja się komuś nie podoba? „No, tak — mógłby pomyśleć nasz rozmówca. A może po prostu, ktoś pomyślał — i tak decydujemy kogo wpuścimy do naszych sklepów, to z wiadomych sobie powodów, wybierzmy tego kogo chcemy a projekt na działalność sobie skopiujemy — oj nieładnie. Kto mógł wymyślić tak okrutny plan i jednym ruchem przekreślić wieloletni cudzy dorobek, krzywdząc tym samym inną organizację i inne dzieci i padło to na kogo — na samą „dziewczynki z zapałkami", symbolizującą najlepiej biedne dzieci, skazując ją tym samym na los jaki spotkał ją w baśni?

Skoncentrowaliśmy się na innych sklepach. Udało się, przetrwaliśmy następne dwa lata. Ale teraz nie można się oprzeć wrażeniu, że ktoś chce zablokować nasze główne źródło finansowania. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji chce zobowiązać zarządy firm supermarketów do rozliczania zbiórek publicznych, które odbywają się na ich terenie. Na marginesie, według ustawy o zbiórkach publicznych Ministerstwo może kontrolować tylko organizatorów zbiórki czyli fundację bądź stowarzyszenia, które tę zbiórkę organizują i z Ministerstwa otrzymują zgodę na zorganizowanie takiej akcji. Pierwszy „na tapetę" idzie Kaufland. Co robi zarząd w takiej sytuacji? Oczywiście, nie będzie kontrolował zbiórek na terenie swoich sklepów. Po prostu ich dyrektorzy otrzymali zakaz wpuszczania jakichkolwiek organizacji charytatywnych na swój teren. Jest to prawie 150 sklepów w całym kraju. Ze wszystkimi praktycznie pracowaliśmy i w każdym działaliśmy. Drugi w kolejności był Real — tutaj sprawy się dopiero ważą, ktoś ma rozliczać te akcje. Następny idzie Carrefour, podobnie jak w Kauflandzie – ścisły zakaz organizowania jakichkolwiek akcji charytatywnych. Świetnie, panowie urzędnicy! Razem około pięciuset sklepów zakazało akcji charytatywnych. Nie wiem, kto będzie następny, ale dla naszego biura to wystarczy. Biuro jest zorganizowane i przygotowane do ustawienia stu kilkudziesięciu akcji weekendowych na terenie kraju. Jak je teraz będziemy organizowali? Dzień, kiedy wszystko ma pójść po naszej myśli, wydaje się od nas oddalać coraz bardziej.

Prawdziwa wręcz ekwilibrystyka i żonglerka. Organizowanie akcji sprzedaży zapałek — nie wyobrażajcie sobie - wcale nie jest takie łatwe. Mamy zgody w marketach, to nie mamy dzieci — wolontariuszy albo odwrotnie: są dziesiątki, a nawet setki wolontariuszy w jakimś mieście, to nie ma zgody w markecie. Mamy w tej chwili na terenie całego kraju kilkanaście tysięcy dzieci, które współpracują z Fundacją — w centrach handlowych sprzedają zapałki, ale wyobraźcie sobie, jak trudno znaleźć teraz dzieciaki, które dzisiaj mają tak dużo rozrywek, że nie wiedzą, kiedy mają usiąść i odpocząć. Do tego telewizja, Internet i jeszcze rodzice pozapisują ich na kółka zainteresowań, języki obce, może jakiś sport nie wiadomo dosłownie w co ręce włożyć… Co powiecie dzieciakom? „Słuchaj, chodź na kilka godzin na wolontariat, pomożesz dziewczynce z zapałkami — biedniejszym kolegom. Wiesz, będzie fajnie!". Uwierzcie, to nie wystarczy. Trzeba naprawdę lat pracy, by zdobyć wolontariuszy. Pomyślicie: „No tak, na przykład Owsiak — guru

i ideał w świecie akcji charytatywnych w Polsce — ma dziesiątki tysięcy wolontariuszy i daje radę. Tak, tylko że Owsiak to machina medialna w którą zaangażowane są prawie wszystkie media, która funkcjonuje od prawie dwudziestu lat. Ktoś stwierdził, że jeśliby czas antenowy przeliczyć na pieniądze, to impreza Orkiestry byłaby najdroższa na świecie, tylko weźcie pod uwagę, że jest to jedno z największych show jak nie największe. Owsiakowi się jednak udało, choć były próby, by go stamtąd usunąć z tych mediów, które Go wypromowały i całe szczęście się nie powiodły. Niech „gra" dalej, do końca świata i o jeden dzień dłużej, czego mu serdecznie również życzymy".

A „Dziewczynka z zapałkami"? Nigdzie w radio o niej nie usłyszysz i w telewizji nie zobaczysz. W mediach nikt jej nie zna. Spotkałem się z tezą, że przy tego typu akcjach, jeśli nie ma cię w mediach, to nie ma cię w ogóle. Znajdź tu teraz wolontariuszy. Ale nie do końca tak jest jesteśmy żywym dowodem, że bez mediów też może się udać. Cud jakiś czy co? Żeby znaleźć wolontariuszy dotarliśmy do przeszło dwustu miast, a we wszystkich trzeba było się mocno, wręcz tytanicznie napracować, by je znaleźć. Mamy teraz tysiące dzieci, a tu zaczęły się kłopoty z pozwoleniami na akcje w marketach.

Od kilku lat mamy do czynienia z nowym zjawiskiem: znaleźli się „genialni" ludzie, którzy odeszli z Fundacji i wpadli na doskonały pomysł założenia podobnej, oczywiście o innej nazwie, ale robiącej dokładnie to, co my. Oznacza to, że realizują dokładnie nasz projekt. Fajnie, cieszymy się też pomagają. Ale coś jest nie tak, oni próbują przejąć wszystkie kontakty ze szkołami i nie tylko, kontakty, które otrzymali i zdobyli, pracując w naszej Fundacji, tym samym próbują usunąć nas z miejsc, w których działamy. Przypomina to trochę bezpardonową wojnę konkurencji, jak w zwykłym twardym biznesie a już zupełnie nie jest to chyba zgodne z moralnością i etyką, która wydaje się, powinna być fundamentem we wszelkich działaniach charytatywnych na rzecz innych ludzi a naszym przypadku dzieci. Zadaję sobie pytanie: „Po co?". I nie wiem, jakiej odpowiedzi użyć, gdyż nasuwa się niejedna. Powiem tak: „Ktoś inny, kosztem naszego ogromnego wysiłku i kilkunastoletniej pracy, chce na naszych barkach zbudować sukces i przypisać sobie zasługi innych. Co można powiedzieć o współpracowniku, który z premedytacją zawłaszcza kontakty stanowiące własność Fundacji i wykorzystuje je do własnych celów? W efekcie takich praktyk traci na tym Fundacja i — co za tym idzie — przede wszystkim dzieci. Nowo

powstałe organizacje zaczęły kupczyć i przepychać się w marketach, robić awantury. Czasami w markecie stoimy w trzy organizacje i biorąc pod uwagę koszty związane z przygotowaniem akcji nikt z tego nic nie ma, czy oni pomyśleli w ogóle o dzieciach. Dokąd oni zmierzają wybierając takie rozwiązania.

Teraz w tym ambarasie udaje nam się zorganizować osiemdziesiąt (plus minus dziesięć) imprez w najlepsze weekendy. Cały czas mówimy o naszej baśniowej sprzedaży zapałek w hipermarketach. Teraz jak zamknęły się przed nami Kauflandy i Carrefoury to koniec. Gdzie „Dziewczynka z zapałkami" będzie sprzedawać swoje zapałki? O ironio, dyrektorzy większości tych sklepów dają nam referencje i serdecznie nas zapraszają, a teraz nie mogą nas wpuścić, gdyż takie otrzymali polecenie od zarządu firmy, od swoich przełożonych. Gdyby nas wpuścili, zaryzykowaliby utratę pracy. W ostatniej długiej rozmowie z panią dyrektor jednego z hipermarketów dowiedziałem się, że pani bardzo chciałaby nas wpuścić, ale spodziewa się kontroli z centrali w piątek i w sobotę. Jeśli będzie owa kontrola, a my będziemy przy kasach to ona może stracić pracę, sytuacja jest wręcz dramatyczna. Poinformowałem, przypominając jeszcze raz tym firmom, że Fundacja ma pozwolenie na działalność gospodarczą, w tym sprzedaż baśniowych zapałek. Zaproponowałem, że moglibyśmy zawrzeć odpowiednią umowę i prowadzić nasze akcje dalej, gdyż Ministerstwo jedynie rozlicza podległe mu organizacje prowadzące zbiórki publiczne, a nie działalność gospodarczą, którą prowadzimy od początku powstania Fundacji.

Przeprowadziłem rozmowy. Poprosiłem zaprzyjaźnionych z Fundacją prawników o sporządzenie odpowiednich umów, wysłałem dokumenty z propozycją. Czekamy i czekamy — nic. Dzwonię, rozmawiam i dowiaduję się — nie ma zgody, a mija kolejny miesiąc i prawie pięćset sklepów stoi. Dzwonią szkoły, wolontariusze. Proszą nas o pieniądze na obiady, ubrania, wycieczki i zielone szkoły, a my zaczynamy tonąć w długach. Zaczynam znowu demontować zespół, znowu jestem zmuszony, kolejny raz, kolejny wieloletni wysiłek przygotowania zespołu na marne. Obecnie zatrudnionych w biurze jest około czterdziestu osób. Nie wiem, ile zostanie, może z połowa, a może nawet nie. Może z dziesięć, jak pięć lat temu. Och, gratulacje, nasi przyjaciele z Ministerstwa, wspaniale po prostu! W tyle projektów inwestujemy, tyle czasu poświęcamy nawet pomimo zadłużenia – jak zawsze to samo: ZUS i Urząd Skarbowy. Rozwijamy się, udaje się dużo zrobić — nasz baśnio-

wy zamek cały czas remontujemy i odnawiamy, nie mając jakichkolwiek dotacji. Znajduje się tu hostel dla dzieci, które przyjeżdżają do nas praktycznie cały rok. Najwięcej w ferie zimowe i wakacje. Świetlica, gdzie dzieci spędzają czas po szkole, odrabiają lekcje, bawią się i uczą języków obcych, po rocznej przerwie ma wystartować. Wstrzymaliśmy, niestety, jej działanie powód - również brak pieniędzy.

Najgorsze jest to, że i wakacje dla dzieci stoją pod znakiem zapytania, a przygotowujemy je nawet dla dwustu grup z kilkudziesięciu miast Polski. Robimy to co roku, od wielu lat. Wypoczynek jest bezpłatny. Dla wielu dzieci to jedyna okazja, aby gdzieś pojechać. Proszę Państwa, według moich szacunków — a mam na ten temat wiedzę popartą wieloletnim doświadczeniem — nie ma w Polsce drugiej tak działającej Fundacji, która potrafiła by zorganizować choć połowę naszych imprez. Zakaz wprowadzony w marketach to kilka milionów złotych, które mogłyby w różnych formach trafić do dzieci, a niestety nie trafiają. Gratulacje dla urzędników, bądź pracowników z MSWiA. Dziękujemy za pomoc.

Projekt, w którym bierzemy udział od 2009 roku i który obejmuje wymianę studentów z zagranicy, też stanie pod znakiem zapytania. Przyjeżdżają do nas studenci z całego świata: Japonii, Chin, Gruzji, Indonezji, Turcji, Egiptu, Bułgarii, Węgier, Brazylii i z innych krajów. Pracują z dziećmi, organizują wolontariat. Dzieciaki ich uwielbiają.

Czasami trudno mi jest zrozumieć urzędnika, który traktuje cię jak zło konieczne, zapominając o tym, że pensje otrzymuje dzięki podatnikowi, czyli dzięki tobie. Wcześniej spotykałem się raczej z dużą uprzejmością, życzliwością i zrozumieniem w instytucjach państwowych. Dziwiło mnie ogromnie jak ktoś opowiadał, że w takim, czy innym urzędzie spotkało go coś złego, czy został po prostu źle potraktowany. Teraz chyba zaczynam doświadczać na sobie, jak potrafi być czasami bezduszny mechanizm administracji państwa i mało tego, działa ze szkodą dla obywatela.

Ogromny ból przeszywa moje serce, ogromny żal, niewyobrażalnie ogromny żal. Tyle pracy, parę tysięcy ludzi przez tyle lat budowało projekt „Dziewczynki z zapałkami" — jedno pismo, jakaś pieczątka i koniec. Mało przy sprzyjających warunkach pracę mogło by znaleźć przy projekcie dużo więcej osób a tym samym dużo więcej dzieci mogłoby skorzystać z tak zawsze potrzebnej pomocy. Pomimo spokoju, który w sobie noszę, czuję, że coś w środku mi się zaczyna łamać, pękać, coś bardzo boli.

Wiedziałem, że muszę coś zrobić, ale co? No i wyskoczyło to kino i film o Papieżu Polaku, który zmienił świat. Ten zbieg okoliczności, jak wszystko w naszym życiu, musi coś oznaczać, ale co? Jeszcze nie wiedziałem, ale w nocy po myślach, które zalewały mnie dosłownie, w końcu usnąłem.

Piątek, dzień pierwszy

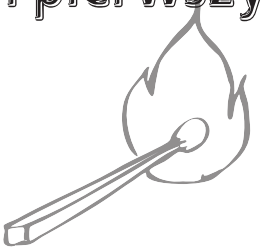

Na drugi dzień, wcześnie rano, biegnę do łazienki, szybko siadam, a tam czyści mnie potwornie. No, lepiej. Idę do kuchni, wypijam szklankę wody i wracam do łóżka. Za chwilę znowu to samo; i powtórka, i znowu, i tak prawie do południa. Leciało ze mnie dosłownie jak z dziurawego wiadra. Miałem troszkę Amolu w buteleczce – ktoś poradził mi, bym wziął łyżeczkę cukru, zalał kilkoma kroplami tego specyfiku i połknął. Poszedłem za tą radą i tak zrobiłem. Czułem, że chyba przeszło. Jest ok. Wypijam szklankę wody, czekam i nic, czekam dalej godzinę – nic. Och, jaka ulga – przeszło, minęło. Myślę sobie: „jest piątek i ja jestem po solidnej i naturalnej lewatywie".

Byłem bardzo wzmocniony i zbudowany po wczorajszym filmie. Jednak sytuacja w Fundacji się nie zmienia, jest bolesna i żal ogromny wypełniał mnie na wskroś. „Tak — pomyślałem — to dobry dzień, by zacząć. To jest dobry dzień, by zacząć post". O ironio, kilka dni temu na spotkaniu z całym zespołem powiedziałem co się dzieje, że zamyka nam się dostęp do sklepów, tym samym odbiera pracę (nie będzie gdzie organizować naszych akcji zarobkowych) i pieniądze na pomoc dzieciom. Powiedziałem wtedy coś takiego: „Nawet jakbym rozpoczął głodówkę, to by nic nie dało i nie zmieniło". Pomyślałem: „Piątek – w pracy nie będzie żadnych problemów, później sobota i niedziela. Będę mógł być sam, jakby coś się działo to nie będę w pracy. Będę mógł sobie jakoś poradzić i nawet jak będę miał jakieś dziwne stany, to nikt mnie nie będzie oglądał". Tak zacząłem post. Jak tylko mi się zachciało jeść, piłem wodę przegotowaną albo z kranu, gdyż ta w Fundacji jest zdatna do picia nawet bez przegotowania (jest pompowana ze studni głębinowych jest lepsza – jak stwierdził jeden z naszych znajomych — od niektórych gatunków wody mineralnej dostępnej w sklepach). Chwilami zaczynałem czuć ból głowy, ale powoli, powoli, godzina za godziną, coraz bardziej umacniałem się w postanowieniu. Wytrzymałem dziesięć

dni, pijąc tylko wodę. Jedenastego dnia zacząłem już pić soki i wracać do poprzedniego stanu ciała i ducha. Do świata, który znamy — normalnego przyjmowania pokarmów. Przez ten czas, długi czas pozbawiony myślenia o jedzeniu, na marginesie stwierdziłem, że zajmuje nam to bardzo dużą część naszego życia, zakupy, przygotowanie jedzenia, przechowywanie, sprzątanie itd. Ciągle coś — a to danie główne, a to deser, a to kawa. Zauważyłem w tym czasie, że większość z nas cały czas coś je, a jak nie je, to pije kawę, herbatę, a do tego zazwyczaj coś słodkiego. Coś niewyobrażalnego — wcześniej tak tego nie postrzegałem. Ale przede wszystkim był to czas, kiedy mogłem zagłębić się w siebie, spojrzeć na wiele spraw inaczej, unieść się ponad wszystko i odzyskać gasnącą wiarę w ludzi i otaczający mnie świat.

Jednym z efektów mojego postu było powstanie tej książki. Stwierdziłem, że to co jest we mnie, co noszę w sobie, muszę przelać na papier i nie czekać z tym do emerytury, jak sobie czasami planowałem. Muszę podzielić się moimi przeżyciami z każdym, kto tylko będzie chciał wiedzieć, co się dzieje, o co chodzi z tą „dziewczynką z zapałkami", dlaczego ludzie poświęcają się dla niej, a inni tego nie widzą. Mało, widzą to inaczej na opak, dopatrują się złych rzeczy tam, gdzie ich nie ma, gdzie pyłek kurzu czuje się zagubiony i obcy. Poza tym będzie ślad po tych trzynastu latach. Nie zaginie pamięć o tysiącach ludzi, którzy tworzyli tę Fundację, tysiącach wolontariuszy oraz niezmierzonej ilości tych, którzy kupili zapałki „Dziewczynki z zapałkami". Pamięć zapisana na kartkach papieru. Czuję się zobowiązany i wręcz dłużny, by opowiedzieć to wszystko – dzieciom tym, które znają bajki jak i tym, które zetknęły się z dziewczynką z zapałkami w swoim realnym świecie, tym które pomagały i tym, które tę pomoc otrzymywały. Chciałbym też podziękować tym wszystkim dyrektorom marketów, którzy przyjęli pod swój dach biedną dziewczynkę z zapałkami. Będę też opisywał swoje spostrzeżenia, jak czuje się człowiek w ścisłym poście: dziesięć dni bez jedzenia i dziesięć dni powrotu do normalnego odżywiania. Dziesięć dni i dziesięć opowiadań, niezwykłych, ciekawych, intrygujących – przekonaj się.

Zapraszam do przeczytania tej książki. Dzięki niej poznasz lepiej otaczającą nas rzeczywistość - świat fundacji i organizacji pozarządowych. Może nawet zmienisz pogląd na niektóre sprawy. I jeszcze jedno — może będziesz chciał pomóc, może właśnie naszej „Dziewczynce z zapałkami".

Póki jeszcze można to zrobić.

Afera medialna

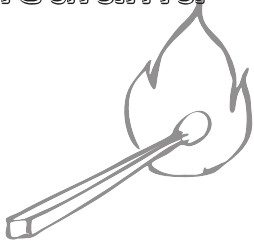

Był to rok 1998 – pamiętna dla mnie data. Właśnie mijało dziesięć lat od czasu, kiedy to ukończyłem szkołę i rozpocząłem dorosłe życie. Fundacja nie została jeszcze zarejestrowana. Wniosek o rejestrację złożyłem w Warszawskim Sądzie Gospodarczym. W tamtym czasie był to jedyny w kraju organ właściwy do rejestracji stowarzyszeń i fundacji. Mieścił się przy ulicy Świętokrzyskiej, zaraz niedaleko Nowego Światu. Wielki gmach dwuskrzydłowy, w którym miało siedzibę Ministerstwo Finansów. Nie miałem trudności z przygotowaniem dokumentów do rejestracji — kilka lat wcześniej organizowałem inną fundację, o czym napiszę w osobnym rozdziale. Na przykładzie poprzedniej organizacji, sporządziłem statut Fundacji — jej bazowy dokument. Umówiłem się z notariuszem i podpisałem akt notarialny powołania nowej organizacji. Jeszcze kilka dodatkowych dokumentów i… w drogę do Warszawy.

Był piękny słoneczny dzień. Pociągiem z Łodzi Fabrycznej do Warszawy jechało się mniej więcej tyle czasu, co teraz — około półtorej godziny. Podróż minęła szybko, gdyż w przedziale miałem sympatyczne towarzystwo i całą drogę gawędziliśmy o tym i owym. Dziś raczej nie spotykam ludzi chętnych do rozmowy, a wręcz odwrotnie — ludzie słuchają MP3, oglądają filmy albo pracują na laptopach. W takiej sytuacji trudno kogoś zagadywać o cokolwiek.

Mknąłem już znaną sobie drogą na nogach - moim rekomendowanym środkiem transportu, wyliczyłem, że droga na piechotę powinna zająć około dwudziestu lub trzydziestu minut — z dworca, mijając Pałac Kultury, do ulicy Marszałkowskiej i dalej do Świętokrzyskiej. Po drodze jeden ze straganów przyciągnął mocno moją uwagę. Były na nim piękne, duże i okrągłe mocno dojrzałe czereśnie. Kupiłem bez wahania jeden kilogram. Nie zdążyłem ich dobrze spróbować i już byłem w sądzie. Wszedłem na pierwsze piętro do biura, gdzie przyjmowano

wnioski o rejestrację. Pracowały tam trzy sympatyczne dziewczyny, przyjęły dokumenty, sprawdziły, czy są dobrze opracowane, chwilę pożartowaliśmy. Dziewczyny stwierdziły, że trzeba koniecznie pomóc „dziewczynce z zapałkami". Aby było jeszcze sympatyczniej, zostawiłem paniom czereśnie, uprzedzając, że „dopiero co zerwane" i trzeba je umyć. Tak więc pożegnaliśmy się ciepło i smacznie. Mimo że tym razem czereśni się nie najadłem, choć przepadam za nimi, to i tak dzień uznałem za bardzo udany i ważny w historii naszej „Dziewczynki z zapałkami". Pełen szczęścia i satysfakcji z załatwionej sprawy, mając jeszcze troszkę czasu do odjazdu pociągu, skorzystałem z okazji i przeszedłem się po Warszawie. Spacerując pomyślałem, że jeśli dziewczynka z zapałkami już będzie sprzedawać swoje zapałki w Łodzi, to dobrym, drugim miastem, gdzie rozpocznie swoją baśniową misję będzie właśnie Warszawa.

Tytułem wyjaśnienia: równolegle przygotowywałem „Dziewczynce z zapałkami" dwie drogi — jedna (ta docelowa) — to charytatywnie działająca Fundacja, a druga to działalność gospodarcza o tej samej nazwie. Powiecie: „Po co taki zabieg? Pewnie to jakiś numer!" — no tak, numer był i to nieziemski. Wiedziałem, że rejestracja fundacji trwa co najmniej pół roku – wtedy tyle trzeba było czekać. Po reformie prawnej w 2000 roku i utworzeniu Krajowych Rejestrów Sądowych dla fundacji właściwych dla danego regionu czas ten skrócono nawet do miesiąca, ale miło to mijsce wtedy po dwóch latach.

Był jeszcze drugi niebagatelny powód. Przed rozpoczęciem wszelkich działań pomysł swój skrupulatnie ukrywałem, wiedząc, że już się zaczęła nagonka i wielu ludzi straciło swoje projekty, zostały one po prostu skradzione. Były niezabezpieczone prawnie i przedstawione zostały po prostu niewłaściwym osobom w niewłaściwych okolicznościach. Aby w moim przypadku tak się nie stało, zgłosiłem projekt znaku słowno-graficznego „Dziewczynki z zapałkami" do Urzędu Patentowego RP. Aby dokonać takiego zgłoszenia, trzeba było w tamtym czasie zarejestrować fundację bądź działalność gospodarczą i dopiero na taką można było dokonać rejestracji w Urzędzie Patentowym, co też zostało uczynione. To był pierwszy z powodów rejestracji działalności gospodarczej pod tytułem „Dziewczynka z zapałkami". Działalność można było zarejestrować z dnia na dzień, co w przypadku szybkiego zabezpieczenia pomysłu było bardzo ważne. Jak się później okazało — prawie kluczowe.

Przez wzgląd na powiązanie zarejestrowanego znaku z baśnią o biednej dziewczynce z zapałkami autorstwa duńskiego pisarza H. Ch. Andersena, postanowiłem go zgłosić również do ochrony w zakresie międzynarodowym w Genewie. Myślałem sobie wtedy: „Kto w Polsce czy innym kraju europejskim w okresie świąt nie chciałby kupić takich zapałek z obrazkiem przedstawiającym baśniową dziewczynkę z zapałkami, wiedząc przy tym, że pomoże biednym dzieciom?". Nie wspominając o Skandynawii, a szczególnie Danii, gdzie Andersena otacza się kultem: są pomniki, muzea oraz ulice noszące jego imię — myślę, że nie bez powodu. Jak wyglądałoby nasze dzieciństwo bez Brzydkiego Kaczątka albo Królowej Śniegu, nie wspominając już o Małej Syrence albo o naszej Dziewczynce z Zapałkami?

Jak widzicie, sprawa była poważna. Literacka fantazja stawała się rzeczywistością. Nic dziwnego — mówiąc trochę przewrotnie — że już na drugim spotkaniu z Grzegorzem, znajomym, który pracował w radiu i miał szerokie kontakty w mediach, dowiedziałem się, że: „Jesteście z ulicy i nic nie możecie zrobić z tym projektem. My go przejmujemy i zrobimy z tego akcję przedświąteczną number one". Zaświeciły mu się przy tym oczy: „Jeśli chodzi o was, doczepimy was jakoś do tej akcji, żebyście nie mieli krzywdy". Wręcz się zapalił do tego projektu. No cóż, zaparło mi dech, oczy też chyba zrobiły się większe, ale starałem się zachować spokój. Nabrałem głęboko powietrza. Byłem przecież przygotowany: rejestracja znaku, pamiętacie... Powiedziałem, więc spokojnie: „Dobrze. Fajnie, cieszę się. Jak powiedziałeś — jesteśmy z ulicy i nic nie możemy. Potwierdzam, jesteśmy faktycznie z ulicy i tak, jak nasza mała dziewczynka z zapałkami możemy tylko sprzedawać zapałki. Co też robić będziemy, a z podkupieniem projektu — zaakcentowałem i głębiej spojrzałem mu w oczy – byłbym ostrożny, gdyż jest zastrzeżony pod kątem praw autorskich. Jeśli będziecie chcieli coś z tym zrobić, więcej na tym stracicie, niż zyskacie. Nieciekawie będzie, jeśli ludzie się dowiedzą, jacy jesteście uczciwi".

Chłopak się troszkę zmieszał, ale zgodnie z teorią, że najlepszą obroną jest atak, wypalił: „Wy chcecie zrobić na tym kasę i taki jest wasz pomysł!". Trzymałem się mocno krzesła, żeby czegoś nie zrobić. Gość nie dosyć, że chciał ukraść pomysł i projekt to jeszcze zarzucił mi, że jestem nieuczciwy ładne dzień dobry, co?

Aby się uspokoić, powoli wziąłem szklankę z piwem. Napiłem się bardzo ostrożnie, aby nie odgryźć brzegu szklanki. Odstawiłem ją na

stół. Popatrzyłem na niego uważnie, uśmiechnąłem się i mówię: „Tak, masz rację, chcemy zrobić większą kasę od Jurka Owsiaka. Czy to źle, pomagać innym jak on albo jemu podobni?". „No to pogadaliśmy…" — pomyślałem. Posiedzieliśmy jeszcze chwilę w milczeniu – trudno było sklecić jakąś dalszą rozmowę. „No cóż, no to pomyślimy, co dalej" — stwierdziłem. Wstaliśmy od stolika i wyszliśmy z pubu. Już zmierzchało, główna ulica w centrum miasta tworzyła fajny klimat, rozświetlona lampami i witrynami sklepów, kawiarni i kawiarenek…

Myślę, że byłem mocno rozczarowany tym spotkaniem i chyba mój kompan podobnie. Pożegnaliśmy się bez większego entuzjazmu i nadziei. Skierowałem kroki w stronę domu, z myślami kłębiącymi się w głowie jak chmury na burzowym niebie. Zamyślony, wsiadłem nie do tego co trzeba tramwaju…

Myśli o minionym spotkaniu nie dawały mi spokoju, o Grzegorzu , którego poznałem przez Janka — syna głównej księgowej w firmie mojego brata. Janek pracował jako ochroniarz, ale miał ambitne plany, by założyć własną firmę, co po pewnym czasie się udało. Podobnie jak rodzice, poszedł w kierunku księgowości, próbując po drodze innych rzeczy. W jakimś momencie jego kariery pojawił się Grzegorz w roli wspólnika. Coś próbowali razem zrobić, ale z różnym skutkiem. Ich drogi zawodowe po pewnym czasie rozeszły się, ale co ważniejsze – przyjaźń przetrwała. Z Jankiem miałem częste kontakty, zlecałem jego firmie rachunkowo-księgowej prowadzenie księgowości albo opiekę księgową nad prowadzonymi przeze mnie działalnościami, które tego wymagały. Była tam również moja pierwsza fundacja „Promocja Polska". W międzyczasie próbowałem rozkręcić jakiś import czy eksport za wschodnią granicę i też Janek prowadził dokumentację związaną z tamtą działalnością. Tak więc nasze kontakty były dosyć bliskie i dzieliłem się z Jankiem, jak z przyjacielem, moimi różnymi pomysłami. Byłem mu też mocno wdzięczny za to, że traktował mnie ulgowo w tamtych czasach, w których jak i dziś z pieniędzmi było krucho i płaciłem mu różnie. Co prawda, on też wtedy nie do końca traktował mnie rzetelnie, ale współpraca nasza jakoś funkcjonowała, zawsze okazywaliśmy sobie dużo sympatii i życzliwości.

Oczywiście w momencie pojawienia się pomysłu na projekt „Dziewczynka z zapałkami" Janek był jedną z pierwszych osób, które się o nim dowiedziały. Mając dobre kontakty z Grzegorzem, polecił mi, bym spotkał się z nim i powiedział, jaka jest sprawa, a on na pewno

będzie mógł pomóc. Tak więc umówił nas na rozmowę. Spotkaliśmy się — jak to w Łodzi w owym czasie było przyjęte — w jednym z fajnych pubów przy ulicy Piotrkowskiej. Nie ukrywam, że pierwsze spotkanie było dla mnie bardzo obiecujące. Grzegorz z płomiennym spojrzeniem wypowiadał się w samych pozytywach, był wręcz zachwycony i oczarowany tym projektem, jak wielu innych ludzi, z którymi rozmawiałem i przedstawiałem koncepcje nowej akcji charytatywnej. Na następne spotkanie szedłem w bardzo dobrym nastroju i pełen nadziei na jakieś duże wsparcie z jego strony. Miał on porozmawiać ze swoimi szefami jak powiedział i przygotować propozycje ewentualnej współpracy. Co stało się potem — opisałem już wcześniej. Później jeszcze poskarżyłem się Jankowi i opowiedziałem, co zaszło, ale cóż on biedny miał powiedzieć? „Piotrek, ja was tylko skontaktowałem i reszta to już wasza sprawa". Cóż, może i miał rację, ale jak powiadają: „Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi". Przyznam szczerze, że ze strony przyjaciela zazwyczaj wszyscy mamy te same oczekiwania. To znaczy: jeśli coś ma dla nas zrobić, to zrobi to dla naszego dobra, a nie odwrotnie. Wydaje się, że w tym przypadku, niestety, tak się nie stało.

Zorientowałem się, że tramwaj skręca w prawo, a powinien jechać prosto. Szybko wyskoczyłem przy pierwszym otwarciu drzwi i pognałem przez park do właściwego przystanku i tramwaju. Bez większych przygód jechałem do domu, pocieszając się myślą, że przecież będzie dobrze — jak zawsze. Mój wrodzony optymizm pomagał mi podtrzymać nastrój.

Wysiadłem na krańcówce, czyli ostatnim przystanku i szedłem spacerem do domu, kiedy nagle ktoś zawołał:

– Piotrek!!!

Rozejrzałem się dookoła, patrzę… Tomasz. Jaka niespodzianka! Był to dawno niewidziany kolega z dzieciństwa — taki z podwórkowej paczki, co to o wszystkim pogada i można mu też powierzyć swoje troski. Opowiedziałem mu, jaki miałem „wspaniały" dzień i jak wyglądają moje pierwsze doświadczenia z mediami przy okazji nowego projektu, dodając na marginesie — planowanego na skalę międzynarodową. Tomasz bardzo lubił mówić. Zasypał mnie różnymi możliwymi scenariuszami wydarzeń i raczej nie były to dobre prognozy. Tak czy inaczej, doszedł do tych samych wniosków co ja. Nawet jeśli nie podkupią pomysłu to w środowisku medialnym może być „pozamiatane", jak powiadają dzieciaki. Co, jak się domyślacie, nie oznacza nic dobrego.

Akcja tego rodzaju, bez mediów, oznaczałaby wegetację, o czym po latach miałem się dowiedzieć więcej.

Spotkanie i rozmowa z Tomaszem chyba jednak nie zmieniły mojego nastroju. Pożegnaliśmy się i poszedłem do domu. Mój pies, jak zawsze niezawodny, poprawił mi trochę humor. Wyszedłem z nim na wieczorny spacer. Kochałem tego psa jak własne dziecko. Był z nami od szczeniaka, aż po sędziwy wiek. Przypominał miniaturkę wilczka, ale był cały rudy łącznie z noskiem. Kita non stop w górze merdała, a pyszczek miał taki jakby cały czas był uśmiechnięty. Ale więcej może o nim przy innej okazji. Położyłem się tego dnia spać około dziesiątej. Nie bardzo mogłem zasnąć. Postanowiłem, że trzeba działać — Fundacja zostanie w najlepszym wypadku wpisana do rejestru za pół roku, a tutaj trzeba już się pokazać, by nikomu do głowy nie przyszło przechwycenie projektu. Nawet za cenę nieobecności mediów w przedsięwzięciu. Plan był taki: zaczniemy cicho i spokojnie, powoli rozkręcając imprezę i wciągając się w tę baśniową zabawę, która stawała się już nie tylko moją pracą. Potem zabawa na całego miała się rozpocząć. Wtedy nie myślałem, jak to będzie wyglądać. Wyobrażałem sobie wszystko zupełnie inaczej, prościej, łatwiej.

Wsiadłem w pociąg powrotny do Łodzi. Wycieczka po Warszawie troszkę mnie zmęczyła, ale zjadłem gdzieś na szybko wielkiego hamburgera z dużą ilością surówek i sosów, co posłużyło za obiad. Wypiłem herbatę na stojąco w cichym barze. Przy Dworcu Centralnym pełno było takich miejsc. Jeśli jesteś poza domem, fastfoody ratują życie — zawsze to coś ciepłego i względnie pożywnego. W pociągu wpatrywałem się w okno i podziwiałem zmieniający się krajobraz. Miasta i miasteczka, małe domki, jedne piękne i okazałe, inne z kolei podupadające i biedne. Lasy i polany skąpane w zieleni były jednak najpiękniejsze. Jeśli masz szczęście, to możesz nawet zobaczyć jedną z „rodzin" zamieszkujących te miejsca — śliczne sarenki są dosyć częstym zjawiskiem w polskiej przyrodzie. Jest to jeden z piękniejszych widoków: sarenki pasące się na łąkach, polach czy leśnych polanach.

Głowę miałem pełną pomysłów, co i jak robić a energia mnie rozpierała. Wydawało mi się, że za rok będziemy pomagać wszystkim dzieciom w Polsce, a za kilka lat w wielu innych krajach na świecie. Przecież wniosek o zarejestrowanie Fundacji był złożony w sądzie, znak zarejestrowany w urzędzie. Wydawało mi się, że każdy, kto dowie się o takim projekcie, podpisze się pod nim obiema rękoma, a nawet nogami, jeśli będzie potrafił i będzie chciał pomagać.

Jedno z założeń projektu mówiło: wprowadzamy zapałki do sklepów, wielkich dopiero powstających sieci marketów. Przy kasach będą zainstalowane specjalne „standy". Oznakujemy je oczywiście symbolem „Dziewczynki z zapałkami". Każdy się przecież zorientuje, że te zapałki są wyjątkowe i kupując je, można pomóc dzieciom. Jaka cena? Dwa złote? Nie, może lepiej złotówka — i tak będą droższe dwadzieścia razy od najtańszych, które wtedy kosztowały chyba pięć groszy. Tak, to będzie dobra cena. Ale, aby zapałki znalazły się w sklepach, potrzeba dużo czasu. Trzeba złożyć ofertę albo raczej wystosować zaproszenie do współpracy przy projekcie charytatywnym. Przecież nikt, przy zdrowych zmysłach, nie będzie chciał handlować zapałkami o dwadzieścia razy droższymi od innych, tylko ze względu na to, że posiadają ilustracje siedzącej dziewczynki trzymającej w ręku zapałkę. Jeśli jednak jest to akcja charytatywna, to już co innego – powinno się udać.

Drugi projekt — hostessy w centrach handlowych przebrane w baśniowe kostiumy, sprzedające z wiklinowych koszyczków zapałki. Ten można w miarę szybko zrealizować. Wystarczyło dać ogłoszenia w gazecie, a przypomnę, że były to czasy największego chyba bezrobocia, tak więc wszystkie oferty pracy rozchwytywane były na pniu. No, może tak jak i dziś, prócz akwizycji, z której wielu ludzi szybko się wycofywało, wiedząc jakie „uroki" niesie ze sobą chodzenie po domach i firmach z różnymi gadżetami, nie zawsze potrzebnymi i nie zawsze dobrej jakości. Sam wcześniej spróbowałem, jak smakuje ten chleb. Co prawda, trwało to jakieś trzy tygodnie, ale temat nadaje się na osobne opowiadanie.

W pierwszym przedstawionym założeniu projektu udział wzięły, niestety, tylko dwie duże firmy, choć zainteresowanie wyraziły wszystkie markety — Real, Geant, Carrefour, Tesco. Do realizacji przyłączyło się ku mojej radości Tesco, ale niestety tylko wykorzystując sklepy Savia, należące do sieci giganta oraz druga niewielka sieć sklepów (nieistniejąca już dzisiaj) o nazwie Jumbo. W sumie chyba cztery markety w całym kraju. Do łódzkiego Jumbo sam jeździłem instalować zaprojektowane przez siebie super „standy" i wykładałem zapałki. Konstrukcja najprostsza z możliwych — długi drut wygięty na jednym końcu, gdzie wieszany był dzwoneczek. Drut można było przytwierdzić plastikowymi opaskami uciskowymi praktycznie w każdym miejscu przy standach kasowych. W połowie były mocowane tekturowe pudełeczka, zdobione przez dzieci różnymi wzorami oraz - oczywiście wizerunek naszej

sprawczyni całego zamieszania — „dziewczynki z zapałkami". Faktycznie, na początku szło nieźle. Zapałki zaczęły wręcz znikać nawet bez reklamy w mediach. Ale niestety, po miesiącu sprzedaż zaczęła z każdym dniem spadać, aż ustała prawie zupełnie. Sprzedawało się dziennie po kilka pudełeczek. Przyznacie, że jak na potrzeby dzieci to troszkę za mało.

Tak więc po projekcie na pamiątkę zostały nam druty, które po dziś dzień służą nam do wielu pożytecznych rzeczy. Gościliśmy kiedyś wycieczkę – dwudziestoosobową grupkę dzieci, bodaj z Goleniowa, które spędziły u nas cztery dni i noce. Zabrakło nam dostatecznej ilości wieszaków. Był wieczór. Sklepy pozamykane, co robić? Kurtki zimowe mokre, trzeba gdzieś zostawić do wyschnięcia. Długo się nie namyślając, postanowiłem zadziałać metodą typu „zrób to sam", „pomysłowy Dobromir" itp. — szkoła z lat dzieciństwa. Wziąłem kijek od szczotki i nasze osławione druty — nadawały się idealnie na wieszaki — dosyć miękkie, elastyczne. Powyginałem je na kształt wieszaków i owinąłem nimi kijek od szczotki, by się dobrze trzymały. Kij z umocowanymi wieszakami podwiesiłem na sznurkach na drewnianych belkach. Cała operacja trwała zaledwie chwilkę i ku zdziwieniu dzieci, a może nawet większemu opiekunów, było już gdzie powiesić kurtki i nawet były jeszcze wolne wieszaki. A wieszak ten, pomimo upływu lat po dziś dzień doskonale spełnia swoją funkcję i doskonale nam służy.

I choć może nie są to super drogie stylizowane dodatki do mebli to przecież są to nasze „standy" od baśniowych zapałek, którym winniśmy należyty szacunek…

Sobota, drugi dzień

Drugi dzień. W nocy budziłem się trzy razy. W końcu wstałem i zacząłem wolno spacerować po Fundacji. W kuchni podgrzewałem wodę w czajniku. Troszkę cieplejszą piłem powoli, siedząc na czymś w rodzaju szafki czy komody. Dostaliśmy od naszego sąsiada, który jest tu już od kilku miesięcy. Zajmuje lokal na pierwszym piętrze i organizuje coś w rodzaju hotelu. Naściągał kupę gratów i teraz rzeczy te zaczynają mu się wręcz wysypywać z zajmowanego lokalu. Musi coś z tym zrobić – albo wyrzucić, albo komuś wydać. Zaproponował nam, chętnie wzięliśmy i teraz w kuchni mamy komodę. Możemy na niej jeść, siadać na niej i trzymać w środku różne rzeczy. Coś, co wydawało się dla jednych zbędne, dla innych jest wartościowe. I tak, od początku istnienia Fundacji, praktycznie wszystkie rzeczy w biurze dostawaliśmy od kogoś bezpłatnie. Ludzie wymieniali je na nowe, piękniejsze. My przejęliśmy stare i w taki oryginalny sposób meblujemy biuro Fundacji po dziś dzień.

Rano wstałem dosyć wcześnie, około szóstej, lekki ból głowy, dyskomfort. Bardzo dziwne uczucie. Zrobiłem poranną zaprawę: rozciąganie, ćwiczenia z jogi. Zauważyłem, że dzięki nim czuję pewną ulgę w moich bólach. Między ćwiczeniami robię dłuższe odpoczynki, relaksuję się na komodzie, gdzie piję czystą wodę. W ciągu dnia czułem czasami coś w rodzaju mdłości. Starałem się ćwiczyć, by poprawić samopoczucie. Zauważyłem, że ćwiczenia pomagają. Naczytałem się troszkę wcześniej o takich postach i głodówkach. Według książek, pierwsze trzy dni są najtrudniejsze, gdyż mózg wysyła sygnał do całego organizmu, że coś jest nie tak, że chciałby coś zjeść. Mogą temu towarzyszyć nieprzyjemne doznania. Nie wiem, czy to trafna analogia, ale może to być coś w rodzaju odtrucia jak detoks u narkomanów czy alkoholików. Tylko, że mój detoks jest po jedzeniu.

Po południu pojechałem do domu. Bardzo często część drogi pokonuję piechotą przez las. Akurat mam taką fantastyczną możliwość i przy okazji mogę zaoszczędzić kilka złotówek na biletach. Jak człowiek musiał żyć przez lata bez pieniędzy, to takie rozwiązania ratowały życie. Przypomniał mi się mój ukochany dziadek, który opowiadał jak chodził do Łodzi piechotą, gdyż miał do wyboru albo nabyć bilet i jechać tramwajem, albo kupić sobie coś dobrego do zjedzenia. Dziadek powiadał, że wydawał te pieniądze na bułki, mogły być ewentualnie słodkie z kruszonką. Myślę sobie, że ja mam to samo. Za te zaoszczędzone dwa złote i pięćdziesiąt groszy też będę mógł po głodówce kupić sobie bułki, owoce czy jakiś pyszny jogurt.

Inna sprawa, że jest to ogromna frajda pod względem czysto estetycznym. Uwielbiam przyrodę w dzikiej postaci, a tutaj akurat taka jest. Często spotykam sarny, dziki albo wiewiórki, a o powietrzu już nie wspomnę: czyste, pachnące i świeże. Jedno z moich skrytych marzeń to wolny czas, który chciałbym przeznaczyć na zbieranie ziół. Czasami udaje mi się zerwać nawet trochę pokrzyw do suszenia na herbatę. Polecam, to bardzo zdrowy napój i w dodatku za darmo, a pokrzywy rosną praktycznie wszędzie. Oczywiście, im dalej zerwane od ruchliwych dróg i ulic, tym lepiej. No i następna sprawa to ruch. Kiedyś przed pracą w Fundacji miałem więcej czasu dla siebie. Często udawało mi się wyciągnąć mojego małego pieska, wtedy jeszcze Filemona, i biegać z nim dwie a nawet trzy godziny po lesie, czasami nawet codziennie. Teraz mogę to robić od święta. Tak więc chodzenie przez las jest dla mnie pewnym pocieszeniem przy ograniczonych możliwościach korzystania z uroków natury i uzupełnieniem brakującej porcji codziennego ruchu dla ciała, a do ruchu jestem przyzwyczajony od dziecka.

Kiedyś miałem zabawną przygodę. Idę w stronę lasu i widzę zatrzymujący się samochód. Patrzę — jakaś znajoma sylwetka macha do mnie. Przyglądam się uważniej, a tu mój własny brat mnie woła:

— Piotrek, jadę w Twoją stronę, chodź, wsiadaj!

— Stary — ja mu na to — siedziałem trzy dni w betonach w Łodzi! Jedź, ja muszę się dotlenić! Przepraszam, ale pójdę piechotą.

Popatrzył na mnie dziwnie, ale widziałem, że starał się mnie zrozumieć. Tak więc możecie domyślić się, że tym bardziej po kilku dniach przebywania w gwarnym, pełnym spalin centrum miasta wybrałem wędrówkę po lesie od wygodnej jazdy samochodem.

Szło się dziwnie. Czasem odzywał się zbolały żołądek, prosząc o ja-

kąś strawę, ale odrzucałem dzielnie te myśli i szedłem swoimi ulubionymi ścieżkami. Doszedłem do domu. No cóż, powiem mamie. A może jednak nie?... Stwierdziłem ostatecznie, że powiem. Wchodzę powolutku do domu, zdejmuję buty, kurtkę i siadam. Muszę wam powiedzieć, że zacząłem zauważać pewne spowolnienie reakcji w organizmie. Jakby człowiekowi zwolnił zegar. Przestajesz myśleć o czasie. Robisz wszystko wolniej, jakby w większym skupieniu. Człowiek zaczyna się bardziej wyciszać i odnajduje spokój. W moim przypadku jest to jeszcze większy spokój niż zwykle, a jestem raczej odbierany jako bardzo opanowany i wyciszony typ człowieka. Ale zacząłem zauważać, że ten spokój zaczyna być większy. Usiadłem w kuchni na takiej góralskiej ławie, może nie do końca oryginalnej, raczej imitacji z ciepłą wodą w jednym z moich ulubionych kubeczków w ręku. Mama się dosiadła, jak zawsze. Zaczęła mi opowiadać, co ciekawego wydarzyło się w czasie mojej kilkudniowej nieobecności. Ja z kolei z zainteresowaniem wszystko wysłuchiwałem. Później ja jej troszkę opowiadam, co u mnie się dzieje; mama i ja bardzo lubimy takie pogaduchy rodzinne — wieczorem bądź rano przy śniadaniu. Zwierzaki też nam zawsze towarzyszą przy takich rozmowach, siedzą przypatrują się nam ze zrozumieniem, jakby wiedziały, o czym mówimy.

Zawsze z mamą byliśmy i żyliśmy jak dobrzy kumple. Nie pamiętam dokładnie, od kiedy na mamę zaczęliśmy mówić z bratem po imieniu. Teraz to jest normalne. Słowo „mama" brzmi już teraz dziwnie w moich ustach. Muszę też wam powiedzieć, że jak w szkole podstawowej biegaliśmy z chłopakami po osiedlu, graliśmy w podchody to zdarzało się, że ona również zakładała dresy i biegała razem z nami. Po zabawie przygotowywała nam ogromny talerz kanapek a my pochłanialiśmy je jak odkurzacze. Przyznacie, że to oryginalna mama. Taka była i taka jest do dziś.

Nie pamiętam dokładnie czemu, ale nie powiedziałem jej o moim postanowieniu dotyczącym zupełnego postu. Nawet kromki chleba, nawet kubka mleka, które po prostu uwielbiam, szczególnie przed położeniem się do łóżka. Przyszła godzina snu. W domu dosyć wcześnie chodzę spać, tak około dwudziestej, dwudziestej pierwszej, ale zdarza się, że wcześniej — nawet o dziewiętnastej. Tego wieczoru poszedłem się położyć wcześniej, tym bardziej, że dziwnie się czułem. Czasami ten ból głowy tak dziwnie pulsuje. Staram się przegonić tego mola pod skroniami ćwiczeniami fizycznymi. Nawet daję radę.

Położyłem się, ale nie mogłem usnąć. Na zmianę, raz na lewym boku, a raz na prawym, może pół godziny, może godzinę męczyłem się, ale w końcu zasnąłem.

Drugi dzień minął. Dzień długi, a w stanie, w jakim się znajduję, jeszcze dłuższy. Wydawało mi się, że mam więcej czasu na wszystko niż zwykle. Bierze się to między innymi stąd, że nie myślisz o zakupach, przygotowywaniu posiłków, gotowaniu czy sprzątaniu i zmywaniu po jedzeniu. Nie myślisz o herbatce, kawce (oczywiście z czymś słodkim — to podstawa). W ogóle nie możesz o tym myśleć. A powiem wam, że od osiemnastego roku życia nie słodzę herbaty ani kawy, ale za to nadrabiam łakociami: ciasteczkami, ciastem, czekoladką. Bardzo lubię te pyszności i mogę śmiało powiedzieć, że niestety jestem chyba łasuchem i łakomczuchem na takie różne cukiernicze cuda.

W nocy budziłem się dwa razy. Oczywiście — powolny spacer do kuchni, relaks na ławie ze szklaneczką ciepłej wody. Cały dom śpi: mama i nasza kotka, Denis — nasz pies — przyszedł mi potowarzyszyć. Mam wrażenie jakbym odpoczywał po śnie. Drugi dzień miałem za sobą i dałem radę.

Płaczący pies

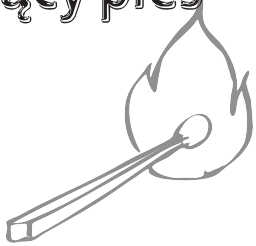

Postanowiłem opisać Wam tę historię, która pozornie może nie mieć związku z naszą książką, to jednak pokazuje, jak wiele człowiek może uczynić złego, nawet bez świadomości swych czynów. Nawet jeśli później naprawimy to, co zepsuliśmy, to i tak mogą pozostać łzy. W tym przypadku są to łzy psie, ale mogą być one doskonałą metaforą naszych codziennych działań poprzez które możemy kogoś skrzywdzić a nawet zadać ogromne cierpienie, które pozostawi ślady na całe życie.

Minęły jakieś dwa lata odkąd nasz ukochany pies Filemon od nas odszedł. Przez czternaście lat wnosił w nasze życie mnóstwo radości i światła. Pogodziliśmy się z jego utratą i mama stwierdziła stanowczo, że nie będziemy już brali psa. Minął jakiś czas, coś około dwóch lat i któregoś pięknego dnia przychodzę do domu, a tu pies — rudy jak Filemon, ale dwa razy większy. Nasza sąsiadka z kamienicy tuż obok naszego domu pracowała w zgierskim schronisku dla zwierząt i usiłowała przekonać mamę, by ta wzięła psa, bo jest prawie taki sam jak Filemon. Teresa — moja mama — odwiedziła schronisko raz, drugi i postanowiła wziąć psiura na dzień do domu. Na mój gust pies był duży i — jak myślałem — będzie sporo jadł. Nie wiadomo też jak z kosztami u weterynarza, co nie jest bez znaczenia, kiedy mama ma najniższą emeryturę, a syn, niestety, nie zawsze się dokłada do domowego budżetu. Raz, że sam nie zarabia, dwa — jest gościem w domu. No i jeszcze jedna rzecz, pies strasznie głośno szczekał w porównaniu z naszym poprzednim czworonogiem. Nie było pewne, czy nasi sąsiedzi to zaakceptują, tym bardziej, że w ostatnim czasie daje się zauważyć pewne napięcia w stosunkach sąsiedzkich. Pies został odprowadzony do schroniska i żadna konkretna decyzja nie została podjęta. Pozwoliłem sobie jedynie na sugestię, że pies jest dużo większy niż Filemon i nasza kotka może mieć problem, by go zaakceptować.

Ujmujące było opowiadanie pani ze schroniska o jego losie. Ktoś powiesił go na siatce ogrodzenia placówki – wisiał tam w puszorku nie wiadomo jak długo, może nawet ze dwa dni. Prawdopodobnie ktoś wstydził się podejść do pracowników schroniska i oficjalnie przekazać zwierzaka. Był strasznie wycieńczony, nie chciał jeść, ani pić, nie wspominając już o zabawie. Nie spotkałem się też jeszcze z tym, że pies płacze tak, że aż traci sierść wokół oczu, jak to było w tym przypadku. Właścicielka schroniska postanowiła wziąć psiaka do domu i zaopiekować się nim. Przy rodzinie piesek zaczął nabierać chęci do życia i przekonania do tego świata, zaczął jeść, humor też zaczął mu się poprawiać. I tak po kilku tygodniach wrócił do schroniska i czekał na swoich nowych właścicieli. Po wysłuchaniu historii o młodym piesku decyzja mogła być tylko jedna. W taki oto sposób trafił do nas po swoim smutnym starcie życiowym.

Pomimo tego, że jest dwa razy większy od naszego poprzedniego psa Filemona, to w przeciwieństwie do niego jest bardzo płochliwy. Boi się nawet psów dużo mniejszych od siebie. Pamiętam też jego spotkanie z bocianem, który w pierwszej chwili nic sobie nie robił z kręcącego się w jego pobliżu zwierzaka, interesującego się jego dostojnością na długich patykowatych nogach. Denis bał się bliżej podejść do stworzenia, które widział zapewne pierwszy raz w swoim życiu. W pewnym momencie bocian rozprostował swoje piękne rozłożyste skrzydła, co Denisa wyraźnie wprowadziło w zakłopotanie, aż oddalił się — na swój psi rozum — na bezpieczną odległość. Kitę miał już wyraźnie opuszczoną, ale zaszczekał z oddali, pokazując, że się nie boi. W pewnym momencie bocian stwierdził, że nie będzie wysłuchiwał tego psiego ujadania. Załopotał skrzydłami, zrobił rozbieg i zaczął powoli unosić się w powietrze. Denis, widząc tę scenę, podwinął kitę pod siebie i długimi susami pobiegł przed siebie, uciekając przed odlatującym bocianem. Na szczęście, udało mi się przywołać i uspokoić przestraszonego psiaka.

Ale to nie koniec tej historii. Przez przypadek poznaliśmy właścicieli pieska – Denisa, bo w schronisku otrzymał inne imię.

Po kilku dniach aklimatyzacji w naszym domu mama wyszła z nim jak zwykle na spacer, troszeczkę spuściła go ze smyczy, a piesek zakręcił się i zniknął. Poszukiwania trwały dzień lub dwa, bez rezultatu — przepadł jak kamień w wodę. Wydawało się, że jest już po psie, kiedy przypadkiem Teresa, idąc jedną z położonych nieopodal ulic, zauważyła znajomego sobie kundelka. Zaczęła wołać: „Karo, Karo, piesku!"

No tak, wtedy jeszcze był Karo — takie imię dostał w schronisku, gdyż nikt nie wiedział, jak się wabi. Karo się ożywił i kręcąc kitą podreptał za mamą do domu. Następnego dnia — tym razem piesek był na smyczy — przeszła koło miejsca, gdzie go znalazła. Mijała właśnie kilku średnio wyglądających, chwiejących się panów, kiedy pies zaczął się witać z jednym z nich, merdając ogonem i wskakując na niego przednimi łapami, domagając się w ten sposób głaskania. Pan chętnie nas poinformował, gdzie mieszkają jego właściciele. Mama opowiedziała im, że pies był w schronisku i że ktoś go powiesił na ogrodzeniu. Mężczyzna bardzo się zmieszał, jego kompani również, nie pozostawało im nic innego, jak oddalić się ze spuszczonymi w dół znacząco nosami. Po tym spotkaniu Karo został na powrót Denisem.

Po rozmowie z panami — na marginesie sprawiającymi wrażenie wstawionych i to nie okolicznościowo, ale raczej z codziennego zwyczaju – mama udała się pod wskazany adres. Poprzednia właścicielka była zaskoczona, ale przyjęła gościa z psem, który jak by nie patrzeć, też już teraz był gościem. Trochę speszona opowiedziała, jak trudną ma sytuację, że sama wychowuje trzy córeczki w małym mieszkanku. Gdy piesek był mały, to było fajnie — niedużo jadł, spał w pościeli z dziewczynkami. Jak zaczął rosnąć, sprawa się pokomplikowała, zaczął dużo jeść, przychodził umorusany. Poza tym miał to być rasowy labrador, a okazało się, że jest labradorem tylko w części. Zdecydowała się oddać pieska do schroniska — najprostsze rozwiązanie, jakie przyszło jej do głowy to poprosić „panów z bramy" o przysługę. „Dżentelmeni" dostali na wino i zanieśli pieska do schroniska. Teraz wiadomo, skąd to ich zmieszanie przy spotkaniu. Wszystko wskazuje na to, że właśnie oni powiesili go na ogrodzeniu i sobie poszli. Można też przypuszczać, że byli mniej lub bardziej „wstawieni". Trudno wytłumaczyć ludzką głupotę. Z drugiej zaś strony, patrząc na tych ludzi jak na chorych, którzy są uzależnieni od alkoholu, powinni być oni poddani specjalistycznej opiece. Trudno też wymagać od takich osób normalnego zachowania a wręcz odwrotnie - można się spodziewać, że będą nieodpowiedzialni w tym, co robią.

Denis jest z nami czwarty rok. Na pamiątkę dawnych przejść zostały mu łzawiące oczy i nerwowy odruch wygryzania dywanu albo mebli obitych miękkimi tkaninami. Na początku mówiłem na niego „płaczący pies", teraz nazywam go Denis — w taki oto sposób mamy

w domu nowego wiernego towarzysza doli i niedoli. I tak jak podczas pamiętnego spotkania z bocianem pozostał do dziś bardzo płochliwym zwierzęciem.

I choć na pewno znajdzie się ktoś, kto powie: przecież to tylko pies i nie ma co się przejmować, to czy będzie miał rację?

Pies jak pies, każdy widzi, ale te ciemne plamki w kącikach oczu cały czas są mokre

Niedziela, trzeci dzień

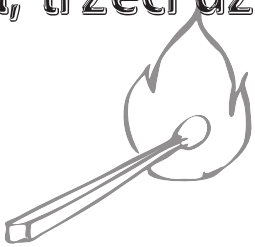

Pierwszy dzień postu jest prawdopodobnie najgorszy. Chyba, że weźmiemy pod uwagę drugi, który wygląda podobnie: praktycznie ciągłe bóle głowy, co jakiś czas mdłości, robi się gorąco i mdli. Ratuję się ćwiczeniami, pomiędzy nimi robię długie przerwy ze szklaneczką wody. Wydolność organizmu cały czas jest wysoka, jak przy normalnym odżywianiu. Na drążku podciągam się tyle samo co zwykle, ilość pompek podobna, niektóre ćwiczenia — wydaje się — przychodzą łatwiej.

Trzeciego dnia — w niedzielę — wstawałem zbolały po ciężko przespanej nocy z mojego materaca, na którym sypiam od lat. Nie mogę długo spać, wstaję wcześniej — o piątej. Czuję chwilami jakieś osłabienie, głowa tradycyjnie — od czasu do czasu pobolewa. Powoli zaczynałem dzień.

Niedzielne śniadanie zawsze staram się zjeść dobre i obfite. Ale wieczorem (już od lat), sporadycznie zjadam jakiegoś sucharka z mlekiem. Z reguły nie jadam kolacji, mama czasami zrobi kisiel albo budyń; salaterka takiego pokarmu to właściwie cała kolacja, ale nieczęsto się to zdarza, ostatnio coraz rzadziej. Śniadanie to co innego, tutaj już się nie wykpię. W tygodniu mógłbym się tłumaczyć, że muszę wcześniej wyjść do pracy i dlatego nie jem, nie wspominając o tym, że w ogóle nie jem, aby nie niepokoić mamy. No, ale zwyczajowo też i w tygodniu staram się zjeść wspólne śniadanie. Przyjeżdżam do domu co kilka dni, więc próbuję trochę nadrobić moją nieobecność.

Przy Fundacji działa dla dzieci całoroczny hostel. Dysponujemy kuchnią, toaletami i pokojami gościnnymi, z których korzystam, jeśli pracuję do wieczora i zostaję w Fundacji na noc. Dojeżdżałbym do domu późno, praktycznie po to, by od razu położyć się spać, zaraz potem szybka pobudka i z powrotem do pracy. Nie miałbym nawet specjalnie czasu, by porozmawiać z mamą. Kolejną ważną sprawą jest nadzór nad

naszym Baśniowym Zamkiem, jak czasami nazywamy siedzibę Fundacji przy ulicy Gdańskiej. Nie ma nic lepszego na złodziei jak informacja, że lokatorzy są cały czas na miejscu. Dbamy, by zawsze ktoś był na terenie naszego ośrodka.

Koniec końców powiedziałem mamie o moim ekstremalnym postanowieniu: o ścisłym poście. Coś wisiało w powietrzu, jak czasami mówi się w takich przypadkach. Bach, stało się, mama nie próbowała mnie wspierać, a wręcz odwrotnie. Tak jak przeczuwałem, nie była zadowolona. Zaczęła przekonywać mnie, bym zrezygnował z mego postanowienia i różnymi argumentami zniechęcała mnie do prowadzenia tego rodzaju zabiegów. Nic, żadnego wsparcia. Czytałem, że przy takim poście otoczenie musi pomagać i wspierać poszczącego i — co bardzo ważne — krzepić dobrym słowem.

— „Wielkie dzięki mamo, że tak mnie wspierasz, po prostu niebiańsko" — powiedziałem. Na jej pytania odpowiadam zdawkowo. Mama naprawdę potrafi czasami zatruć życie. Może wiercić dziurę w brzuchu, czasami długo, czasem krótko, ale z dużą częstotliwością. No, ale wszystko dobre, co się dobrze kończy. Uznała jednak, że mam swoje lata i swój rozum, więc jeśli mnie to odpowiada, to niech tak będzie.

Pamiętam dobroczynny wpływ świeżego powietrza i ruchu podczas wczorajszego spaceru przez las w drodze powrotnej z pracy do domu. Postanowiłem wybrać się z Denisem do mojego ulubionego lasu. Łagiewniki to jedno z najlepszych miejsc na spędzanie wolnego czasu. Spacer odbędzie się z korzyścią dla mamy — uniknie nerwów spowodowanych obserwacją mojego kiepskiego stanu zdrowia. Ja też mogłem wiele zyskać — piękna pogoda, świeże powietrze — to było coś czego potrzebowałem najbardziej.

Denis się niezwykle ożywia, gdy zakładam moje stare, wysłużone dresy. Mam taką bluzę kapturem, która ma chyba ponad dwadzieścia lat i cały czas mi służy, przeszła jakieś drobne naprawy ale nie zamierzam jej wyrzucać. Praktycznie zakładam ten sprzęt zawsze wtedy, gdy wybieramy się do Arturówka w Łagiewnikach. Myślę, że musi czuć zapach lasu, którym przesiąknięte jest to ubranie. Jego zapach sprawia, że zaczyna wskakiwać na mnie, biegać i kręcić na wszystkie strony swoją puszystą kitą. Pies ma nawet — jak niektóre źródła podają — kilka tysięcy razy czulszy zmysł powonienia od człowieka. Jejku, jacy my jesteśmy ubodzy w tym przypadku, porównując nas nawet do kundli. Ile zapachów nas omija w tym życiu…

Skończyłem moje przygotowania, założyłem obrożę na szyję rudego kundelka i w drogę, trochę niepewny o swój organizm na czas tej wyprawy. Na wszelki wypadek wziąłem też telefon, choć raczej nie zabieram tego typu gadżetów, nawet nie posiadam odtwarzacza MP3 ani MP4. Czasami widzę w lesie biegających ludzi, jeżdżących na rowerach, czy po prostu spacerujących — ze słuchawkami w uszach. Postanowiłem zabrać tym razem komórkę, ponieważ nie czułem się jeszcze dobrze. Czasami jakieś bulgotanie w głowie, przepływały po mnie fale osłabienia. Był to praktycznie trzeci dzień bez jedzenia, popijałem tylko wodę. Ostatni posiłek zjadłem w czwartek po południu około piętnastej, a do tego raniutko w piątek dokładnie mnie przeczyściło. Nigdy nie funkcjonowałem tak długo bez jedzenia i trudno mi było powiedzieć, jak organizm może zareagować. Czułem się, więc gotowy do wyjścia, włożyłem telefon komórkowy do kieszeni, powiedziałem mamie, że idę z psem do lasu i będę za jakieś dwie godziny, może trochę później.

Na końcu mojej ulicy praktycznie kończy się miasto, dalej rozciąga się dzielnica domków jednorodzinnych. Miasto i osiedle oddzielone są torami kolejowymi, które biegną z Łodzi do Łowicza i dalej — do Warszawy. Jednak kolej od dwóch lat, teraz już prawie od trzech, nie jeździ — tory były w takim stanie, że podróż trwała dwie i pół godziny, a przecież to tylko pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt kilometrów. Jak możecie się domyślić, zainteresowanie podróżnych było tak „wielkie", iż dzień 1 listopada 2008 czy 2009 roku był ostatnim dniem, kiedy „osobówka z zawrotną prędkością" pomknęła do Łowicza. Czasami można jeszcze zauważyć pociągi, które jeżdżą po tym torowisku, ale są to tylko ciężkie i długie, czasami ciągnące się nawet na kilkaset metrów transporty towarowe. Idąc wzdłuż tych torów, doszedłem do mostu kolejowego, dalej biegnąc nad Bzurą i dalej wzdłuż rzeki przez rozległe, po horyzont rozciągające się pole, do zagajników. Denisa zawsze spuszczam ze smyczy, by mógł się wybiegać i wyszaleć do woli. Jest to wymarzony teren dla takiego pieska.

Ostatni odcinek mojej ulicy przeszedłem wolniutkim spacerem, aż dotarłem do ścieżki, która prowadzi wzdłuż torów, była troszkę nierówna. Kontynuowałem spacer, aż dotarłem do mostu i rzeki. Zszedłem z nasypu kolejowego. Biegłem wzdłuż nurtu około pięciu minut. Denisa — jak zawsze — zatrzymywały najrozmaitsze zapachy, ale zawsze bez problemu na swoich czterech łapach mnie doganiał. Po truchcie, na jakieś pięć minut, znów zwolniłem do spacerowego tempa,

potem ponownie powróciłem do delikatnego biegu, tak by się za bardzo nie forsować. Czuję, że jest nieźle. Dotarłem do stawów, które od zawsze, jak pamiętam, nazywaliśmy „Piętnastkami". Miejsce jest bardzo atrakcyjne, jeśli chodzi o rekreację. Za zagajnikami są stawy, chyba z dziesięć, dość duże, poprzedzielane groblami i dookoła porośnięte różnymi drzewkami i krzaczkami. Pozwalałem sobie na przebieganie coraz dłuższych odcinków trasy. Na szczęście nic złego się nie działo. Oddech był normalny. Z głową wszystko w porządku. Nie robiło mi się też ciemno przed oczami. Całkiem nieźle mi szło. Dla Denisa to też istny raj. Nie zwraca uwagi na temperaturę wody i używa kąpieli, goniąc za kaczką albo za czymś innym. Może po prostu nie biega za niczym, tylko cieszy się wolnością i możliwością obcowania z dziką przyrodą?...

Wędkarze spokojnie oddawali się swojej pasji. Tak, jak wcześniej, zwracałem uwagę jedynie na to, jak oddają się swojemu zamiłowaniu, tak teraz spostrzegłem, że każdy z nich coś je lub pije. Teraz widzę to szczególnie wyraźnie. Mijając spacerowiczów, zwracałem uwagę, że prawie każdy rusza ustami. „No nie — myślę — co się dzieje?" Ludzie chyba większość życia spędzają na jedzeniu, biorąc pod uwagę zakupy, przygotowanie, przechowywanie żywności itd. Jak często myślimy i skupiamy uwagę na tych rzeczach! Ja mogłem jedynie korzystać z uroków przyrody, napawać się widokiem wody, już powoli pojawiającej się świeżej zieleni i smakami powietrza poza miastem. I jeszcze bonus: za stawami są źródła, z których wypływa czysta, krystaliczna i zimna woda. Oczywiście, wziąłem kilka łyków tego życiodajnego płynu, dla mnie jednego z najważniejszych składników mojej diety, właściwie podstawowego i jedynego. Już byłem prawie w połowie drogi. Jeszcze jakieś pięć minut i będę przy klasztorze franciszkanów. Bardzo lubię to miejsce. Stary klasztor, kościół — czasami lubię wejść do niego i pomyśleć, porozmawiać z naszym Stwórcą. To miejsce jest przepełnione Duchem i mistycyzmem. Polecam, jeżeli będziecie gdzieś w pobliżu, naprawdę warto odwiedzić ten podłódzki zakątek. Tym razem tylko pokłoniłem się, oddając cześć temu miejscu, naznaczonemu Duchem Świętym. No i co ważne — tutaj zaczyna się las. Uwielbiam to leśne powietrze, a teraz, muszę powiedzieć, smakowało zupełnie wyjątkowo.

Odkąd sięgam pamięcią, zawsze tu byłem. Kiedyś przyjeżdżałem rowerem. Rower zostawiałem na portierni starego szpitala dla dzieci z chorobami płuc, po czym biegałem po lesie, wyżywając się do woli. Dzisiaj szpitala już nie ma, ale został stary piękny pałacyk, który w tej

chwili wygląda, jakby stał pusty, ale ludzie mówią, że ponoć odnalazł się jego dawny właściciel, czy raczej jego spadkobiercy i państwo oddało tę atrakcyjną, zabytkową, położoną w lesie nieruchomość. No, ale pewnego pięknego dnia rower mi skradziono i od tego czasu przybiegam tu pieszo ze Zgierza, jest to około czterech i pól kilometra.

W Łagiewnikach zaczyna się już prawdziwy las, z sarnami, dzikami, borsukami, chociaż tych ostatnich nie udało mi się nigdy spotkać. I jeszcze coś, czego nie można pominąć - Łagiewniki słyną z klasztoru, zarówno z jego starej, jak i nowej części. Kościółek przyklasztorny wybierany jest przez wiele młodych par na miejsce ślubu. Uważają, że jest to miejsce szczęśliwe; można dać się uwieść urokowi, mistycyzmowi i czarowi tego miejsca. Franciszkanie, bardzo sympatyczni, wyciszeni, pozytywnie nastawieni do ludzi, o co wydaje się być coraz trudniej w dzisiejszych czasach, opiekują się tym miejscem i celebrują obrzędy religijne. Wielu ludzi przyjeżdża tutaj po wodę źródlaną z podklasztornych studzienek, niektórzy przypisują jej właściwości lecznicze i odjeżdżają stąd samochodami wyładowanymi plastikowymi butlami, własnoręcznie napełnionymi wodą. Trochę biegnę, trochę spaceruję. Obserwuję organizm. Ku mojemu zdziwieniu czułem się normalnie, można by rzec bardzo dobrze. Ustąpiły bóle głowy i brzucha, i jest coś jeszcze: czuję się nadzwyczaj lekko. Nie wiem, odnoszę wrażenie, że może już ubyło mi jakieś 2-3 kilo, nie ważyłem się jeszcze, ale coś musiało z wagi zlecieć. Biegliśmy więc z Denisem leśnymi dróżkami, ścieżkami i duktami. Wiosny jeszcze nie było widać, bardziej przedwiośnie, ale powietrze już troszkę inne, delikatne i cieplejsze.

Swoimi ulubionymi ścieżkami znanymi sobie od wielu lat, pędziłem do miejsca, gdzie zwykle zatrzymywałem się na dłuższą chwilę i wracałem z powrotem.

Przemierzałem tę trasę niezliczoną ilość razy. Arturówek jest centralnym punktem Lasu Łagiewnickiego. Są tutaj dwa stawy. Łączy je odremontowany ostatnio mostek. Przy jednym jest plaża i kąpielisko, a na drugim można popływać sobie w sezonie na łódkach, kajakach lub rowerach wodnych, kto co sobie tam wybierze i co lubi. Oczywiście są też leśne bary, domki kempingowe i duży ośrodek wczasowy — coś w rodzaju hotelu. Dla koneserów tenisa też coś jest: trzy atrakcyjnie położone korty tenisowe z ceglaną nawierzchnią.

Coraz więcej ludzi zaczyna doceniać walory lasu. Spacerują, jeżdżą na rowerach, uprawiają „nordic walking" – marsze z przystosowanymi

do tego celu kijkami. Szczególnie starsi ludzie upodobali sobie tę formę ruchu. Kilka lat temu rzadko można było kogoś spotkać w lesie, teraz czasami trzeba omijać główne szlaki leśne, gdyż robi się po prostu tłoczno jak na ulicy w centrum miasta. Poza tym inni też mają psy, a nie wszystkie są tak pozytywnie nastawione do obcych jak Denis.

Mnie jednak interesuje coś innego. Tuż obok kortów, przy tej samej ścieżce, są drążki albo — jak można byłoby je bardziej fachowo określić — poręcze do ćwiczeń. Jest to pozostałość po starej ścieżce zdrowia. Odkąd pamiętam, zawsze robiłem podczas biegów dłuższe postoje, właśnie tutaj. Lubię różne ćwiczenia na poręczach i drążkach, więc zawsze z nich korzystam. Tym razem również postanowiłem sprawdzić, jak jestem silny albo, hm… słaby. O dziwo, forma nie spadła. Robię różne ćwiczenia, tyle samo powtórzeń, co normalnie. No super, fenomen jakiś czy co? A żołądek pusty, że aż do krzyża przyrasta – jak kiedyś mówiła moja świętej pamięci babcia. Denis w międzyczasie biegał i rozkoszował się bogactwem zapachów leśnych. Ja również czułem, że wyostrzyły się moje zmysły, szczególnie powonienie. Po ćwiczeniach, zadowolony, zrelaksowany i dotleniony, rozpocząłem powrót do domu. Myślę, że Denis również był kontent z tej wyprawy.

Podobnie jak poprzednio, bieg i spacer na przemian. Zupełnie bez pośpiechu. Ogromna ilość czasu na myślenie, zagłębianie się w siebie, w to, co nas nurtuje. Rozmyślałem o swoim życiu, o mojej trwającej już trzynasty rok, przygodzie z „Dziewczynką z zapałkami", o tym jaką drogę w życiu wybrałem i dlaczego akurat mnie to spotkało. Czasami, nawet często, spotykam się z pytaniami: „Piotr, dlaczego, skąd ten pomysł, co będzie dalej?".

Przed opuszczeniem lasu usiadłem sobie jeszcze przy jednym stawie, którego wody były spokojne, jakby drzemały — wybrał sobie miejsce swojego snu praktycznie na skraju lasu, nieopodal klasztoru. Są tam ścieżki z ławkami. Usiadłem na jednej z nich, podciągnąłem nogi do pozycji po turecku czy też pół-lotosu i upajałem się chwilą, urokiem miejsca, powietrzem, ciepłem i spokojem.

Był przepiękny, słoneczny dzień. Czasami rowerzyści i spacerowicze rozpraszali moją uwagę. Pojawiali się też mnisi, odwieczni bracia franciszkanie, naśladowcy św. Franciszka z Asyżu, idąc bezszelestnie, jakby płynęli albo unosili się nad ziemią, w czarnych sutannach przepasanych białymi sznurami z końcówkami, które zwisały niemal do ziemi. Po dłuższej uczcie dla ducha i ciała wstałem i ruszyłem w drogę

powrotną do domu. Opuściłem las. Poszedłem do źródełka zaczerpnąć kryształowo czystej i świeżej wody prosto z wnętrza ziemi. Dalej między stawami i rozstawionymi sprzętami wędkarzy, którzy, jak poprzednio, ciągle coś pili i jedli. Dalej przez pola, dróżką do rzeki i do torów kolejowych, potem przez most i już byłem z powrotem na swojej ulicy. W domu zorientowałem się, że moja wyprawa trwała prawie cztery godziny, ale w sumie to nic takiego. Przecież mama nie czekała na mnie z obiadem, który trzeba będzie odgrzewać, czy coś w tym rodzaju. Czasu miałem nad wyraz dużo.

W domu rozmawiałem jeszcze trochę z mamą, opowiedziałem jej o mojej wyprawie. Denis praktycznie rozwalił się w fotelu, na którym zapadł w bardzo głęboki sen. Nasza kotka pokręciła się na stoliku, aż w końcu zaczęła się przymierzać do moich kolan, po czym zwinęła się, jak to ona potrafi, w taki milusi i słodziutki kłębuszek, i też usnęła. Zauważyłem, że po biegu, po kapitalnym dotlenieniu organizmu, czuję się bardzo dobrze. Bóle głowy zupełnie ustały. Jakieś osłabienie minęło. Mało tego — czułem przedziwną lekkość ciała i umysłu. Bardzo ciekawy stan i zarazem nowe doświadczenie. A muszę wam powiedzieć, że zwróciłem też uwagę na tzw. wiatry. Cały czas je miałem. Nie, że co chwila, ale zwyczajnie, jakbym normalnie jadł. Pojawiały się co godzinę lub kilka godzin i to całkiem zdrowe. Mam na myśli — delikatnie mówiąc — że było je słychać. Zastanawiam się, czy to ta woda, czy coś innego, bo treści żołądkowych przecież nie było.

Praktycznie po bieganiu nastąpiło coś w rodzaju przełomu. Był to moment, od którego nie czułem już żadnych boleści ani słabości, a przeciwnie dziwną lekkość. Pośród moich myśli pojawiła się idea napisania książki o tym, jak się pracowało w Fundacji przez te młode lata życia, które w różny sposób poświęcamy wielu sprawom. Ja postanowiłem poświęcić się „Dziewczynce z zapałkami" i ani przez sekundę nie zawahałem się przy podejmowaniu tej decyzji. Nawet w ułamku nie żałuję tego, co zrobiłem, choć mama nieraz powtarzała mi: „Piotrek, daj spokój. Jak ty żyjesz? Nie zarabiasz, nie masz rodziny, ani dzieci. Nawet jakbyś poznał jakąś dziewczynę, to niczego jej nie zapewnisz. Poszedłbyś do Pawła (tj. mojego brata) do pracy. Zarobiłbyś dwa tysiące albo więcej, płacą, jak się należy. A tak — do grobu mnie wpędzisz!". Oj, bolą takie słowa, wierzcie mi, bolą. Choć już dawno mama zmieniła front i mam w niej ogromne oparcie, to echo tych słów czasami powraca i słyszę, jak trudno bliskim zrozumieć i pogodzić się z naszym

przeznaczeniem czy wolą Bożą; naszym bliskim, których kochamy i którym nie chcielibyśmy wyrządzić nawet grama przykrości czy krzywdy. Ale mama na szczęście zobaczyła rzeczy inaczej i to też jest wielka siła i dowód, że ktoś czuwa nad nami.

Minęła niedziela, trzeci dzień ścisłego postu. Nalałem sobie szklankę wody i delektowałem się jej smakiem. Tylko na tyle mogłem sobie pozwolić, pomimo wyczerpującej wyprawy do lasu. Trasa, którą pokonałem wynosiła około piętnastu kilometrów i była też urozmaicana wyczerpującymi ćwiczeniami fizycznymi.

Kładłem się spać po dziewiątej. Samopoczucie miałem bardzo dobre. Postanowiłem przedłużyć post do wtorku. Będzie to razem pięć dni, a dalej — zależnie od samopoczucia — podejmę kolejną decyzję.

Usypiałem tego dnia dużo lepiej, niż przez dwie poprzednie noce.

Dziewczynka z zapałkami wyrusza w swoją wędrówkę

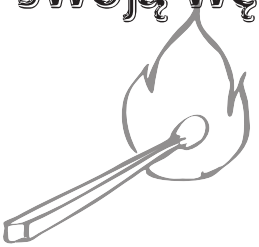

Pierwszym powodem, dla którego została zarejestrowana działalność gospodarcza „Dziewczynka z zapałkami" była, jak pamiętacie, potrzeba zgłoszenia znaku do rejestracji — ochrony autorskiej znaku słowno-graficznego pod tą samą nazwą. Teraz, kiedy pojawiło się realne zagrożenie podkupienia projektu, trzeba było działać możliwie szybko. W sądzie były co prawda złożone już dokumenty w sprawie zarejestrowania Fundacji, ale nie był wiadomy termin wpisania do rejestru nowej organizacji. Na pewno najlepszym rozwiązaniem byłoby rozpoczęcie akcji pod banderą fundacji, ale z drugiej strony perspektywa utraty projektu nakazywała pośpiech, czyli robimy z tym, co mamy, to znaczy: rozpoczynamy na początek pod banderą działalności gospodarczej o znanej nam nazwie. Decyzja była w tamtych okolicznościach tylko jedna: nie czekamy, zaczynamy — co stało się w ten sposób drugim powodem użycia działalności gospodarczej w projekcie „Dziewczynki z zapałkami". Działalność oczywiście miała być prowadzona tylko do momentu wpisania organizacji do Rejestru Fundacji i Stowarzyszeń, co też się stało nie po kilku miesiącach, jak przypuszczałem, ale po znacznie dłuższym czasie. W momencie powstania Fundacji, wszelkie działania i projekty scedowałem zostały na nią.

Dzień inauguracji naszego przedsięwzięcia przypadł na 14 listopada 1998 r. Premierowa sprzedaż miała miejsce w Łodzi, w jednym z pierwszych hipermarketów. Były wtedy trzy: Billa, Carrefour przy ul. Kolumny oraz Makro Cash and Carry. W tym pierwszym z wymienionych ustawiłem się z trzema dziewczynami — studentkami pedagogiki. Jeśli dobrze pamiętam, jedna z nich miała na imię Otylia. Pomagała mi ona również w biurze przy organizowaniu całej eskapady.

Trzeba było pomyśleć również o przygotowaniu ubranka dla naszej „Dziewczynki…". Biegaliśmy po sklepach z materiałami, w niektórych dostawaliśmy za darmo, w innych kupiliśmy za symboliczną złotówkę potrzebne nam rzeczy. Mama jednej z hostess była krawcową, która mieszkała w bardzo egzotycznym dla nas kraju. Jakiś czas przed tym, jak ją poznałem, żyła w Japonii ze swoim mężem Japończykiem. Jak mówiła, różnice kulturowe były na tyle duże, iż uznała, że lepiej będzie dla niej i jej męża, jak wróci do kraju, co też uczyniła. Ale jej mąż nie dawał za wygraną: pisał i prosił, by wróciła do kraju kwitnącej wiśni, co też po długich namowach uczyniła. Na pamiątkę jednak zostały nam ładnie uszyte, proste, długie spódnice z surowych tkanin, ściągane na gumkę i piękny kostium św. Mikołaja. Na marginesie, kostiumy te służą nam wspaniale do dzisiaj. Dziewczyny naszyły na kostiumy aplikacje w postaci dużych i kolorowych łat. Drugim elementem kostiumu była chusta – duża, z surowego materiału, do założenia na głowę i na ramiona bądź na same ramiona. Kostiumy były gotowe. Należało jeszcze coś wymyślić, żeby „Dziewczynka z zapałkami" miała gdzie trzymać swoje zapałki. Najlepsze byłyby koszyczki wiklinowe – ale te okazały się drogie - tak więc trzeba było znaleźć coś taniego, funkcjonalnego i pasującego do całego anturażu. Idealnym rozwiązaniem okazały się tekturowe pudełka po warzywach i owocach — trzeba tylko było obciąć nożykiem górną część i wychodziło coś w rodzaju tacki głębokiej na dziesięć centymetrów. Pudełko tekturowe wyglądałoby licho, mało estetycznie i na pewno niespecjalnie baśniowo, ale na to też był pomysł: oklejaliśmy je brązowo-beżową tkaniną jutową i wychodził idealny koszyk dla dziewczynki, właśnie taki baśniowy. Powstały koszyk można było sobie zawiesić na szarfie z tego samego materiału, przewieszając ją przez ramię albo na szyi.

Potrzebne były też skarbonki na pieniądze, gdyż przy takiej sprzedaży charytatywnej ludzie na pewno będą wrzucać różne kwoty pieniędzy. „Każdy może zapłacić za baśniowe zapałki, ile chce i na ile może sobie pozwolić" — takie było jedno z haseł promocyjnych, a w takim przypadku z wydawaniem reszty mógłby być kłopot, zwłaszcza, że takich hostess sprzedających zapałki będzie dużo. Planowałem, by zorganizować podobne akcje w różnych miastach. Zamykane skarbonki były najlepszym rozwiązaniem. Udało się i z tym rekwizytem — znaleźliśmy sympatycznych ludzi, którzy prowadzili firmę. Zajmowali się sprzedażą pleksi i jednocześnie wykonywali z tego materiału róż-

ne rzeczy, np. banery reklamowe. Z odpadów sklejali nam skarbonki, licząc sobie niewiele – tylko za godziny pracy zatrudnionej przy tym osoby. Skarbonki były bardzo dobrze zaprojektowane: denko miały ruchome i zamykane na małą kłódeczkę, każda skarbonka posiadała swój numer i kluczyk. Oczywiście, kluczyki były zabezpieczone przed niepożądanymi osobami w biurze Fundacji. Tak więc oto mieliśmy już piękne skarbonki. Jeszcze tylko specjalne identyfikatory i tabliczki z napisem „Promocja" i to praktycznie prawie wszystko, czego „Dziewczynka z zapałkami" potrzebowała, by rozpocząć swoją baśniową misję.

No, ale czy jeszcze czegoś nam brakuje? No właśnie, może zapałek? Nie, tych mieliśmy bardzo dużo. Malutkie pudełeczka, pakowane w większe paczki, a potem w duże pudła. Zadbałem o to na początku, by „Dziewczynka…" nie musiała się martwić, że może zabraknąć jej zapałek. Pudełeczka były gładkie, bez nadruku, więc nabijaliśmy już tylko stempelki z, tak ważnym w całym przedsięwzięciu, wizerunkiem naszej bohaterki. Historię tych zapałek przybliżę później, bo też będzie o czym pisać.

Około godziny dziesiątej wyruszyliśmy do marketu. Oczywiście, dyrekcja wydała nam bez problemu zgodę. Wszystko było gotowe i zapięte na ostatni guzik. „Dziewczynka z zapałkami" wyruszyła w swoją wędrówkę. Wszystko odbywało się w dużym tempie.

Zaczynamy wcześnie, jest szansa, by na Święta, do których zostały dwa miesiące, „Dziewczynka z zapałkami" mogła być obecna we wszystkich sklepach. Stanęliśmy w galerii. Dziewczyny ubrane w kostiumy, ja normalnie, sportowo: jeansy, jasna koszula. Wziąłem też zestaw do sprzedawania, tzn. koszyczek, zapałeczki i skarbonkę. Przypięliśmy sobie identyfikatory, na których wcześniej wpisaliśmy imiona i nazwiska. A na końcu tabliczki z napisem „Promocja", gdyż zaczynała się akcja, jakiej świat nie widział.

— Dziewczyny — mówię — jesteście gotowe? Zaczynamy. Pamiętajcie, musimy być supermili, sympatyczni, każdemu trzeba pięknie powiedzieć „dzień dobry", opowiedzieć króciutko o naszej promocji, zaprosić do udziału. Zapałki kosztują raczej nie mniej niż dwa złote, ale każdy może zapłacić, ile uważa. Każdemu trzeba podziękować, niezależnie od tego czy kupił, czy nie i życzyć miłego dnia lub weekendu. Patrzcie, przyglądajcie się uważnie, pokażę, jak to powinno wyglądać, a później spróbujecie tego samego.

Oczywiście, nie mogłem sobie odmówić sprzedaży pierwszego

pudełeczka zapałek. Pierwsza była pani w wieku około 60 lat, prawie sama podeszła z zainteresowaniem. Oglądając koszyczek, zapytała:

— A jaką to macie ciekawą promocję, moje dzieci? — dodała po babcinemu. Zorientowała się po naszych tabliczkach z napisem „Promocja", umieszczonych obok identyfikatorów.

— A, proszę pani, najwspanialszą! Są to zapałki dziewczynki z zapałkami. Na pewno pani zna tę bajkę. Kupi pani takie zapałki, to pomoże pani dzieciom.

— A ile kosztują?

— Chociaż dwa złote proszę zapłacić.

— O, jak drogo!

— Proszę pani, jeśli chodzi o pomoc „Dziewczynce z zapałkami", to wcale nie jest drogo. Ile trzeba pieniędzy, żeby nakarmić, ubrać i wychować dzieci?…

— No tak, ma pan rację, proszę, oto dwa złote.

— Proszę wrzucić do skarboneczki. Proszę — powiedziałem, podając jej zapałkę. — Oto piękne zapałki. Miłego dnia, życzę zdrówka i do zobaczenia.

Dziewczyny przyglądały się temu i słuchały.

— Dziewczyny — mówię — to historyczna chwila, byłyście świadkami, jak sprzedaliśmy pierwsze baśniowe zapałki dziewczynki z zapałkami. Literacka fikcja i fantazja Andersena stała się faktem!

Tak oto zaczęliśmy premierową akcję Fundacji, bez fleszy aparatów i kamer telewizyjnych, po cichu i skromnie. Byłem jeszcze z dziewczynami jakieś trzy, cztery godzinki; dziewczyny zostały do wieczora. Po pracy musiały dodatkowo pozaklejać skarbonki specjalnie do tego przygotowanymi banderolami i umówiliśmy się, że po akcji spotkamy się w biurze. W sumie sklep ten jest tuż obok naszego wieżowca, dosłownie dziesięć, piętnaście minut szybszym krokiem.

Wracając wcześniej do biura, wiedziałem, że jest sukces i trzeba przygotować się na ogrom pracy. Plan był taki, by jak najszybciej uruchomić akcje we wszystkich marketach w Łodzi, a jak się da, to również w Warszawie. W sumie jest to miasto położone najbliżej Łodzi, z licznymi i dogodnymi połączeniami komunikacji, a i dużych sklepów już tam było kilka. Trzeba było przygotować dużo kostiumów, koszyków… Zapałek akurat mieliśmy aż nadto. Ale przede wszystkim musiałem opracować plan koordynacji hostess — jeśli będzie to duża grupa, pracować będą od rana do popołudnia i od popołudnia do wieczora

w kilku miejscach, a później może w kilkunastu i więcej. Przygotowałem coś w rodzaju grafików sklepów z kalendarzem w wierszu poziomym i godzinami z porami dnia w kolumnach. Sporządziłem listę hostess i według liczby porządkowej nanosiłem odpowiednie numery w kratkach grafiku. Ten prosty system pozwalał nam dokładnie pilnować, jaka hostessa pracuje w jakim markecie, w jakich dniach i godzinach. System ten funkcjonował przez siedem lat aż do wstrzymania tego projektu, ale o tym będzie dalej.

Grafik ulegał pewnym kosmetycznym zmianom. Obok numeru hostessy nanosiliśmy kwotę pieniędzy przez nią uzyskaną, ilość sprzedanych zapałek, obliczaliśmy średnią cenę za sprzedane zapałki, pojawiły się symbole oznaczające uczestnictwo dziewczyny w akcji pierwszy raz itd. – takie dane ułatwiające koordynowanie pracy naszych pierwszych dziewczynek z zapałkami.

No i koszyczki na zapałki — biegałem po sklepach i zbierałem pudełka tekturowe po warzywach i owocach; wtedy winogrona były w takich bardzo dobrych, nie za dużych, nie za małych, po prostu idealnych opakowaniach. Czy zwróciliście na to uwagę przy zakupach? — tych kartonowych skrzyneczek jest bardzo duża gama — rozmiary, różne grubości tektury itd. Wybierałem te najlepsze i zanosiłem do naszego biurowca. Nie było żadnego pomieszczenia socjalnego czy warsztatu, tak więc małe biuro zaczynało pełnić funkcje wszelakie. Obcinałem zbędną tekturę z pudełek, odpady od razu wyrzucałem, by zajmować tą „pracownią" — co by nie powiedzieć — „powstałym warsztatem" jak najmniej miejsca i utrzymywać biuro we względnym porządku. Tacki tekturowe wymagały tylko oklejenia płótnem jutowym. Znalazłem w Częstochowie firmę, która za symboliczną złotówkę dostarczyła mi całą belę tego płótna. Klej z kolei załatwiłem w hurtowni — najlepszy do tego tzw. klej CR, używany do celów introligatorskich — biały jak mleko i gęsty jak kisiel czy budyń, dostępny w sprzedaży w plastikowych wiadrach po około dziesięć kilogramów w jednym opakowaniu. Można było go rozcieńczyć wodą do oleistej konsystencji, a może nawet bardziej do konsystencji rzadkiej śmietany, po zastygnięciu robił się przezroczysty, co było bardzo wygodne w przypadku, kiedy biały klej przesiąkał tkaninę i nie wyglądało to dobrze. Po wyschnięciu problem znikał wraz z odparowaniem wody. Z dziewczynami oklejaliśmy pudełka i robiliśmy do nich szarfy podtrzymujące, jak w prawdziwej manufakturze. Dawaliśmy radę, powoli cała impreza nabierała tempa i baśniowych kształtów.

Ogłoszenia w łódzkich gazetach — „Expressie" i „Dzienniku" — robiły swoje. Przychodziło sporo zainteresowanych studentek. W sumie pracę tę na początku wykonywały same dziewczyny — mógłbym powiedzieć młode panie, dopiero po jakimś czasie pojawili się pierwsi chłopcy — przepraszam, aby nikogo nie urazić, napiszę — panowie. Rozmowy kwalifikacyjne non stop, przede wszystkim ocenialiśmy autoprezentację i aparycję kandydatek na hostessy. Przyjmowaliśmy CV, na których sporządzaliśmy notatki i umawialiśmy się na kontakt telefoniczny.

Oczywiście, prowadzone były rozmowy ze sklepami — tutaj „Dziewczynka z zapałkami" spotkała się z dużą życzliwością. Wtedy byliśmy organizacją, która zaczynała i która znalazła swoje miejsce w otaczającym nas świecie. Znaleźli się ludzie, którzy przygarnęli dziewczynkę z zapałkami — „zaprosili w swe progi i pod swój dach" — jak ujmowałem w pismach zapraszających do projektu dyrekcje hipermarketów. Byłem w euforii, szczęśliwy, że nareszcie znalazłem swój kawałek miejsca na świecie i pod naszym niebem. Jestem potrzebny. Sam wszystko projektuję, zaczyna budować się nowa jakość w świadomości ludzi i to chyba w jednym z najpiękniejszych wymiarów, jakim jest pomoc bliźnim, a szczególnie potrzebującym dzieciom: opuszczonym, zaniedbanym, osieroconym, oszukanym i odartym z godności. Czułem, jak jakaś magiczna siła wręcz mnie unosi i pozwala wznieść się do góry. Nie dość, że miałem sposób na zdobywanie pieniędzy dla „Dziewczynki z zapałkami", to pojawiające się rzesze studentów — no, przepraszam, głównie studentek — mogły zarobić całkiem przyzwoite wynagrodzenie na „studenckie kieszonkowe". Czasami pytałem, co zamierzają zrobić z zarobionymi pieniędzmi — były to głównie plany związane z utrzymaniem się na studiach.

Dawało mi to tym większą satysfakcję, że sam nie skończyłem studiów — musiałem je przerwać między innymi z powodów finansowych. Weźcie pod uwagę, że były to czasy ogromnego bezrobocia w Polsce i towarzyszących temu zjawisku wszelakich patologii, na przykład: mobbing, molestowanie w miejscu pracy, które w tamtym czasie zaczęły się pojawiać, kiedy wcześniej nie były one znane. Praca ta dla niektórych była też pasją, tak, jak dla mnie, i naprawdę z tymi osobami bardzo chciało się żyć i pracować. Człowiek jeszcze bardziej wzrastał w swoim, już powoli baśniowym szczęściu i świecie. A przychodzili studenci praktycznie wszystkich kierunków studiów: prawa, medycyny, ekonomii oraz ludzie z politechniki i oczywiście dużo dziewcząt

z pedagogiki. „Dziewczynka z zapałkami" pomimo niezbyt szczęśliwego startu w świecie mediów otrzymała ogromne wsparcie społeczne. Ludzie bardzo chętnie kupowali zapałki, niektórzy płacili za nie nawet papierkowymi pieniędzmi.

Raz hostessa w jednym z hipermarketów podeszła do sympatycznego mężczyzny i jak zwykle zaproponowała zapałki. Pan wziął jedno pudełeczko, uśmiechnął się do niej, wyciągnął portfel, wyjął banknot dwustuzłotowy i włożył do skarbonki. Dziewczyna oniemiała z wrażenia. Musiała usiąść i ochłonąć. Minęło chyba z piętnaście minut zanim wróciła do pracy. Wszystkie dziewczyny, które były z nią w tym czasie, miały podobne odczucia. Takich momentów było kilka. Mniejsze kwoty pojawiały się częściej. Zapałki szły jak woda. Ruch w małym biurze małej „Dziewczynki z zapałkami" robił się coraz większy…

Dziewczyny z pierwszej akcji wróciły do biura zmęczone, ale szczęśliwe. Skarbonki miały ciężkie, a zapałek niewiele. Rozmawialiśmy długo, pomimo już dosyć późnej pory. Wypytywałem szczegółowo o wszystko. Pierwszy dzień można było uznać za pełen sukcesu. Teraz został jeszcze jeden bardzo ważny problem do rozwiązania i to najbardziej konkretny — pieniądze. Dziewczyny przyniosły skarbonki, sprawdziłem — zabezpieczone. I co dalej? Ciężkie — fajnie. Były cztery, razem z moją. A jeśli będzie ich dziesięć, dwadzieścia razy więcej? Co wtedy? Ale oczywiście tutaj też musiało się znaleźć rozwiązanie i sposób na poradzenie sobie z taką ilością pieniędzy. Pomyślicie: „OK, czym więcej, tym lepiej". Ja myślałem podobnie, ale jeśli jest to dużo pieniędzy w bilonie, to pojawiają się pewne komplikacje. Powiecie: „Są banki, w czym problem?". Wtedy też było ich już sporo. Ale nie, nie jest łatwo dzisiaj, a tym bardziej wtedy — banki nie chcą przyjmować bilonu, jeśli już, to liczą słone prowizje. Poza tym to nie tak, że przyniesiesz bilon, powiesz: „Proszę, oto pieniążki" i już. Też mi się wydawało, że przyjmą, że się ucieszą, przeliczą, posortują – przecież banki mają na pewno specjalne maszyny i tylko na ciebie czekają. Ależ skąd, nikt nie czeka i nie jest zadowolony; i bank też nie. Papierki — OK, jak najbardziej tak. Ale bilon waży. Jak jest tysiąc złotych — już jest ciężko, jak kilka tysięcy, to już bardzo ciężko — jak jest „odpowiedni" nominał, to potrzeba dwóch panów, aby taki ciężar podnieść. Maszyny też mają ale do banknotów a już nie koniecznie do bilonu.

Na początku było duże biurko, potem stół — oczywiście własnej roboty — czarna oklejona płyta o wymiarach bodaj sto pięćdziesiąt na

sto dwadzieścia centymetrów, a do tej płyty przykręcone nogi — takie rury, co to można kupić za dwadzieścia złotych w każdym sklepie meblowym. Metoda była prosta i też przetrwała — nawet dłużej niż opisywane wcześniej grafiki — służyła nam dziesięć lat, po upływie których zdobyliśmy specjalne maszyny do sortowania i liczenia bilonu. Przy stole siadały trzy osoby — tak zwani członkowie komisji. Otwierały komisyjnie skarbonki — jedną bądź każda hostessa swoją. Zadaniem ich było tylko uporządkowanie bilonu, tzn. ułożenie go w słupki po dziesięć sztuk i podzielenie tak, by każdy nominał był osobno widoczny i można go było szybko policzyć. Następnie na gotowych, specjalnie przygotowanych karteczkach wpisywało się imię i nazwisko „właściciela" skarbonki. Potem ilość każdego nominału – jeżeli było dużo, a było, to liczyło się ilość słupków i mnożyło przez dziesięć. Słupki ustawiane były obok siebie, tak, aby widać było wyraźnie, czy gdzieś nie ma dodatkowej lub brakującej monety, Jeśli słupek był niepełny, przeliczało się go i wartość wpisywało na karteczce obok, np. 159 x 1zł. Kiedy komisja kończyła pracę, podchodziłem i przeliczałem razem z hostessami, sprawdzając, czy ilości są zgodne z tym, co na kartkach. Jeśli się zgadzało, to każdy nominał zsypywało się do osobnego worka. Przy pomocy grubej linijki radziliśmy sobie z tym błyskawicznie. Po zakończeniu liczenia i zabezpieczeniu pieniędzy obliczaliśmy kwoty z kartek i wpisywaliśmy na KP (dokument kasowy potwierdzający przyjęcie pieniędzy przez kasę, oczywiście zawsze z kopią dla wpłacającego. Gotowe druczki można nabyć w każdym sklepie z drukami akcydensowymi, inaczej — biurowymi). Oczywiście, na dokumencie pisaliśmy imię i nazwisko animatora, tytuł przyjęcia: „ze sprzedaży zapałek baśniowych" w takim a takim mieście, sklepie i dniu, w godzinach tych i tych. Potem kwota i podpis osoby przyjmującej i wystawiającej pokwitowanie. Oryginał do mnie, a kopia do animatora, wpłacającego pieniądze. Czasem liczenia było tak dużo, że z komisją siedzieliśmy do późnych godzin nocnych. Nie miałem czym wracać do domu, więc spałem w biurze do rana. Samochodu nie posiadałem już wtedy od kilku lat. Poruszałem się po mieście komunikacją miejską, tak, jak to robię do dzisiaj. Pomimo tego, że mieszkałem i mieszkam z moją mamą i zwierzakami po dziś dzień w jednym z podłódzkich miasteczek.

Najważniejsza od samego początku była zasada przejrzystości i uczciwości — bez tego nie dałoby się nic zrobić. Jest to jeden z warun-

ków prawidłowego wzrastania i rozwoju w każdej dziedzinie, poczynając od najmniejszych społeczności, poprzez państwa, miasta, a kończąc na elementarnym związku dwojga ludzi — przyjaciół, którzy się wspierają, bądź związku, gdzie pielęgnuje się miłość, jak krzew różany w ogrodzie. Jeśli zakradną się w takie związki: fałsz, obłuda czy zakłamanie, nie ostanie się żaden. Przyjaźń i miłość staną się tylko szybko przemijającym snem — niedostępnym, nierealnym pragnieniem do zrealizowania. Żyć będziemy tylko pozorami i czasami grą aktorską, najczęściej dramatyczną. Wieczne zagubienie i dyskomfort stratują, zniszczą wszystko, a na końcu nas samych.

W tym czasie miałem dziwny sen. Śniło mi się, że z porów w mojej skórze wychodzą smoki czy jakieś węże. Jak próbowałem je wyrwać czy usunąć, na miejsce każdego pojawiały się dwa następne i było ich coraz więcej i więcej. Bardzo zastanowił mnie ten sen i nie dawała mi spokoju chęć znalezienia wyjaśnienia jego dziwnej treści. Spokój i ulgę dała mi w końcu interpretacja: węże wychodzące ze mnie to złe uczynki, próba zniszczenia ich poprzez usunięcie z mojego ciała tylko pogarszała sytuację, przybywało ich jeszcze więcej. Oznaczało to dla mnie, że nie mogę wydać z siebie ani jednego węża, ani jednego złego działania, uczynku czy postępowania, raz wydany stworzy kolejną nieskończoną liczbę węży, a źródłem ich powstania będziemy my sami — my, którzy czynimy zło. I odwrotnie — każde dobre działanie spowoduje odwrotną reakcję. Niech to będzie róża, która w nas zakwitnie. Będzie rosnąć, pączkować i tworzyć nowe piękne kwiaty. To wyjaśnienie na tyle mnie wzmocniło, że na każdym kroku wystrzegałem się fałszywego działania i uczynku. Jeszcze ważniejsze było to dla mnie jako opiekuna prawnego „Dziewczynki z zapałkami". Poczułem już wtedy, że odpowiadam za wszystkie dzieci: chciane, a przede wszystkim te niechciane, i resztę swojego życia poświęcę właśnie dla nich. Tak więc koniecznie, przy tej wrażliwej i delikatnej materii, jaką są pieniądze, musiała działać jak najbardziej klarowna zasada rozliczania. Każda z hostess mogła, a nawet musiała być co jakiś czas świadkiem tego, co się dzieje z pieniędzmi. Bezwzględnie każdy dostawał kopie swojej wpłaty KP, które były ponumerowane i bardzo skrupulatnie księgowane, by żadna złotóweczka nie zginęła. A dokumentację zawsze, w każdej chwili, mógł ktoś sprawdzić. Może to zrobić nawet dzisiaj.

Na tym etapie wszystko zostało zrobione i jeśli o to chodzi, mogłem spać spokojnie, ale życie jest tak bogate, że nie pozwala na stagnację

czy nudę. Pojawiły się nowe sprawy, bardzo niebezpieczne dla wszystkich i samej „Dziewczynki z zapałkami". Wyobraźcie sobie: przychodzą dziesiątki i setki dziewczyn, idą do pracy i mają kontakt z pieniędzmi. Są one z różnych środowisk, mają różnych chłopaków czy narzeczonych, którzy też żyją w różnym otoczeniu itd. Zaczęliśmy się spotykać z sytuacjami, gdzie mimo fajnego zarobku, zaczęli pojawiać się amatorzy „ekstra" pieniędzy. Może łagodnie o tym piszę, ale sprawa była bardzo ciężka.

W pierwszych takich przypadkach, kiedy odkrywałem, że ktoś kradł pieniądze, robiło mi się niedobrze i mdliło mnie. Dopiero po jakimś czasie wypracowałem odpowiednie podejście i nastawienie do tych osób. Po prostu zacząłem ich traktować jak nieszczęśliwych i cierpiących w chorobie ludzi. To mi bardzo pomogło w wyrzuceniu z siebie złych emocji względem takich osób i wzbudzeniu w sobie współczucia i litości wobec nich. Ale skąd wiedzieliśmy, kto podbiera pieniądze? Na szkoleniach, które organizowałem dla hostess, polegających na prezentacji i sposobach kontaktu z klientami, podpowiadałem, jak zachować się w razie różnych reakcji ludzi. Dużo czasu poświęcałem temu, jak ważna jest uczciwość w każdej pracy i działaniu. Uczulałem, że wszyscy odpowiadamy za „Dziewczynkę z zapałkami" i że jeśli trafi się „czarna owca", która napsoci, wszyscy poniesiemy tego konsekwencje. Wystarczy, że któryś z klientów czy pracowników marketu zauważy, że hostessa podbiera pieniądze. Jest to tak krucha materia, że dyrektor może nam zabronić prowadzenia akcji nawet w natychmiastowym trybie. Traci wtedy pracę nie tylko „czarna owca", ale kilkadziesiąt osób. Ludzie, jeśli przekażą sobie taką wiadomość, nie będą chcieli nam dawać pieniędzy i wszyscy na tym stracimy. Szkolenie takie trwało od pół godziny do godziny i było bardzo skuteczne. Dziewczyny się pilnowały, a jeśli pojawił się – ja to muszę powiedzieć – złodziej, już po dziwnym zachowaniu można było go rozpoznać. Przekazywano sobie tę informację z ust do ust i szybko dowiadywaliśmy się, kto jest osobą do „rekonwalescencji". Oczywiście, można było jeszcze analizować wyniki sprzedaży i po tym też było widać, że jest jakieś „złe licho".

Zazwyczaj mechanizm działania — inaczej mówiąc, psychologia czynienia zła – jest w naturalny sposób taka sama, tzn. zaczyna się od złotówki, potem bierze coraz więcej i więcej. Zaczyna być to widoczne i na końcu łapiemy go. Poza tym, liczyliśmy przecież razem pieniądze, dużo rozmawialiśmy, dało się zauważyć pewną przynależność do do-

brego uczynku i integrację grupy. Tak więc ta sprawa była marginalna i dziewczynka z zapałkami szła dalej.

Rozpisałem się, ale wracając do wieczoru po pierwszym dniu akcji, przeliczyliśmy z dziewczynami pieniądze, były to wtedy tylko cztery skarbonki. Sporządziliśmy należycie i wzorcowo pierwsze KP, obowiązkowo z podpisami komisji. Ustaliliśmy grafik, kiedy dziewczyny będą pracować i rozstaliśmy się zmęczeni, ale szczęśliwi z powodu naszej historycznej premiery na rynku łódzkim. W dniu, kiedy cicho i bez mediów, blasku fleszy, kamer i mikrofonów, „Dziewczynka z zapałkami" rozpoczęła swoją wędrówkę w wielki świat.

Tak oto prezentowała się nasza dziewczynka z zapałkami na premierze w październiku 1998

Poniedziałek, czwarty dzień

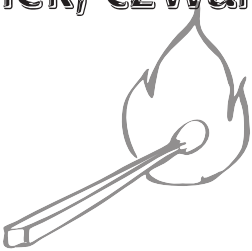

Miałem wrażenie, że mój sen nie był zbyt głęboki. W nocy przebudziłem się raz. Wstałem około szóstej, jak zwykle trochę poćwiczyłem. Czułem się dobrze, a nawet bardzo dobrze. Nie byłem głodny, nie odczuwałem też żadnego dyskomfortu. Byłem dziwnie lekki, również podczas ćwiczeń. Miałem podobną wytrzymałość i siłę jak przy normalnym odżywianiu. Pomiędzy ćwiczeniami trochę odpoczywałem. Dzięki temu czułem, że jestem w stanie bardziej się wyciszyć.

Śniadanie — szklankę wody — „zjadłem" z mamą i w towarzystwie zwierzaków, które kręcąc się, momentami przyglądały się uważnie, a czasami zaczepiały, jakby chciały, by podzielić się z nimi śniadaniem. Trochę czasu zajęła mi też poranna toaleta. Ogoliłem zarost na brodzie i głowie, czego nie robiłem już co najmniej od tygodnia. Preferuję tę fryzurę od czasu, kiedy stwierdziłem, że grzywka dość mocno się przerzedziła. Było to dla mnie trochę dziwne, biorąc pod uwagę fakt, że moja mama ma ładne, gęste włosy, a ojciec jeszcze w wieku ponad siedemdziesięciu lat mógł szczycić się bujną czupryną. A ja, dobiegając trzydziestki, niestety zacząłem tracić włosy. Wystarczyło, że powiał mocniejszy wiatr. Trwało to całkiem krótko, miałem wrażenie, że miesiąc czy dwa i już było po pięknej, bujnej grzywce. Tak więc zakończył się etap życia, kiedy włosy na głowie służyły mi za ozdobę. Musiałem podjąć ekstremalną decyzję.

Wziąłem maszynkę do strzyżenia, po której zostaje tak zwany „trzydniowy zarost". Zacząłem działać: broda, od dołu, boki, góra — wszystko spadło do umywalki i ten charakterystyczny dźwięk pracującej maszynki do golenia. Zebrałem włosy, było ich niewiele. Bez problemu zmieściłem je w dłoni, wyrzuciłem do kosza i już było po wszystkim.

Dzięki temu mycie włosów na głowie stało się bardzo wygodne. Prócz twarzy, mogę wykąpać od razu całą głowę. I wiaterek przyjemnie

chłodzi. Są też mniej dobre strony takiego zabiegu, chociażby to, że na słońcu trzeba zawsze pamiętać, aby ją osłonić. Poza tym, jeśli tylko zaczyna się robić chłodno, również trzeba coś nosić na głowie. Nawet w czasie snu, w chłodne noce, dobrze jest mieć jakąś „sympatyczną" szlafmycę. Pojawił się też nowy rekwizyt w mojej garderobie — czapka, a dokładnie kilka czapek. Muszę przyznać, że nawet je polubiłem.

Po zmianie mojego wizerunku mama nie była zbyt zadowolona. Nawet więcej, omal nie zemdlała. „Piotrek, coś ty zrobił?!" Szczerze powiem, że do dzisiaj nie przekonała się do mojej nowej fryzury albo raczej jej braku, a minęło już około 10 lat.

***

Po godzinie ósmej byłem już gotowy do wyjścia. W grę wchodziła tylko droga przez las. Już wiedziałem, że przebywanie na świeżym powietrzu połączone z ruchem i wysiłkiem fizycznym sprzyja mojemu ogólnemu samopoczuciu. Miałem wrażenie, że punktem zwrotnym w metabolizmie organizmu była wczorajsza wyprawa do lasu z Denisem. Już w czasie biegu czułem się dobrze. Idąc przez las, zauważyłem tylko, że moje naturalne ruchy i tempo marszu się zmieniły. Mocno zwolniłem. Sylwetkę miałem natomiast bardziej wyprostowaną. Myślę, że ten sposób chodzenia wymaga mniej energii. To tak, jak ekonomiczna jazda samochodem. Wtedy znika ten charakterystyczny dla współczesnego człowieka pośpiech. Zmienia się oś wartości. Człowiek nabiera dystansu do wszystkiego.

Byłem dość ciekawy mojego pierwszego dnia w pracy, moich reakcji, szczególnie na jedzenie. Faktycznie zauważyłem, że w większości cały czas coś jemy, jakiś posiłek typu: kanapki, sałatki, surówki, parówki. Masę różnych innych rzeczy. Wiele osób zaprasza do spróbowania czegoś, częstujemy się nawzajem. Jeśli ktoś akurat nie je, to pije herbatkę albo kawkę, oczywiście tradycyjnie do tego jakieś ciasteczko albo cukiereczek.

Zauważyłem też, że więcej siedzę. Jeśli ktoś przychodzi z jakimś problemem albo sprawą, zapraszam go, aby usiadł przy moim stoliku. Jeśli z kolei ja chcę z kimś porozmawiać, też proszę, by ta osoba przyszła na salę, gdzie siedzę. Myślę, że zespół pracowników zorientował się, że mówię wolniej i bardziej spokojnie niż zwykle. Robię dłuższe pauzy. Podobnie chyba jak z chodzeniem i poruszaniem, tak i z mówieniem pojawia się coś w rodzaju mówienia „ekonomicznego". I co bardzo ciekawe, wyraźnie poprawia się koncentracja. Człowiek bardziej

się skupia na konkretnych słowach czy wypowiadanych kwestiach. Podobnie w rozmowach, w czasie których bardziej jest się skupionym na osobie, z którą się rozmawia. Jest to bardzo pomocne i lepiej się pracuje.

Zauważyłem także, że nie przeszkadza mi, kiedy koledzy i koleżanki z pracy przygotowują i konsumują posiłki. Zapachy zaczynałem traktować na zasadzie ciekawostek. Zapach jedzenia to dla mnie teraz coś w rodzaju wąchania kwiatów.

Dzisiejszy dzień w pracy minął bardzo szybko. Praktycznie nie robiłem przerw na posiłek, bo przecież poszczę. Nie musiałem także wychodzić do sklepu. Na razie nikomu jeszcze nie powiedziałem o moim postanowieniu i poście. Odprowadziłem Hanię na przystanek. Pożegnaliśmy się czule jak zawsze i wróciłem do biura Fundacji. W pierwszej kolejności miałem w planach trening, a później pisanie książki. Poszedłem spać około dziewiątej. Przed snem zwyczajowo wypiłem szklaneczkę wody i tak zakończyłem czwarty dzień postu.

Inwazja jogurtowa

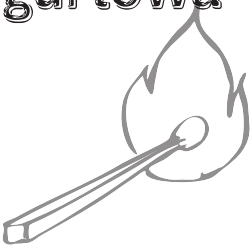

Przyjechałem do biura jak zwykle pomiędzy ósmą a dziewiątą. Dojeżdżam z pobliskiego miasta oddalonego od Łodzi o około dziesięć kilometrów. Najbardziej lubię przebywać tę trasę pociągiem — podróżuje się szybko, powietrze jest wspaniałe. Pociąg jedzie przez las, z dala od ulic i wyziewów silników spalinowych.

Tego dnia jednak jechałem z bratem — mieszkał niedaleko. Korzystałem wtedy czasami, jak i dziś, z autobusów prywatnych, które jeżdżą do Łodzi. Czekałem na autobus już jakieś pięć minut, gdy nagle zatrzymał się samochód. Od razu rozpoznałem brata, ręką wskazywał mi kierunek, w którym jedzie. Podbiegłem, otworzyłem drzwi, szybko wsiadłem do auta i ruszyliśmy.

Niestety, przyznam się, że niespecjalnie lubiłem z nim jeździć. Adrenalinę dawało się wyczuć w powietrzu. Chyba podobnie zachowuje się wielu kierowców — są jakby w pewnym transie i jak tylko coś na drodze dzieje się nie po ich myśli, stają się gwałtowni i agresywni, co jest bardzo widoczne w mimice i spojrzeniu. Komentarze na temat innych kierowców i różne gestykulacje sprawiają, że nie czuję się dobrze, jadąc z takim kierowcą.

Brat, tak jak każdy, ma „swój świat". Nasze światy muszą być bardzo różne, gdyż raczej nie rozmawiamy w czasie jazdy — on chyba myśli o swoich sprawach, a ja wyciągam coś do czytania albo swój kalendarz i przygotowuję się do kolejnego dnia pracy. Droga minęła dosyć szybko i nie wiadomo kiedy już wysiadałem z auta pod biurowcem na Piotrkowskiej.

W tamtym okresie moim pomocnikiem i jedynym pracownikiem biura była Magda, starsza sympatyczna pani z dużym doświadczeniem zawodowym. Wcześniej pracowała między innymi przy produkcji filmów. Czasy pomyślne dla branży filmowej jednak się skończyły, a ona

straciła pracę. Zaczęła wertować ogłoszenia w prasie, gdzie trafiła właśnie na nas i tak znalazła się w Fundacji. Była bardzo zaangażowana i ofiarna. Dało się wyczuć, że chce pomagać.

O godzinie dziesiątej miała podjechać ciężarówka z jogurtami i serkami. Magda już była na dole. Zauważyła mnie, jak szedłem i czekała przy recepcji. Przywitaliśmy się. Wymieniliśmy powitalne uprzejmości z ochroną — znaliśmy się dobrze z niektórymi panami. Rzadko zdarzają się kobiety, które podejmują tę pracę. Cała służba ochrony w tym budynku była zatrudniona u mojego brata w firmie ochroniarskiej.

Jego firma rozwijała się w imponującym tempie. Jeszcze parę lat temu brat na zmianę ze wspólnikiem ochraniał budowę należącą do jednego z najbogatszych ludzi w Łodzi. Na początku działalności mieli tyle pieniędzy, aby opłacić jeden, czy dwa miesiące czynszu za niespełna dwudziestometrowy pokój w tymże budynku, w którym w owym czasie mieliśmy biura. Kiedy czas mijał i wydawało się, że biznes się nie udał a atmosfera porażki się zagęszczała. Pojawiły się plany opuszczenia drogiego biurowca. W pewnym momencie, całkiem jak w dobrym filmie, przyszło „wybawienie". Kilka dni przed upływającym bezlitośnie terminem opuszczenia lokalu pojawił się w ich biurze pewien człowiek. Okazało się, że to sąsiad z piętra.

Miał on swoje biuro na tym samym poziomie. Znajdowało się ono niespełna kilkadziesiąt kroków od biura nowo powstałej firmy ochrony. Pierwszy wtedy klient zaproponował im pierwsze kluczowe zlecenie, pozwalające zaistnieć na powstającym wtedy rynku ochrony. Brat owego wyczekiwanego gościa budował pod miastem dom i chciał, by ktoś czuwał nad rozpoczętą inwestycją przy Lesie Łagiewnickim. Zlecenie, uśmiech losu można powiedzieć, który jak się okazało po kilku latach, odmienił życie mojego brata i jego wspólnika.

Branża ochrony była w tym czasie w fazie rozwoju. Zmiany organizacyjne w przedsiębiorstwach państwowych i szybkie powstawanie firm prywatnych pozwoliły na zbudowanie „mikrokoncernu" ochrony, który dał zatrudnienie dla prawie tysiąca osób. I dla mnie też była to namiastka szczęścia. Przez pewien okres czasu, gdy nie miałem biura a nawet skąd wysłać faksu lub wykonać telefonu. Wtedy jeszcze telefony komórkowe nie były takie dostępne, jak dziś. Czasami w biurze brata mogłem nawet skorzystać z komputera i napisać oferty współpracy, czy odpowiedzieć na pisma, które otrzymywałem. Praktycznie od 1991 roku do 1993 roku nie miałem swojego lokalu. Korzystałem

z uprzejmości znajomych czy brata. Organizowałem wtedy produkcję spożywczą, która była związana z przejęciem i zagospodarowaniem nieczynnej, dużej przemysłowej piekarni.

Poznałem także pracowników — zarówno tych z biura, jak i ochroniarzy. Z niektórymi nawiązałem bliższe znajomości, które trwały przez wiele lat. Nawet dzisiaj widuję przypadkowo dawnych pracowników firmy ochrony i zawsze są to bardzo sympatyczne spotkania i rozmowy.

Teraz jednak ja też miałem swoje biuro i nie musiałem obawiać się żadnych uwag albo komentarzy na swój temat ze strony wspólnika firmy, a czasem też od brata. Tym bardziej byłem dumny i spokojniejszy, gdyż ku zaskoczeniu wszystkich sponsorem mojego biura był sam Bank BRE — właściciel okazałej, centralnie położonej i jednej z najbardziej atrakcyjnych nieruchomości w Łodzi.

Magda zawsze z pogodnym uśmiechem witała się ze mną, przypominając o nadchodzącym ciężkim dniu. Onego dnia oczekiwaliśmy kolejnego transportu jogurtów i serków – było tego całkiem sporo, około trzynastu ton. Podeszliśmy do wind.

— Magda — mówię — samochody umówione, wszystko przygotowane, mamy jeden dzień.

Stwierdziliśmy zgodnie, że powinniśmy dać radę. Wsiedliśmy do windy i pojechaliśmy na górę.

Budynek banku miał dziewiętnaście pięter, na których mieściły się biura. Było jeszcze piętro dwudzieste, tak zwane techniczne. Znajdowały się tam: maszynownia obsługująca i napędzająca cztery windy, w które wyposażony był biurowiec oraz różne pomieszczenia techniczne dla służb obsługi budynku. Wyżej było już tylko wyjście na dach.

Wjechaliśmy na siedemnaste piętro, gdzie w tym czasie zajmowaliśmy mały pokoik. Okno wychodziło na wschód i, co ważne szczególnie w tamtym dniu, widać było z niego parking na rogu Alei Piłsudskiego i Sienkiewicza. Dziś można by powiedzieć, że mieścił się naprzeciwko obecnej Galerii Łódzkiej, ale wtedy jeszcze nikt nawet nie słyszał, że takowa ma powstać. Parking na rogu Kilińskiego i Sienkiewicza był o tyle istotny, że cała akcja tego dnia właśnie tam miała się rozegrać i można ją było obserwować z małego biura, na siedemnastym piętrze naszego wieżowca, w centrum miasta.

Dzień wcześniej siedzieliśmy w biurze do późna. Mapa Łodzi i okolic była najważniejszym dla nas narzędziem pracy — tkwiły w niej szpilki,

widniały kolorowe kropki i kółeczka będące oznaczeniami miejsc dostaw jogurtów i serków. Praktycznie każda szkoła mogła coś dostać. Naturalnie dla wszystkich szkół i uczniów by nie starczyło, ale dla tych pod opieką „Dziewczynki z Zapałkami" — już tak.

Ustaliliśmy logistyczny plan dostarczenia tych produktów szybko i jak najniższym kosztem. Czas był bardzo ważny, gdyż okres przydatności do spożycia niektórych jogurtów mijał w ciągu dwudziestu czterech godzin, co oznaczało, że musiały trafić do szkół właśnie tego dnia — o resztę można było się już nie martwić. Dzieci, które je otrzymywały, natychmiast robiły z nich użytek — pyszności błyskawicznie znikały w ich brzuszkach.

Przed dziesiątą pojawiły się pierwsze samochody na parkingu. Nasuwało mi się pytanie: czy oczekiwana dostawa będzie na czas? Czy chłodnia nie stanęła gdzieś w polu, bądź nie utknęła na dłużej w warszawskich magazynach w czasie oczekiwania na wydanie towaru? Każda godzina była cenna. Wzięliśmy zeszyt, w którym rozpisaliśmy adresy i trasy przejazdu do szkół, do których miało trafiać jedzenie. Ja zabrałem jeszcze nasz duży baner z „Dziewczynką z Zapałkami" i poszliśmy.

Windą na dół, dalej krótką uliczką Roosevelta do ulicy Sienkiewicza i już prawie byliśmy na miejscu. Przywitaliśmy się z pierwszymi kierowcami i czekaliśmy na naszego głównego bohatera — kontener załadowany jogurtami. Wszystko dograliśmy co do minuty, kierowcy byli umówieni w krótkich odstępach czasu. Ładować towar na auta można było pojedynczo. Najczęściej załadunkiem zajmowałem się osobiście, a zadaniem Magdy było wręczenie kierowcom rozpiski: gdzie i ile sztuk jogurtów ma trafić oraz opracowane na karteczkach trasy, jakimi należy jechać, by pokonać jak najmniej kilometrów. Wszystko musiało być zapięte na ostatni guzik. Po przyjeździe transportu już nie było czasu, bo jogurty musiały się znaleźć w szkole przed ostatnim dzwonkiem.

Dziesięć minut po dziesiątej, kiedy podjechała duża ciężarówka — chłodnia. Ustawiliśmy odpowiednio samochód na długim i dosyć wąskim parkingu. Zarzuciliśmy jeszcze na kontener duży baner z „Dziewczynką z Zapałkami" i rozpoczęliśmy akcję. Baner taki nie tylko nas reklamował, ale był również znakiem dla niektórych nauczycieli, którzy sami przyjeżdżali po jogurty dla swoich dzieci. Ładowaliśmy samochód po samochodzie, jeden odjeżdżał i podjeżdżał następny, wszystko przebiegało sprawnie. Transporty z serkami, sokami, deserami i jogur-

tami były już w drodze do szkół. Każdy z tych samochodów wyróżniał się czymś szczególnym i wyjątkowym — na bocznych szybach naszych aut umieszczaliśmy plakaty z „Dziewczynką z Zapałkami". Niektórzy kierowcy i pasażerowie innych pojazdów oglądali się, a nawet wskazywali palcem na te tajemnicze samochody ze znakiem naszej fundacji.

Pomimo dużej ilości samochodów, jaką dysponowaliśmy i tak zapraszaliśmy nauczycieli, aby sami odbierali żywność, gdyż pozwalało to zmniejszać koszty naszej akcji dystrybucyjnej. Z kierowcami naszych aut byliśmy umówieni, że będziemy płacić od każdego kilometra. Stawka była symboliczna, a samochodów dużo i mnożąc ją przez ilość kilometrów przejechaną przez każde auto, wychodził spory przebieg, a tym samym niemała kwota pieniędzy do zapłacenia. Większość z nich miała poczucie bycia naprawdę użytecznym w tej akcji. Czuli, że robimy dobrą robotę, więc zgadzali się nam pomagać, pomimo niskich kwot, jakie otrzymywali za jeżdżenie.

Był to czas bardzo dużego bezrobocia – wielu ludzi, nawet tych, którzy mieli samochody, siedziało w domach bez zajęcia, a taka akcja jak nasza dawała pewną odskocznię od stresującej codzienności bez pracy. Daliśmy kilka ogłoszeń w prasie, po których mieliśmy cały zeszyt z kontaktami do osób posiadających samochody i chętnych do współpracy i pomocy.

Kiedy mieliśmy duży transport, konieczny do rozprowadzenia w jeden dzień, brało się tylu kierowców, ilu było można, żeby wszystko rozwieźć i aby się nic nie zmarnowało. Jeśli daty przydatności do spożycia przekraczały trzy, cztery dni to był „luksus". Mogliśmy trochę zwolnić tempo i nie stresować się, że coś się popsuje czy przeterminuje. Jeśli nie rozwieźliśmy jednego dnia, to mieliśmy jeszcze jeden bądź dwa dni rezerwy. Pani Donata z firmy Danone była zachwycona tym, że tak wspaniale rozwiązaliśmy im problem wyrobów wycofanych ze sprzedaży z powodu krótkich dat przydatności do spożycia. W rozmowach telefonicznych dosłownie zasypywała mnie słowami podziwu dla całej akcji. Wspominała że, do tej pory, jeśli ktoś brał ten towar, to tylko w samochód osobowy i nie więcej niż kilkadziesiąt kilogramów. Wszyscy byli zadowoleni — oni, bo nie musieli ponosić kosztów utylizacji, my — a i owszem, jak najbardziej — bo sprawialiśmy dzieciom ogromną frajdę i robiliśmy to, co lubiliśmy najbardziej — pomagaliśmy naszym pociechom.

Pomimo braku współpracy z mediami, na tym etapie „Dziewczynka z Zapałkami" była znana w całej Łodzi i okolicach, a poczta pantoflowa zrobiła swoje. Jest to jedna z najlepszych form reklamy. Wyrobów mlecznych mieliśmy czasami tak dużo, że woziliśmy je nawet do szpitali, domów dziecka, schronisk samotnych matek z dziećmi i praktycznie wszędzie tam, gdzie było to możliwe, nawet do placówek w okolicznych miastach. Dzieci tak się przyzwyczaiły do tych poczęstunków, że przychodziły do pedagogów szkolnych, którzy zwykle monitorowali tę współpracę i pytały: „Proszę pani, czy dostaniemy dziś coś słodkiego i dobrego do jedzonka?".

Zdarzyły się też wpadki. Któregoś razu, jeden z kierowców tak się zagalopował, że pojechał do jednej ze szkół w pobliskim miasteczku i zostawił tam kilka jogurtów dzieciom a była to duża szkoła i dużo dzieci. Dyrektor trochę rozgoryczony niewielką ilością powiedział kierowcy, że jeśli wiedziałby, że jest to tak niewiele to sam za swoje pieniądze kupiłby te jogurty dzieciom. Okazało się po prostu, że jogurty zostały źle policzone a szkołę kierowca odwiedził przy okazji nie biorąc pod uwagę że nie miał jej w swoim wykazie. Ale to była praktycznie jedyna tak niepozytywna informacja, która dotarła do mnie. Dowiedzieliśmy się też od kogoś, że nasze jogurty sprzedawane były na rynku ale przy sprawdzeniu dokumentacji — potwierdzeń odbioru okazało się to niemożliwe.

Akcja ta okazała się strzałem w dziesiątkę. Trafiłem w niszę — nikt w Polsce nie miał pomysłu, co zrobić z wycofanymi ze sprzedaży jogurtami, przeznaczanymi wtedy do zniszczenia. Jak się znajduje taką niszę? Jest to bardzo często dziełem przypadku, a może przeznaczenia, jak powiedzą inni. A było to tak.

Zastanawiałem się, jak przekazać pieniądze po akcji świątecznej, która wypadła bardzo pomyślnie. Sprzedawaliśmy zapałki praktycznie we wszystkich łódzkich hipermarketach. Nasi baśniowi sprzedawcy mogli bez problemu oferować swój towar mieszkańcom Łodzi. Pomimo dużego rozmachu pozyskane kwoty z tej działalności nie były imponujące. Poza tym, projekt zakładał zatrudnienie animatorów, a nie wolontariuszy, co oznaczało, że akcja trwała cyklicznie. Animator mógł pracować nawet kilka razy w tygodniu, a nie okolicznościowo jeden raz w roku jak to bywa w przypadku innych akcji i — co ważne — mógł otrzymywać za swoją pracę wynagrodzenie.

Płaciliśmy różnie, zwykle było to około pięciu złotych za godzinę plus prowizja. Łącznie najlepsi animatorzy mogli zarobić od ośmiu do dziesięciu złotych netto za godzinę. Oczywiście każda pracująca z nami osoba podpisywała z nami stosowną umowę zlecenie bądź umowę o dzieło, była przeszkolona do pracy, a następnie umieszczana w grafiku, za pomocą którego mogliśmy koordynować pracę wszystkich hostess we wszystkich marketach, w których pracowaliśmy.

Przed rozpoczęciem akcji każdy pobierał materiały: koszyk z zapałkami, skarbonkę na pieniądze i identyfikator. Marketów było dużo, aktywnie pracujących dzieciaków również. Ale i tak z mnóstwa zgłaszających się osób radziła sobie z tym zadaniem tylko część, może jakieś trzydzieści procent. Wbrew pozorom zadanie nie należało do łatwych. Jak w każdej pracy wymagającej bezpośredniego kontaktu z klientem, tak i tutaj najlepiej się czuli ci otwarci, z pozytywnym nastawieniem do świata i ludzi, co łatwo poznać było po miłym uśmiechu i aparycji. Bardzo ważny był też dar mówienia. Na ogromne wręcz ilości chętnych aktywnie pracowała może połowa, a nawet i nie. W poprzednie wtedy święta mieliśmy około osiemdziesięciu osób.

Po odliczeniu wynagrodzeń dla stu kilkudziesięciu hostess i podatków zostało mi około trzydziestu tysięcy złotych. Szukałem sposobu na to, jak dobrze wydać te pieniądze, ewentualnie komu je przekazać. Szybko zorientowałem się, że wbrew pozorom nie będzie to takie proste. Planując wydatki, musiałem wziąć pod uwagę wiele kwestii: po pierwsze, jak trafić do potrzebujących dzieci i to w taki sposób, by społeczność łódzka dowiedziała się, że są to pieniądze pochodzące ze sprzedaży zapałek, które można było kupić u „Dziewczynki z Zapałkami" w całym okresie świątecznym w marketach. Żadna z organizacji, które działały, nie była w stanie przyjąć zobowiązania, że sprawa będzie nagłośniona.

Wpadłem na pomysł, by zaprosić producentów żywności do współfinansowania paczek z jedzeniem dla dzieci. Moja propozycja była taka, że Fundacja pokrywa część kosztów, a firmy produkujące żywność finansują drugą, znacznie większą część w postaci swoich produktów — wyrobów.

Siedziałem kilka dni w biurze, szukałem firm i kontaktów do nich. Obdzwoniłem kilkadziesiąt zakładów, poczynając od producentów cukierków i ciastek, a kończąc na wytwórcach konserw. Rozmawiałem z dyrektorami i z prezesami. Grzecznościowo, od brata wysyłałem faksy

z propozycją i opisem projektu. Czekałem na odzew, przypominałem się telefonicznie, pytając, czy są już jakieś decyzje w mojej sprawie, ale wyglądało na to, że pomysł nie był dobry i chyba trzeba myśleć o czymś innym. Pewnego dnia, gdy tak siedziałem i rozważałem różne koncepcje, zadzwonił telefon:

— Tu firma Danone z Warszawy, nazywam się Donata… czy rozmawiam z panem Piotrem?

— Dzień dobry, tak, Piotr przy telefonie.

— Panie Piotrze, kontaktował się pan z nami w sprawie naszych wyrobów, które mielibyśmy przekazywać czy przekazać do paczek żywnościowych.

Potwierdziłem i wtrąciłem, że byłbym nawet gotowy zapłacić za jakąś część tych produktów.

— Panie Piotrze — powiedziała ponownie — proszę wziąć pod uwagę, że każda firma produkuje nie po to, by rozdawać, ale po to, by sprzedać i zarobić na swoich towarach — przyparła mnie do muru. Zacząłem próbować, że rozumiem, ale… i tu mi przerwała:

— Mogę panu coś zaoferować, tak zwane „krótkie daty". Są to jogurty i serki z krótkim terminem przydatności do spożycia. Czasami jeden, czasami dwa-trzy dni. Czy jest pan zainteresowany?

Nawet chwili się nie zastanawiałem. Starałem się pohamować emocje:

— Tak, oczywiście. Bardzo chętnie. Mogę zabrać takie produkty. Są szkoły i różne placówki, do których z powodzeniem można je przekazać. Dzieciaki będą się cieszyć.

— To dobrze. Zapraszam pana na spotkanie w naszej firmie celem omówienia współpracy.

— Proszę zaproponować termin.

Pani Donata zaproponowała spotkanie za kilka dni o godzinie jedenastej. Zapisałem dokładny adres, żeby wiedzieć, gdzie mam jej szukać w Warszawie. Byłem bardzo podekscytowany i nie mogłem się doczekać tego spotkania. Koszula wyprasowana wręcz na kant, wypastowane pięknie buty. Przygotowałem sobie wszystko dzień wcześniej.

Rano wstałem i wczesnym pociągiem udałem się do stolicy. Na Dworcu Centralnym zapytałem, jak dojechać pod podany adres. Jedna, druga, trzecia osoba… Po upewnieniu się wsiadłem w jakiś tramwaj, który zawiózł mnie prawie pod niewielki biurowiec firmy Danone. Musiałem kawałeczek dojść — jakieś dziesięć minut spacerkiem od

przystanku — i już stałem u progu międzynarodowego koncernu spożywczego, przybyłego z odległej Francji nad Wisłę. Portier, czy może ochroniarz, pokierował mnie do właściwego pokoju na pierwszym piętrze.

Wszedłem. Nowocześnie urządzone biuro w ciepłych barwach. Pracownicy siedzieli przy kolorowych, wycinanych na półokrągło niesymetrycznych biurkach, co sprawiało, że miejsce wydało mi się przyjazne; nie tak, jak w niektórych instytucjach, gdzie kanciaste biurka i stoły w czerni i bieli wręcz przytłaczają i „zmrażają" na dzień dobry. Personel też okazał się bardzo sympatyczny. Jedna z pań zapytała, w jakiej sprawie przyszedłem i do kogo. Poprosiła mnie do jednego z pokoików przygotowanych specjalnie dla gości. Zaproponowała kawę, na którą chętnie przystałem. Podano mi piękną kolorową filiżankę na nie mniej kolorowym spodeczku, musiała to być bardzo dobra kawa pomyślałem zaciągając się aromatem unoszącym się w powietrzu, za moment w drzwiach pojawiła się postawna pani, posturą przypominająca trochę jedną z naszych pań prezydentowych, lecz o prostych, jasnych, krótko ściętych włosach. Od razu wzbudziła moje zaufanie.

Rozmawiając ze sobą około pół godziny, poznaliśmy się lepiej i omówiliśmy zasady współpracy. Na zakończenie spotkania pani Donata poznała mnie z panią Dorotą, z którą miałem bezpośrednio współpracować i kontaktować się we wszystkich sprawach. Pożegnaliśmy się i niebawem do Łodzi pędziły transporty smakołyków dla dzieci.

Z chłodniami do przewozu nie było problemu. Znaleźliśmy kilka firm transportowych posiadających taki rodzaj samochodów. Zawsze pod telefonem znajdował się ktoś gotowy, by z dnia na dzień, jak z ciepłym pieczywem z piekarni, pojechać do dzieci z naszymi serkami i jogurtami. Przyjeżdżały przeważnie transporty liczące od kilku do kilkunastu ton, tak więc uwijaliśmy się czasami jak w ukropie, by nic się nie zmarnowało — nawet jeden kubek jogurtu. A pieniądze uzyskane ze sprzedaży zapałek mnożyły się poprzez to jak w bajce.

Płaciliśmy za przewóz jogurtów ciężarówkami z Warszawy do Łodzi i kierowcom samochodów osobowych z kilometra za dowożenie ich do szkół, na co wystarczało pieniędzy zarobionych w czasie akcji świątecznej. Za jogurty już nie płaciliśmy. Dziecko w szkole dostawało jogurt najpóźniej w dniu zakończenia terminu do spożycia. Takie maluchy nie czekały z tymi jogurtami do dnia następnego, zjadały je wręcz „w locie".

Często razem z Magdą robiliśmy degustacje, chcąc sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, czy aby nic się nie psuje. Czasami głodni z powodu braku czasu na posiłek, łapczywie jak dzieci, zjadaliśmy po jakimś jogurcie. Kiedyś była u nas dziewczyna — studentka w sprawie pracy. Spostrzegłem, że dziwnie mi się przyglądała. Z zaskoczeniem patrzyła, jak łakomie konsumuję jakiś jogurt.

Po kilku latach usłyszałem od jednej z nowo zatrudnionych dziewczyn, że jak jogurty były w Fundacji, to pracownicy objadali się nimi, a powinni je przekazać dzieciom. Powiedziała jej to dziewczyna pracująca w tamtym czasie, która to widziała. Jak to z plotką bywa — „wyleciało muchą a wróciło słoniem". Chciałbym zakomunikować tej osobie, która widziała jak pożeraliśmy te jogurty w biurze, że przy takich ogromnych ilościach tych artykułów zdarzały się też czasami opakowania uszkodzone i nie nadawały się do rozdania, a dla nas wygłodniałych nie miało to znaczenia, jeśli pudełko czy kubek był uszkodzony zjadaliśmy przecież zawartość, a nie opakowanie.

Pieniędzy trzeba było jednak bardzo pilnować. Następne akcje zarobkowe miały być dopiero przed wakacjami, a tutaj przychodów przez jakiś czas nie będzie. Tak więc posiadane środki wydawałem tylko na niezbędne rzeczy, aby jak najwięcej jogurtów rozdać dzieciom i — co ważne — zdobyć jak największą wiarygodność i zaufanie, co w przypadku fundacji jest jednym z filarów, na których trzeba się oprzeć, by móc działać. Tym bardziej, że nigdzie w mediach nie było o nas żadnych informacji.

Po wszystkich akcjach spróbowałem obliczyć wartość rynkową jogurtów i serków oraz innych wyrobów Danone'a — wyszłoby kilkunastokrotnie więcej, niż wartość środków przeznaczonych na dystrybucję, którymi dysponowaliśmy, oczywiście jeślibyśmy mieli zakupić te produkty za gotówkę jako pełnowartościowy towar.

Czas smakołyków w pewnym momencie, niestety, się skończył. Poruszona została sprawa podpisania specjalnej umowy na tę niezwykłą współpracę, ale zbliżały się wakacje, a szkoły — jak to w wakacje — zamknięte. Musieliśmy zatrzymać rozpędzoną maszynę.

Na początku lipca zadzwoniła podekscytowana pani Donata:

— Panie Piotrze, są serki. Bierze pan?

— Ile?

— Dużo.

— No ile?

— Około czterdziestu ton.

Trochę mnie osłabiło.

— Ale jest kilka dni…

— Pani Donato, jak? Gdzie? Nie ma szkół. Co z tym zrobimy?

— Panie Piotrze, jakieś kolonie, obozy…

— Tak, pani Donato, ale gdzie ich szukać? Są rozproszeni po lasach, wioskach i wioseczkach, miejscach, gdzie dystrybucja na pewno będzie kosztować niewyobrażalnie więcej niż cena tych serków. Proszę, niech pani mi da dzień na zastanowienie.

— Dobrze, panie Piotrze, skontaktujemy się jutro.

Cały dzień chodziłem i myślałem, jak rozdać tak ogromną ilość serków. Wieczorem nie mogłem zasnąć. Nie chciałem się wycofać, by nie zmarnowała się taka ilość dobrego jedzenia. Szkoda też mi było takiego partnera, Danone to konkretna firma i partner z najwyższej półki. Na drugi dzień zadzwoniłem do pani Donaty, coś wymyśliłem:

— Dzień dobry. Pani Donato, postanowiłem, że weźmiemy jeden transport.

Oznaczało to maksymalnie duży objętościowo kontener przewożony po naszych drogach — około dwudziestu ton.

— Panie Piotrze, dobrze, ale sprawa jest obecnie omawiana na najwyższym szczeblu i partia stoi do momentu, kiedy „góra" się nie wypowie i nie podejmie decyzji.

Pod koniec dnia pracy dowiedziałem się, że serki nie będą wydane i jak wynikało z rozmowy, zostały przeznaczone do zutylizowania. W wakacje nie było już kolejnych telefonów.

Do Danone'a zadzwoniłem chyba jeszcze dwa razy, ale tylko dowiedziałem się, że współpraca już chyba nie będzie możliwa, gdyż cytuję: „Ktoś położył na tym rękę". Tak poinformowała mnie pani Dorotka. W następnej rozmowie telefonicznej pani Donata powiedziała, że faktycznie „ktoś położył rękę" i „Dziewczynka z Zapałkami" nie będzie już miała jogurtów. „Przechwycono »krótkie daty«" — pomyślałem. Później dowiedziałem się, że pani Dorotka, która organizowała wysyłki do Fundacji już nie pracuje w Danone.

Otrząsnąłem się i powiedziałem: „Idziemy dalej — widocznie coś innego czeka na »Dziewczynkę z zapałkami«, może jeszcze ciekawszego i lepszego".

Dobrego nastroju dodawało mi przekonanie, że „Dziewczynka z zapałkami" ma swój wkład w dożywianie dzieci i miałem nadzieję, że jogurty będą tak samo dobrze trafiać do potrzebujących dzieciaków, jak za naszej „kadencji".

Po pewnym czasie okazało się, że powstał znany z akcji w marketach Bank Żywności, który przed świętami w sklepach zbiera żywność do koszyków. „Dziewczynka z zapałkami" swoim przykładem „wskazała" jogurty, które obecnie Bank dystrybuuje te nasze słynne „krótkie daty". Czy to nie miłe? Taka cegiełka - wkład „Dziewczynki…" w rozwój tej akcji zbierania żywności, a jaki pyszniutki ten wkład. Wszystkim dzieciom życzymy smacznego.

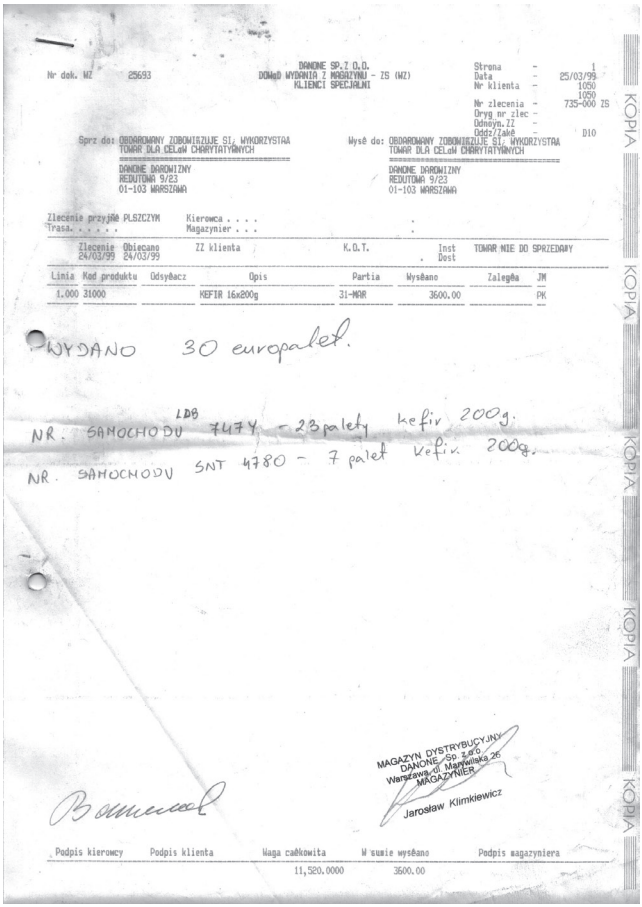

DANONE SP.Z O.O.
DOWÓD WYDANIA Z MAGAZYNU - ZS (WZ)
KLIENCI SPECJALNI

Nr dok. WZ 25693

Strona - 1
Data - 25/03/99
Nr klienta - 1050
1050
Nr zlecenia - 735-000 ZS
Oryg nr zlec -
Odnośn.ZZ -
Odsyłacz - D10

Sprz do: OBDAROWANY ZOBOWIĄZUJE SIĘ WYKORZYSTAĆ TOWAR DLA CELÓW CHARYTATYWNYCH
DANONE DARCWIZNY
REDUTOWA 9/23
01-103 WARSZAWA

Wysł do: OBDAROWANY ZOBOWIĄZUJE SIĘ WYKORZYSTAĆ TOWAR DLA CELÓW CHARYTATYWNYCH
DANONE DARCWIZNY
REDUTOWA 9/23
01-103 WARSZAWA

Zlecenie przyjął PLSZCZYW Kierowca . . . .
Trasa. . . . . Magazynier . . .

Zlecenie	Obiecano	ZZ klienta	K.O.T.	Inst Dost	TOWAR NIE DO SPRZEDAŻY
24/03/99	24/03/99				

Linia	Kod produktu	Odsyłacz	Opis	Partia	Wysłano	Zaległa	JM
1.000	31000		KEFIR 16x200g	31-MAR	3600.00		PK

WYDANO 30 europalet.

NR. SAMOCHODU LDB 7474 - 23 palety kefir 200g.

NR. SAMOCHODU SNT 4780 - 7 palet kefir 200g.

MAGAZYN DYSTRYBUCYJNY
DANONE Sp. z o.o.
Warszawa, ul. Marywilska 26
MAGAZYNIER
Jarosław Klimkiewicz

Podpis kierowcy	Podpis klienta	Waga całkowita	W sumie wysłano	Podpis magazyniera
		11,520.0000	3600.00	

KOPIA KOPIA KOPIA KOPIA KOPIA

Dokument WZ. Otrzymywaliśmy je przy odbiorze jogurtów

„Dziewczynka z Zapałkami"
Potwierdzenie udziału w akcji
Łódź ul. Piotrkowska 148/150
Tel/fax 42 636 3833 w. 2566

1. Dostarczone artykuły :

a) Deser dla dzieci Petit frutki

b) .....

c) .....

2. w ilości : 98

3. termin dostarczenia : .....23. 03. 1999 rok .....

4. podpis i pieczęć przyjmującego : Ewa Kamińska

SZKOŁA PODSTAWOWA Nr 17
ul. Wacławska 65
95-200 Pabianice
tel. 213-61-90, fax 226-06-44

5. podpis i pieczęć dostawcy : "Dziewczynka z zapałkami"
90-063 Łódź, ul. Piotrkowska 148/150
tel. (042) 636-38-33
PeKaO S.A. XI o/Łódź
10801200-26039-27003-801000

6. dostarczył : A. Stępień

„Dziewczynka z Zapałkami"
Potwierdzenie udziału w akcji
Łódź ul. Piotrkowska 148/150
Tel/fax 42 636 3833 w. 2566

1. Dostarczone artykuły :

a) Deser dla dzieci Petit frutki

b) .....

c) .....

2. w ilości : 84

3. termin dostarczenia : .....23. 03. 1999 rok .....

4. podpis i pieczęć przyjmującego : SZKOŁA PODSTAWOWA Nr 5
im. Grzegorza Piramowicza
ul. Zamkowa 65, tel. 15-34-95
95-200 Pabianice
ID 000211493

5. podpis i pieczęć dostawcy : "Dziewczynka z zapałkami"
90-063 Łódź, ul. Piotrkowska 148/150
tel. (042) 636-38-33
PeKaO S.A. XI o/Łódź
10801200-26039-27003-801000

6. dostarczył : A. Stępień

Dokumenty ze szkół – pamiątkowe potwierdzenia odbioru pyszności

Wtorek, piąty dzień

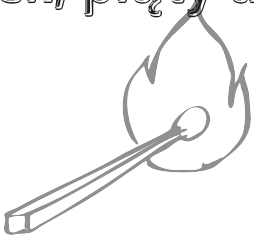

Budzę się w nocy około pierwszej. Wstaję, spaceruję po Fundacji. Przechadzam się po biurze. Sprawdzam, czy ktoś nie zostawił włączonego komputera, czy wszystkie okna są zamknięte. Zerkam na ulicę, podwórko i piękne stare kamienice. Zauważam, że ktoś zostawił zapalone na strychu światło. Dziwne, przecież nikt tam nie urzęduje. Praktycznie jest zamknięty i wyłączony z użytkowania. Dookoła błoga, nocna cisza. Od czasu do czasu przejeżdża jakiś samochód i wtedy słychać głośne dźwięki miasta. Odbijają się o ściany kamienic, jak o studnię. Sprawiają one wrażenie dużo głośniejszych, niż są. Usiadłem na komodzie w kuchni, wziąłem szklaneczkę, nalałem wody i tak sobie powoli sączyłem, delektując się jej smakiem. Rozmyślałem o wielu sprawach związanych z moją pracą w Fundacji, ale myślałem również wiele o tych ludziach, którzy zupełnie pobłądzili w życiu.

Przychodzi do naszej Fundacji taki chłopak, może bardziej dojrzały mężczyzna, już po czterdziestce. Ma na imię Krzysiek. Przychodzi zwykle w strasznym stanie. Jest nietrzeźwy, brudny. Czuć, że długo się nie mył. Zwykle siada i śpi na schodach, a nawet czasami kładzie się na podłodze na spocznikach schodów klatki schodowej i po prostu zasypia. Czasami prosi o wodę, herbatę lub coś do jedzenia. Zawsze daję mu to, o co prosi, z wyjątkiem pieniędzy. Po kilkukrotnych prośbach wie, że ich nie dostanie, więc już nie próbuje mnie o nie pytać. Tak by się chciało pomóc takiemu człowiekowi, ale jak? Jak? Wydaje się to absolutnie niemożliwe. Krzysiek bierze i pije wszystko, co uda mu się zdobyć albo to, co ktoś mu podsunie — jakiś „życzliwy" człowiek. Bardzo bliskie w takiej sytuacji są dla mnie słowa chłopaka, który kiedyś pracował w Fundacji i podkreślał, jak ważna w naszym życiu jest modlitwa. Czasami pozostaje tylko ona, jedyna rzecz, jaką można zrobić. To jest właśnie ten przykład. Tutaj praktycznie nic nie jest możliwe.

Za takiego człowieka można się tylko modlić. Dla niego świat, w którym żyje, jest piekłem, do którego wstąpił już tu na ziemi. Niektórzy ze wstrętem i pogardą omijają go, a ja gdzieś w środku płaczę nad losem tego biedaka.

Jest mi on tym bardziej bliski, gdyż znam troszkę losy takich ludzi. Gdzieś zbłądzili i zostali zepchnięci w otchłań piekielną. Czasami zamiast ręki, którą ktoś we właściwym czasie mógłby podać i uratować taką istotę ludzką, otrzymuje on rękę, która spycha go jak najgłębiej w czeluście. Przychodzi mi też na myśl jeden z moich kolegów, a nawet przyjaciół z lat szkolnych. Skończył studia na politechnice, wspiął się po drabinie kariery. Miał dobre stanowisko i zarobki, żonę, córkę… i niewyobrażalna rzecz się wydarzyła — zaczął spadać w tę otchłań piekielną. Stracił rodzinę, żonę, córkę, później pracę. Został alkoholikiem, bezdomnym człowiekiem, jak ten nasz Krzysiek, który sypia pod naszymi drzwiami. Szczytem beznadziejności była dla mnie sytuacja, kiedy człowiek spał na klatce na betonowej podłodze. Było już dosyć późno, ciemno i zimno na dworze i pojawił się problem usunięcia go z klatki. Nic nie dało się zrobić, trzeba było go wyprosić na zewnątrz, na ulicę. Nie mógł nocować na spoczniku schodów. Jedyne, co mi się udało, to poprosić, by zadzwoniono po służby miejskie jak najpóźniej, by mógł jeszcze choć z godzinkę pospać na tym zimnym betonie, ale przynajmniej w ogrzewanej klatce schodowej. Jedyna refleksja, jaka mi przyszła do głowy w tamtym momencie, to: jakimi jesteśmy ludźmi, jakim społeczeństwem, skoro śpiącemu człowiekowi na podłodze nie możemy udzielić żadnej pomocy, a wręcz wyrzucamy go na chodnik, na ziąb.

Myślę, że wielu z nas nie docenia, jak ważne w naszym życiu jest podanie ręki innym. Czasem nawet najmniejsze gesty mogą spowodować, że ktoś da krok do tyłu, stojąc na skraju przepaści. Wydaje mi się, że sami też niejeden raz mogliśmy tego doświadczyć, a potem zapomnieliśmy nawet podziękować. Jezus, który pomógł dziesięciu, spotkał się tylko z podziękowaniem od jednego, a dziewięciu zapomniało, otrzymali pomoc i odeszli bez słowa. Czy dzisiaj nie jest tak, jak właśnie kiedyś? Pamiętajmy o jednej z podstawowych i najważniejszych powinności naszego życia — pomocy bliźnim w potrzebie.

***

No dobrze, po rozmyślaniach nocnych położyłem się, z trudem zamykając powieki i zapadłem w sen. Obudziłem się po piątej. Jak zwykle, zacząłem od ćwiczeń i medytacji. No przecież od piątej do ósmej są trzy godziny. Coś trzeba robić. Szklaneczka wody, rozmyślania. Przymiarka do książki. Niewiarygodny komfort czasowy. Nie myślisz o zakupach. Co jest na śniadanie i o której? Nie czekasz na poranny posiłek, bo go nie będzie. Planuję sobie spokojnie bez pośpiechu, co mam dzisiaj zrobić. Wziąłem zimny prysznic, też delikatnie na początku sprawdzając, czy coś się nie stanie i nagle nie zrobi mi się np. ciemno przed oczami. Powoli, w końcu to tylko zimna woda. Jest ok, nic się nie dzieje. Po takiej kąpieli człowiek czuje się niesamowicie orzeźwiony i tym razem bez jedzenia było tak samo. Osuszyłem się dokładnie, ubrałem.

Pracę zacząłem w tym dniu przed siódmą. Od dawna nie pamiętam, kiedy byłem w biurze o tej porze. Oczywiście, nie biorę pod uwagę wyjazdów na zajęcia z dziećmi, które praktycznie organizujemy na terenie całego kraju. Wyjazdy takie to praktycznie dowolna pora dnia i nocy. Może to być na przykład czwarta albo druga, czy trzecia rano, a może być to równie dobrze ósma wieczorem. O takich, jak podałem, godzinach może dojść do wyjazdu gdzieś do odległego miasta w Polsce. Zależy to od rodzaju, godzin zajęć oraz rozkładów jazdy pociągów albo autobusów, bo praktycznie tylko z tego transportu korzystamy, aby przemieszczać się po kraju. Fundacja nie posiada nawet kawałka samochodu na stanie, mamy tylko jeden rower, ale jest szansa, że będzie drugi. Pierwszą po mnie osobą, która pojawiła się w pracy, był Bernard. Był już za dwadzieścia siódma. On też „pomieszkuje" w Fundacji. Jak jestem w domu, on wtedy ma oko na cały nasz obiekt. Sprawdza, czy drzwi są pozamykane, pogaszone światła i komputery i co najważniejsze jest cały czas na miejscu. Kręci się po Fundacji, daje sygnał, że ktoś mieszka. Najlepsze zabezpieczenie przed nieproszonymi gośćmi. Kiedyś mieliśmy włamanie do biura, jak się domyślacie - nic fajnego. O ósmej zaczynają przychodzić dziewczyny. Biuro zaczyna się ożywiać.

Pracuje u nas około czterdziestu osób. W większości są to ludzie z kilkuletnim stażem. Kompletowanie biura zajęło mi kilka lat. W początkach działalności rotacja była ogromna. Przekonałem się wtedy, że kluczem do działania jest zespół. Ba, przekonałem się o tym na własnej skórze. Nic nie możesz zrobić; co wyszkolisz i przygotujesz kogoś do wykonania konkretnych zadań i projektów, ten ktoś za chwilę odchodzi i projekt oczywiście również się nie realizuje, a wręcz czasami

nie da się go uratować i upada. Wtedy można powiedzieć, że ląduje na półce. Teraz się udaje. Robimy duże projekty. W tygodniu jesteśmy w stanie zrealizować nawet do stu imprez dla dzieci. W wakacje może to być, optymalnie szacując, nawet do trzystu bezpłatnych imprez, wyjazdów dla trzystu dwudziestoosobowych grup dzieci na wycieczki, czy kolonie trwające około siedmiu dni. Ale na ten moment najwięcej udało się zorganizować około stu trzydziestu wyjazdów przez okres wakacyjny, to znaczy lipcu i sierpniu.

W tej chwili przeszkodą w realizowaniu projektów nie są ludzie, którzy co chwila odchodzą, lecz bariery zewnętrzne znajdujące się poza Fundacją. Są to decyzje innych ludzi. Np. od trzech lat sieć marketów Fesko zamyka swoje drzwi przed naszą organizacją i jej baśniowymi zapałkami. Był to główny partner naszego projektu od samego początku, czyli prawie od czternastu lat. Taka kuriozalna sytuacja, znamy dyrektorów poszczególnych marketów, pracujemy z nimi od samego początku, odkąd powstały ich sklepy. Większość z nich jest gotowa nam nieba przychylić, rozumie co robimy i pomaga nam tzn. daje zgodę na prowadzenie akcji zarobkowych na terenie swoich marketów. Ale teraz, pomimo ich sympatii i empatii pod naszym adresem, pomimo ich referencji dla nas, wkroczył ktoś z centrali firmy z biura w Krakowie i wydał zakaz wpuszczania „Dziewczynki z zapałkami". Zakaz obowiązuje dyrektorów wszystkich Fesko na terenie całego kraju. Jeszcze przed wydaniem zakazu otrzymaliśmy po kolei trzy warunki do spełnienia, aby uzyskać pozwolenie na powrót. Oczywiście z postawionych warunków z przyjemnością się wywiązaliśmy, po czym dostaliśmy informacje, że oficjalnie podpisali oni umowę z inną fundacją, która jak na owe czasy, zatrudniała tylko jedną osobę. Akcja, którą zaczęli prowadzić, nie ma nic wspólnego z naszą. W żaden sposób nie koliduje, a wręcz przeciwnie, mogłaby ją uzupełniać w bardzo znaczącym zakresie.

Fundacja, która zaczęła współpracować z Fesko, ustawiła tylko skarbonki przy kasach i tak one sobie stoją, a ludzie raczej je omijają, nie wrzucają doń pieniędzy. Założyli, że przez rok zarobią milion złotych na wybudowanie rodzinnego domu dziecka. Niestety, nie udało się. Zarobili chyba przez rok dwieście tysięcy. Fesko zaczęło ratować projekt sprzedażą kartek przy kasach, ale i tak nie udało się zebrać odpowiedniej kwoty. Była ona o połowę mniejsza, niż zakładano. Mieli po roku podpisać umowę z kolejną organizacją. Rodziło to pewną na-

dzieję dla naszej Fundacji, ale niestety, po roku przedłużono współpracę z tą samą organizacją na kolejny rok, nie uwzględniając przy tym możliwości, jakie daje projekt „Dziewczynki z zapałkami". My ponosimy konkretne straty, a fundacja, która współpracuje z Fesko pozyskuje nieporównywalnie mniejsze pieniądze, niż się spodziewała, tym samym może nie mając nawet świadomości, jakie projekty zostały zablokowane. Na otarcie łez jednak dostaliśmy zgodę na jeden wybrany przedświąteczny weekend. Oczywiście, nie byliśmy w stanie, w krótkim czasie, po długiej przerwie w kontaktach z naszymi wypróbowanymi wolontariuszami i szkołami, zorganizować tylu akcji, ile byśmy chcieli i ile mogliśmy, gdyby nie wyłączono nas z działania na przeszło rok. W niektórych przypadkach nie jest możliwe, aby z dnia na dzień, a nawet z tygodnia na tydzień zorganizować takie przedsięwzięcia. Ale i tak kwota, którą zarobiliśmy, była porażająca dla pani, która jakby monitoruje w centrali firmy Fesko działania fundacji.

Był nawet taki incydent: prezes fundacji, z którą Fesko zawarło umowę, zaproponował, że dostaniemy zgodę na wejście do sklepów, ale pod warunkiem, że część pieniędzy a konkretnie połowę, uzyskanych z akcji będziemy im oddawać. Zgodziliśmy się na próbę, aczkolwiek z naszego punktu widzenia był to karkołomny plan. Szablonowo organizujemy akcje wspólnie ze szkołami i zwykle część pieniędzy, może być przesłana do tych szkół, na różne potrzeby dzieci. Druga połowa pozwala nam pokryć koszty działalności biura i przede wszystkim koszty organizowania dzieciom bezpłatnych całorocznych wycieczek i kolonii letnich czy zimowych. Ale podjęliśmy próbę. Doszło do spotkania z prezesem fundacji, odwiedził nas w naszej siedzibie. Można było odnieść wrażenie, że jest jakby rozkojarzonym i niespokojnym człowiekiem. No cóż, przecież nie wszyscy niosą pokój i spokój w sobie. Doszło do zorganizowania akcji, na początek w jednym, czy dwóch sklepach na terenie Łodzi. Po akcji umówiliśmy się na rozliczenie i kolejne spotkanie, no ale niestety, nikt nie zadzwonił i na spotkanie się nie stawił. I tak kilka razy. Mieliśmy mały kłopot z rozliczeniem tej akcji. Informacje o tym problemie przekazaliśmy do Fesko, do centrali.

Poskutkowało, w końcu pojawiła się w Fundacji pani Maria. Była chyba kimś w rodzaju asystentki prezesa. Na moją uwagę, że są niesłowni, tylko rumieniła się i wywracała oczami, jak mała dziewczynka, która coś napsociła. Wyniki były dla nas normalne, ale podział tych środków bardzo niekorzystny. Zaproponowaliśmy, żeby kwotę z akcji

dla ich fundacji ustalić na poziomie dwudziestu procent. Chcieliśmy i mogliśmy negocjować, ale propozycja ta została z kolei odrzucona, co oznaczało, że Fesko dla „Dziewczynki z zapałkami" dalej zamyka drzwi. Budowanie relacji ze szkołami i wolontariuszami trwało całe lata. Jedna decyzja kogoś z centrali firmy i… koniec. Cała praca i, co podkreślam, jej ogromny koszt poszły na marne. Zaproponowane przez nas dwadzieścia procent i tak kilkakrotnie przekroczyłoby kwotę, jaką uzyskała wspomniana fundacja, która wystawiła skarbonki stacjonarne przy sklepowych kasach na terenie całego kraju.

Przed ostatnimi świętami ponownie błagałem i zaklinałem panią z centrali firmy w rozmowie telefonicznej, ale była nieugięta. Dziewczynka z zapałkami, znana przez wszystkich z pięknej baśni, nie została wpuszczona przed Bożym Narodzeniem do sklepów tej sieci. Nie myślcie, że można pojechać do siedziby firmy i tam rozmawiać o takiej zgodzie, czy pozwoleniu. Tam, nawet jak już ktoś chce rozmawiać z Tobą przez telefon, to jest już wielkie szczęście. Nie rozumiem też słów, które wypowiedziała pani w ostatniej rozmowie: „Teraz my będziemy robili to samo co wy. Będziemy ze szkołami organizowali zbiórki w naszych marketach". Następny jakiś absurd. Fundacja ma projekt wypracowany przez lata, który jest z nią identyfikowany. Ale po co z jakiegoś niewiadomego powodu z nią współpracować, skoro można skopiować projekt, zrobić plagiat, a i tak ktoś w firmie Fesko zdecyduje, kto będzie miał zgodę na akcje charytatywną i będzie stał w sklepie. No cóż, nic nam nie pozostaje, jak życzyć szczęścia i trzymać kciuki za przedsięwzięcie, ale prosimy o uzbrojenie się w cierpliwość, bo jak wiemy z wieloletnich doświadczeń, nie będzie to łatwe. Tym bardziej, że będziecie realizować projekt, który już został wymyślony i wypromowany przez kogoś innego i działał wspaniale, dopóki ktoś nie przyłożył do niego ręki i na pewno nie była to pomocna dłoń. W tym przypadku, niestety, dla kogo jak dla kogo, ale dla samej „Dziewczynki z zapałkami" – istoty symbolizującej najsłabszych, której wydaje się, wszyscy winni pomagać.

Dzień w pracy jak co dzień. Wszyscy „siedzą na telefonach", rozliczają animatorów po zajęciach, głównie weekendowych. Samopoczucie mam dobre, ale wyraźnie obserwuję spowolnione reakcje, ruchy ciała, mowę, pauzy w wypowiadanych kwestiach. Człowiek staje się bardzo spokojny i zdystansowany. Niewiarygodny stan. Przestajesz się w ogóle spieszyć i spoglądać na zegarek, tak jest bynajmniej w moim

przypadku. Wszyscy ze swoimi sprawami przychodzą do mnie na sofę, gdzie ostatnio urzęduję. W sumie nigdy nie miałem swojego pomieszczenia, czy gabinetu z prawdziwego zdarzenia, jak czasami nazywają miejsce, gdzie urzędują, bądź pracują prezesi. Zawsze siedzę sobie w którymś z pokoi z dziewczynami. Grupy liczą po cztery, pięć osób. Jest dobra strona takiej pracy w grupie. Przychodzi dużo ludzi na rozmowy, zarówno zatrudnionych w Fundacji, jak i osób z zewnątrz. Zawsze są świadkowie tych spotkań, rozmów, jakie mają miejsce, i zachowań tych ludzi. Z doświadczenia muszę powiedzieć, że jest to bardzo bezpieczne rozwiązanie. Żyjemy w czasach, kiedy wielu ludzi zaczyna, niestety, często fałszywie świadczyć przeciwko bliźniemu. Doświadczyłem już sytuacji, kiedy podejmowano próby zniesławienia mojej osoby, czy skompromitowania. Tak więc świadkowie rozmów zawsze robią swoje. Nawet ktoś bardzo zapalczywy i zdeterminowany do psocenia ma z tym duży kłopot, by przy osobach trzecich coś nabroić. Czasami przychodzi ktoś i prosi o rozmowę w cztery oczy. Raczej staram się na to nie zgadzać, no chyba, że są to osoby, z którymi pracuję i znamy się lepiej.

Tego dnia zauważyłem niepokojącą opuchliznę na miękkiej części podniebienia, takie lekkie nabrzmienie wyczuwalne językiem i jakby drobno rozsypane w tym miejscu krosteczki. Teraz nie wiem, czy to zimny prysznic zrobił swoje, czy zdarzyło mi się napić zimnej wody z kranu i ta woda niekoniecznie dobrze zadziałała na moje gardło. Jest to pewien dyskomfort, ale cóż, zobaczymy, co będzie działo się dalej. Będę obserwował i pisał.

Wieczorem tego dnia poszliśmy z Hanią na spacer. Hania została, nie pojechała do domu. Po godzinnym spacerku wróciliśmy. Mogłem zająć się książką, a na koniec paciorek. Poszliśmy spać po dziesiątej. Na pewno nie było mowy o czymś więcej, jak tylko o buziaku przed snem.

Warszawa płacze nad losem dziewczynki z zapałkami

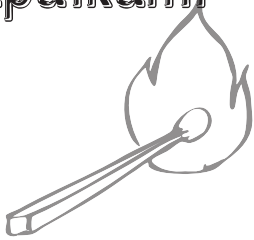

Po zorganizowaniu akcji „Dziewczynki z zapałkami" w pierwszym supermarkecie Billa szybko udało się zaplanować kolejne. Następnym obiektem była hala sklepu Makro. Atmosfera tam panująca bardzo mi się podobała - zupełnie inna, niż w typowym hipermarkecie. Prawie domowa, choć wiem, że trudno tak powiedzieć o sklepie pełnym rzędów regałów wypchanych towarami po brzegi.

Od momentu swojego powstania, sklepy te miały rekordowe obroty. Ludzie przepływali przez nie wielkim strumieniem, robiąc zakupy praktycznie od rana do nocy. Niektórzy przyjeżdżali nawet więcej niż raz dziennie. Koniunktura była dobra, toteż szybko zorientowaliśmy się, że wyniki naszej akcji też musiały być bardzo dobre i takie były. Najwięcej nasza „Dziewczynka…" zarabiała właśnie w tych sklepach. Wybieraliśmy i wysyłaliśmy tam najlepsze hostessy.

Kolejnym miejscem do obstawienia był Carrefour przy ulicy Kolumny. Tam również decyzja dyrekcji sklepu o możliwości zorganizowania akcji zapadła szybko. W Łodzi wszystko działało właściwie bez zarzutu. Tworzył się zgrany zespół, zarówno jeśli chodziło o hostessy jak i dziewczyny, które pomagały nam w biurze. Do pracy przy organizowaniu projektu wybierałem najsympatyczniejsze i najbardziej wyraźne osobowościowo dziewczyny spośród hostess.

Atmosfera już od samego początku była bardzo pozytywna, co chyba również sprawiało, że nie odczuwało się natłoku pracy, mimo że od rana do wieczora biegałem jak nakręcony. Czasami nawet spałem w biurze, gdy zostawałem do późna i ciężko byłoby mi dojechać do mojego miasteczka pod Łodzią. Ale z drugiej strony — wracać w środku nocy, by w domu położyć się tylko na kilka godzin, a rano znów

jechać do Łodzi też mi się nie uśmiechało. Miałem jakiś koc pod ręką, poduszkę, na podłodze było jeszcze sporo miejsca, tak więc spało się u „Dziewczynki z zapałkami" przysłowiowym kątem.

Działalność „Dziewczynki z zapałkami" rozrastała się praktycznie z tygodnia na tydzień. Zatrudnionych było już prawie sto hostess. A pracę wszystkich osób należało skoordynować, wydawać im materiały, rozliczyć… Jedne pracowały — te, które mogły sobie na to pozwolić — cały tydzień, inne — tylko w weekendy, a jeszcze inne tylko w wybrane dni. Były też takie osoby, które przyszły raz i więcej się nie pojawiły, uznając, że taka praca nie jest dla nich. Zdarzało się, że byli tacy którzy przyszli kilka razy i też więcej się nie pojawili. Łódź została opanowana przez „Dziewczynkę z zapałkami" — żartowaliśmy i śmialiśmy się często. Pewnego razu mój sąsiad opowiadał mi, jak przyszła do nich znajoma i mówi: „Słuchajcie, byłam w Makro na zakupach, a tu podchodzi do mnie dziewczynka z zapałkami i chce mi zapałki sprzedać. Powariowali czy co?". Sąsiad na to: „Cicho, to mój sąsiad zza ściany organizuje fundację i z tymi zapałkami biega".

***

Zależało mi również na tym, aby nasza „Dziewczynka…" dotarła do Warszawy. Przygotowałem plan ekspedycji, który zacząłem wdrażać w życie. Znalazłem dobry supermarket, napisałem pismo i otrzymaliśmy zielone światło. Był to sklep Makro pod Warszawą, ale dojazd tam był bardzo dobry. Pozostał kolejny punkt organizacyjny – mianowicie zatrudnienie hostess. Podobnie jak w Łodzi dałem stosowny anons w lokalnej, warszawskiej prasie. Wybrałem również miejsce na spotkania osób chętnych do tej pracy. W Łodzi wszystko było bardzo prosto zorganizowane: odbieraliśmy telefony i z osobami zainteresowanymi pracą umawialiśmy spotkania w siedzibie, tutaj jednak trzeba było troszeczkę zmienić sposób działania.

Nie mieliśmy biura w Warszawie, a do Łodzi przecież nikt nie przyjechałby na rozmowy kwalifikacyjne. Wielkie premierowe spotkanie zostało wyznaczone w auli warszawskiego Pałacu Kultury i Nauki. Byłem przeszczęśliwy, dyrekcja Instytutu Goethego udostępniła nam na dwie godziny aulę za symboliczne kilka złotych. Przesłaliśmy stosowne dokumenty i już można było działać.

Dałem ogłoszenie, a może nawet dwa. Nie wiedzieliśmy, ile osób może się do nas zgłosić. Aula mogła pomieścić około trzystu osób. Przygotowałem torbę ze wszystkimi rekwizytami, z zapałkami w głównej

roli. Przygotowałem również dokumenty i specjalne karteczki. Wybrałem jedną z dziewczyn, której zaproponowałem wyjazd, a ona bardzo chętnie się zgodziła. Uzgodniliśmy szczegóły. Spotkanie było ustalone na godzinę siedemnastą. W dzień wyjazdu wyszliśmy razem z biura i podążyliśmy na łódzki Dworzec Fabryczny. Kupiliśmy bilety. Pociąg był już podstawiony i czekał. Przeszliśmy kilka przedziałów, znaleźliśmy dla siebie miejsca i już byliśmy gotowi do podróży.

Co do poszukiwania przedziału, chciałbym w tym miejscu coś opowiedzieć. Takich wyjazdów do Warszawy na spotkania z młodzieżą w auli Instytutu Goethego było w sumie chyba dwa. Jadąc na jedno z nich zabrałem ze sobą dziewczynę o imieniu Iwona — była to niska, ładna blondynka, mogła mieć wtedy osiemnaście lat. Uczyła się w liceum, ale pracowała w weekendy i w tygodniu popołudniami. Wyjazd z Łodzi był około godziny piętnastej, więc nie kolidowało to z jej zajęciami w szkole. Tradycyjnie jechaliśmy z dworca Łódź Fabryczna i jak zwykle szukaliśmy przedziału. Niektóre były zajęte, inne wolne. W pewnym momencie kątem oka zauważyłem znajomą twarz, toteż cofnąłem się jeszcze raz, spojrzałem i byłem na sto procent pewien — siedzi Kwinto. Zawołałem Iwonę: „Patrz! No to co, wsiadamy".

Spojrzała na mnie niepewnie — była raczej odważna, ale widziałem wahanie w jej oczach. Otworzyłem przedział i zapytałem: „Przepraszam, czy są wolne miejsca i czy można się dosiąść?". Dobrze znanym mi głosem osoba zaprosiła nas do przedziału. Wycofałem się, spojrzałem z nieskrywanym uśmiechem na Iwonę i mówię: „Iwonka, zapraszam, są dla nas miejsca". Iwona weszła do przedziału, usiadła pierwsza, ja obok niej, naprzeciwko dobrze znanego nam z małego i dużego ekranu dżentelmena.

Ta podróż do Warszawy minęła wyjątkowo szybko. Pan Machulski opowiadał nam sporo o sobie i o tym, że żyje właściwie w pociągu pomiędzy Warszawą a Łodzią: w Warszawie mieszka, a w Łodzi pracuje w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej — słynnej łódzkiej „filmówce". Pełnił tam funkcję dziekana i z rozmowy wynikało, że kocha to miejsce, a to co robi, to jego pasja. Raczej przysłuchiwałem się rozmowie Iwony i pana Jana, czasami tylko coś wtrącając. Pytał nas również dosyć szczegółowo o to, czym się zajmujemy. Pomysł „Dziewczynki z zapałkami" bardzo mu się spodobał, nawet do tego stopnia, że stwierdził: „Koniecznie musicie mnie odwiedzić w szkole".

Było również widać, że pan Jan zainteresował się młodziutką Iwoną. Tym bardziej nie brałem udziału w rozmowie, gdyż nie wiedziałem do końca, jak mam się zachować. Poza tym znany reżyser był dużo starszy ode mnie, więc uznałem, że taktownie będzie „ustąpić miejsca". Pociąg nie wiadomo kiedy dojechał do Warszawy, pan Jan zaprosił nas do siebie do szkoły, wręczył nam wizytówki ze swoim wizerunkiem i znanym chyba wszystkim gestem pociągania ręką za płatek prawego ucha.

Jestem daleki od zachwytu nad ludźmi z życia publicznego i pierwszych stron gazet — uważam, że są to zwyczajne osoby, z problemami podobnymi do naszych, a czasami ich życie jest dużo bardziej skomplikowane, niż nam się może wydawać. Ale tego człowieka naprawdę uważam za wybitnego Polaka i człowieka kina, który zawsze wzbudza mój podziw i szacunek. Będę to spotkanie na pewno pamiętał.

Chociaż nie odwiedziłem go nigdy w szkole, to Iwona już po dłuższym czasie od tego wydarzenia powiedziała mi, że utrzymywała z nim kontakt i coś tam się między nimi działo — składał jej ponoć nawet jakieś propozycje. Z Iwoną po pewnym czasie kontakt się urwał, bo przestała pracować w biurze „Dziewczynki…".

Na pierwsze spotkanie weszliśmy do warszawskiego Pałacu Kultury punktualnie. Jest to praktycznie przy samym Dworcu Centralnym, tak więc bardzo wygodnie — spacer po parku i już jest się na schodach do Pałacu. Ze względu na swój niesamowity klimat było to miejsce dla „Dziewczynki z zapałkami" niebywałe. Windą wjechaliśmy na osiemnaste piętro. Weszliśmy do Instytutu i udaliśmy się prosto do sekretariatu. Pani sekretarka poprosiła jedną z siedzących obok koleżanek, by pokazała nam miejsce spotkania.

Zaczęli pojawiać się pierwsi goście. Zapytałem trzy sympatyczne dziewczyny, czy przyszły na spotkanie w sprawie pracy, a one przytaknęły. Przedstawiłem się, powiedziałem, że jestem organizatorem tego spotkania i zapytałem, czy chciałyby pomóc, na co chętnie przystały. Poprosiłem, aby ustawiły się na drodze od windy do auli i wskazywały zainteresowanym drogę. Po upewnieniu się, że dziewczyny zajęły dobre miejsca, w asyście Iwony wkroczyłem do auli.

Było to duże pomieszczenie z rzędami krzeseł wznoszącymi się aż pod sufit, a biurko czy stół dla prowadzącego stał na czymś w rodzaju podestu. Bardzo komfortowa sytuacja dla prowadzącego, który może dokładnie zobaczyć każdego uczestnika spotkania i odwrotnie. Za sobą

miałem dwie ogromne tablice do pisania; sprawdziłem – była kreda i gąbka do ścierania. Sala dość szybko zaczęła się zapełniać. Zainteresowanie ogłoszeniem okazało się bardzo duże, praktycznie wszystkie miejsca siedzące były zajęte. Znaleźli się też i tacy, którzy siedzieli na stopniach.

Miałem jeszcze chwilę — rozłożyłem moje materiały, kostium dziewczynki, zapałki, skarbonki… Wszystko zdawało się być gotowe. Wziąłem kilka głębokich oddechów i mogłem zaczynać. Nie ukrywam, że był to moment, kiedy czas tremy miałem już za sobą. Kontakty z dużymi grupami słuchaczy bardziej sprawiały mi radość niż powodowały paraliż narządów mowy, choć muszę przyznać – w przeszłości bywało inaczej.

Kiedyś, na zakończenie ósmej klasy szkoły podstawowej, nauczycielka języka polskiego wyznaczyła mnie do recytacji poezji Norwida. Wykułem wiersz na blachę, aż szare komórki mi się gotowały, ale uprzedziłem moją panią od polskiego, że jeśli zobaczę salę gimnastyczną pełną twarzy i oczu spoglądających tylko na mnie, to może mi odebrać głos. Pani mnie uspokoiła:

— Piotr, weźmiesz sobie książkę z jego poezją, otworzysz na swoim wierszu, który masz wyrecytować i będziesz udawał, że czytasz. Jeśli coś się zadzieje i zapomnisz tekstu będziesz mógł go po prostu czytać z książki — nie martw się głowa do góry zobaczysz, że wszystko będzie dobrze — mówiąc to jeszcze poklepała mnie po ramieniu.

— No dobrze – pomyślałem. To mi odpowiada, na pewno będzie łatwiej. Ale łatwo nie było. Wyszedłem na swoją część programu artystycznego i stało się — spojrzałem na siedzących przede mną, zapadła zupełna cisza, wszyscy się we mnie wpatrywali. Czułem, że zmieniam kolory na twarzy jak kameleon, otwarta na wierszu książka, którą trzymałem w ręku, na nic się nie zdała. Nie wiem, ile czasu to trwało, w każdym razie nie mogłem wydobyć z siebie słowa; coś ścisnęło mnie w gardle tak, że stałem jak niemy. W pewnym momencie nabrałem głęboko powietrza, coś puściło i jak z automatu przeczytałem ten wiersz, po czym praktycznie uciekłem z akademii. Potem przez kilka dni nie wiedziałem, jak mam patrzeć w oczy i rozmawiać z nauczycielami, a szczególnie z moją panią od polskiego. Ale było to dawno temu.

Wszedłem na podwyższenie, ukłoniłem się i głośno powiedziałem:

— Proszę państwa, zaczynamy spotkanie. Jeśli będę mówić za cicho, proszę mnie informować. O pytania będę prosił na końcu spotka-

nia. Witam państwa na naszym pierwszym warszawskim spotkaniu z „Dziewczynką z zapałkami". Jest to promocja niezwykłych zapałek, jak się zaraz przekonacie – każdy może je kupić za tyle pieniędzy, na ile może sobie pozwolić – po prostu sam ustala cenę, za którą kupuje baśniowe zapałki. Ale uwaga, prawdziwe oblicze tej promocji to pomoc dzieciom, które znalazły się w trudnej sytuacji życiowej jak nasza baśniowa bohaterka dzisiejszego spotkania, którą za chwilę poznacie. Dzięki sprzedaży zapałek pomagamy dzieciom. Promocję prowadzimy na terenie centrów handlowych.

Opowiedziałem o udanym debiucie w Łodzi i o tym, że liczę na nie mniej udany debiut w Warszawie.

— Widzę pośród was wielu wspaniałych młodych ludzi, którzy — wydaje się — będą gotowi wesprzeć nas i pomóc w tym, jakże ważnym, przedsięwzięciu. Może przejdziemy do konkretów…

— A teraz przedstawię wam bohaterkę naszego dzisiejszego spotkania przybyłą do nas od samego Andersena z Danii.

Odwróciłem się, zarzuciłem na ramiona chustę, na głowę mały zielony kapturek, do ręki wziąłem koszyk z zapałkami, przełożyłem przez ramię szarfę. Zrobiłem to tyłem do publiczności i na tyle szybko, aby nie zorientowali się, co się dzieje. W momencie, kiedy byłem gotowy, odwróciłem się gwałtownie i ukłoniłem, ręce rozkładając szeroko na boki. Ukłon skierowałem na lewo i prawo do wszystkich uczestników spotkania, mówiąc: „Oto nasza dziewczynka z zapałkami". Aplauzowi nie było końca. Brawa, euforia i wiwaty. Zadziałało.

— Proszę państwa, proszę o ciszę – zdjąłem z siebie przebranie. — Dziękuję jeszcze raz za brawa. Tak, jak widzieliście, wyglądają nasze hostessy, które promują zapałki. W tym koszyczku trzymamy zapałki i skarbonkę na pieniądze.

Wyjaśniłem, że z osobami zainteresowanymi podjęciem pracy podpisujemy umowę o dzieło. Stawka za godzinę w Warszawie musiała być inna niż w Łodzi, zbliżona do tych, jakie hostessy mają w Warszawie. Ustaliliśmy ją na poziomie ośmiu złotych za godzinę netto plus prowizja, co oznaczało, że ktoś, kto będzie się bardzo starał pomóc dziewczynce z zapałkami dostanie na godzinę nawet kilkanaście złotych.

Po moim wystąpieniu padło jeszcze kilka pytań — o czas pracy, o to, czy w każdy weekend trzeba stać, czy można sobie też wybrać dni w tygodniu. Ktoś zapytał, czy trzeba koniecznie zakładać prezentowany przeze mnie kostium. Pytano też oczywiście o sposób wypłacania

wynagrodzenia i czas, jaki trzeba będzie na nie oczekiwać. Udzielałem szczegółowych odpowiedzi na zadawane pytania, spotkanie przebiegało w bardzo miłej atmosferze, nie zauważyłem nawet, by ktoś opuszczał aulę w trakcie spotkania. Wszyscy byli żywo zainteresowani propozycją „Dziewczynki z zapałkami", jakże inną od tych, które spotykali na co dzień.

Czas przeznaczony na spotkanie upłynął szybko. Na koniec poprosiłem, żeby osoby zainteresowane współpracą wypełniły karteczki. Trzeba było podać swoje dane i zaznaczyć dni i godziny, w jakich chciało się pracować oraz dzielnicę Warszawy, co pozwoliło ułożyć możliwie wygodnie grafiki pod względem komunikacji hostess ze sklepami. W Warszawie przecież nawet dzisiaj niektórzy, aby dostać się do pracy, przejeżdżają z jednego końca miasta na drugi, co zajmuje dwie godziny i więcej. Pamiętam, że nie do końca wyszła nam ta „rejonizacja" i niektóre z zatrudnionych dziewczyn dojeżdżały do hipermarketów nawet grubo ponad dwie godziny.

Zebraliśmy karteczki, powiedziałem, że będziemy kontaktować się telefonicznie i informować o dalszych spotkaniach już przed rozpoczęciem pracy. Spotkania te odbywały się w centrach handlowych, gdzie prowadziliśmy naszą promocję. Podeszło kilka osób ze swoimi CV — ogłosiłem również, że jeśli ktoś chce zostawić taki dokument, to prosimy o podanie go naszej asystentce Iwonie. Powiedziałem również, że obecnie potrzebujemy kilku hostess, które mieszkają gdzieś blisko Makro w Ząbkach, bo właśnie tam planujemy warszawską premierę „Dziewczynki z zapałkami" i tam będziemy sprzedawać pierwsze zapałki poza Łodzią. Zaprosiłem ponownie wszystkich do współpracy i pomocy, podziękowałem za udział w spotkaniu i za tak miłe przyjęcie w stolicy.

Aula zaczęła pustoszeć. Kilka metrów od mojej sceny stała grupka dziewczyn ze starszym opiekunem. Zauważyłem, że spoglądają na mnie i rozmawiają. Nietrudno było wywnioskować, że chcą porozmawiać. Podszedłem i zapytałem, czy mogę w czymś pomóc i tak się poznaliśmy. Były to dwie siostry z przyjaciółką. Starszy pan był ojcem dwóch dziewczynek. Okazali się bardzo otwartymi ludźmi, chętnymi do współpracy od zaraz. Zainteresowali się właśnie tym sklepem Makro w Ząbkach. Mieszkali gdzieś w tym rejonie Warszawy. Usiedliśmy, omówiliśmy szczegóły i zaplanowaliśmy nasze następne spotkanie już na miejscu, w dniu premiery „Dziewczynki z zapałkami". Mężczyzna zaoferował również swój samochód:

— Jeśli trzeba coś przewieźć, to proszę bardzo. Dziewczynom też mogę pomagać. Mogę je zawozić i odwozić — obiecał.

— Bardzo miło z pana strony – powiedziałem. — Też chętnie skorzystamy, jak będzie taka potrzeba.

Sprawiali wrażenie bardzo przedsiębiorczych osób. „To dobrze — pomyślałem — powinno nam się dobrze współpracować".

Za oknami było już ciemno. Z osiemnastego piętra Pałacu Kultury mogliśmy oglądać rozświetlone miasto, szykujące się powoli do wieczornego odpoczynku po kolejnym zabieganym i zapracowanym dniu.

Poskładałem wszystkie rekwizyty łącznie z kostiumem, który dopiero co prezentowałem na sobie i schowałem je do torby. Iwona zrobiła porządek z dokumentami, karteczkami i CV. Zajęło nam to kilka minut i już byliśmy gotowi do powrotu. Opuściłem aulę, ale jeszcze zajrzałem do sekretariatu; poprosiłem, aby pani sprawdziła, czy miejsce jest pozostawione we właściwym stanie, to znaczy w takim, w jakim je otrzymaliśmy. Pani wstała zza biurka, weszliśmy do auli.

— Tak, dziękuję, wszystko jest w porządku — stwierdziła z miłym uśmiechem.

Jeszcze ostatnie moje pożegnalne spojrzenie na aulę - wsiedliśmy do windy, zjechaliśmy na parter. Wzięliśmy okrycia z szatni, ubraliśmy się – wieczory były już chłodne. Było o czym rozmawiać po drodze. Na Dworcu Centralnym wypiliśmy jakąś tanią herbatę w oczekiwaniu na pociąg.

W pociągu rozmyślałem, snułem plany i zastanawiałem się, jak rozwiązać niektóre z pojawiających się nowych problemów, jak na przykład liczenie pieniędzy w Warszawie.

W Łodzi odbywało się to w biurze pod ścisłym nadzorem, a tutaj supermarkety są już tak odległe od łódzkiego biura, że nie będziemy w stanie ich fizycznie nadzorować z Łodzi. Oznacza to pełne zaufanie do hostess. Ale przecież praktycznie od początku cała akcja opiera się na zaufaniu. W takiej pracy trzeba mocno wierzyć w drugiego człowieka, jego uczciwość i dobre intencje. Myśli kłębiły mi się w głowie — jak będą przyjmować wpłaty na konto? Z doświadczeń łódzkich wiedziałem, że trzeba będzie znaleźć punkty kasowe w bankach lub na poczcie, które przyjmą dużą ilość bilonu, co, niestety, nie jest tam wcale przyjmowane z radością, a wręcz przeciwnie.

Z głową pełną pomysłów i przeróżnych myśli, wypełniony energią po tak udanym spotkaniu dojechałem do Łodzi. Na dworcu pożegna-

łem się z moją asystentką i szybko pobiegłem na Plac Dąbrowskiego, gdzie udało mi się zdążyć na ostatni autobus do domu, od którego dzieliło mnie trzydzieści minut jazdy przez mój ulubiony Las Łagiewnicki. Jeszcze mogłem odetchnąć świeżym powietrzem, co na pewno się przyda, by lepiej zasnąć po dniu tak pełnym wrażeń.

Do domu starałem się wślizgnąć bezszelestnie, gdyż światła były pogaszone i domownicy już spali. Nie udało mi się jednak pozostać niezauważonym. Mama co prawda spała, ale moje zwierzaki czekały — piesek Filemon i kotka Figa. Przywitałem się z moimi futrzakami. Przed snem pomyślałem jeszcze, ile radości sprawiają mi te spotkania z młodzieżą i że w życiu bym nie pomyślał, że może być to takie satysfakcjonujące. Otrzymałem kolejne potwierdzenie, że życie znalazło coś dla mnie. Na takie chwile warto czekać. Ze zwierzakami na kołdrze zasnąłem mocno, pełen marzeń o mojej „Dziewczynce z zapałkami".

Na drugi dzień intensywnie zabrałem się do pracy nad projektem „Makro Ząbki". Ustaliłem, że dziewczyny będą stały po trzy na jednej zmianie. Taki też otrzymaliśmy warunek kierownictwa hipermarketu. Osobą odpowiedzialną i koordynującą naszą akcję była pani Dorota z działu marketingu. Na spotkaniu rzeczowo omówiliśmy szczegóły — od której do której możemy pracować, po ile osób w jednym czasie i kto ewentualnie pomoże przy liczeniu pieniędzy. Z tym mieliśmy największy kłopot i ta sprawa została zawieszona. Nie chciałem naciskać, aby cała akcja nie straciła czaru baśniowego. Ostatecznie ustaliłem, że pieniądze w tekturowej skarbonce możemy okleić w obecności pracownika ochrony, który podstempluje banderolę oraz specjalną kartę sporządzoną na tę okoliczność. Na karcie przygotowaliśmy również miejsce na potwierdzenie godziny wejścia i wyjścia hostessy z marketu. Było to potrzebne do obliczenia godzin pracy animatora, z których potem już dało się wyliczyć, ile pieniędzy należy wypłacić.

Była to jedna część wynagrodzenia, drugą składową stanowiła prowizja od sprzedaży, którą wyliczaliśmy po ustaleniu kwoty, jaka znajdowała się w skarbonce. Na karcie obiegowej było jeszcze miejsce na pieczątkę i podpisy ewentualnych świadków komisyjnego liczenia pieniędzy. Tutaj bank bądź urząd pocztowy, który przyjmował pieniądze, poinstruowany był o zaplombowanej skarbonce, jak również o potrzebie komisyjnego liczenia pieniędzy i potwierdzenia tego we właściwych dokumentach. Potem zostawało tylko odebranie od pani kasjerki druku potwierdzającego wpłatę na konto Fundacji.

Opisałem te czynności, gdyż był to bardzo ważny element układanki, niezbędny do pracy animatorów poza Łodzią. Nadmienię jeszcze, że specjalnie opisana i podstemplowana banderola była wydzielana na każdy dzień pracy razem ze skarbonkami i z każdej sztuki hostessa musiała się rozliczyć. Muszę przyznać, że ten system działał bardzo sprawnie przez cały okres trwania projektu, to znaczy siedem lat, a i później czasami też sięgaliśmy po to rozwiązanie.

Najważniejsza sprawa została załatwiona. Byłem bardzo zadowolony a wręcz szczęśliwy, że tak się wszystko udało i sprawnie poszło. Pozostałych przygotowań mieliśmy niewiele, praktycznie trzy zestawy kostiumów — dziewczyny będą się nimi wymieniać. Zapałki już czekały gotowe do wywiezienia. Oprócz tego: skarbonki na pieniądze, banderole zabezpieczające, karty obiegowe, które opisałem parę wierszy powyżej oraz druki umów o dzieło.

Najwięcej czasu zajęło mi znalezienie właściwego samochodu do przewiezienia materiałów. Dzwoniłem do ludzi z ogłoszenia, do znajomych i wysiłek się opłacił — znalazłem pana, który za rozsądne pieniądze zgodził się pojechać do Warszawy a co ważne, dysponował dużym samochodem kombi. Miał czas, szukał pracy, więc nie było również problemu z terminem wyjazdu. A wyjechać musieliśmy następnego dnia rano. Umówiliśmy się pod magazynem zapałek.

Akcja w Łodzi rozkręciła się, baśniowy towar szedł jak woda. Musiałem zorganizować jakiś magazyn na zapałki. Biuro było za małe i dużych ilości tutaj składować się nie dało. Niedaleko naszego biurowca przy ulicy Roosevelta znajdowała się szkoła, przy której stał budynek wielkości garażu, ale przerobiony został na punkt usługowy. Zamiast bramy wstawiono drzwi i okno, troszkę na zasadzie witryny sklepowej. Przechodząc tamtędy wielokrotnie, zainteresowałem się tym pomieszczeniem. Było puste i wyglądało na to, że nikt z niego nie korzystał. Postanowiłem wejść do szkoły i porozmawiać. Dowiedziałem się, że pani dyrektor jest bardzo „charakterną" osobą i że z nią trzeba ustalić wszystkie szczegóły, a pomieszczenie faktycznie jest do wynajęcia. Umówiłem się więc na spotkanie z panią dyrektor.

Bez problemu umówiliśmy się w celu podpisania umowy — wszystko działo się bardzo szybko i już dysponowaliśmy pomieszczeniem, które znajdowało się zaledwie pięć minut od biurowca. Byłem bardzo zadowolony, gdyż można wykorzystywaliśmy je nie tylko na zapałki, ale również do przechowywania innych materiałów. Mogło służyć

także za pracownię do wykonywania koszyków dla dziewczynek z zapałkami – z ulgą myślałem, że nie trzeba będzie robić już tego w biurze. Pracownicy budynku i tak mieli już z nami „wesoło", wnosiliśmy i wynosiliśmy. Ciągle coś: a to kartony, a to zapałki, a to belki tkanin jutowych. Był jeden mankament — pani dyrektor nie dała się ugiąć i koniecznie chciała, abyśmy płacili czynsz, choć przekonywałem i nalegałem, że jest to tego rodzaju działalność, że każdy grosik jest skrzętnie pilnowany, by trafić do dziewczynki z zapałkami. Koniec końców w umowie widniała kwota za najem - dwieście złotych.

Pod tymże magazynem spotkałem się ze wspomnianym wcześniej panem Andrzejem – naszym kierowcą. Było wcześnie rano, godzina szósta. Załadowaliśmy samochód — kostiumy, koszyki. Zapałek chyba z dziesięć pudeł, w pudle jakieś dwa tysiące, czyli łącznie dwadzieścia tysięcy małych pudełeczek. Gdy wszystko było gotowe, wyruszyliśmy do Warszawy.

Jechaliśmy dobre dwie godziny, później przebijaliśmy się przez korki, bo Ząbki są po drugiej stronie Warszawy, jadąc od Łodzi. Akurat przez Ząbki przejeżdżają ci, którzy jadą w kierunku Białegostoku. Dojechaliśmy do Makro, pełna ekscytacja — premiera akcji w stolicy, radość bez końca. Wszystko gotowe, czekamy na dziewczyny. Patrzę, biegną a za nimi ciężkim krokiem tata. Przywitaliśmy się serdecznie. Chwilę porozmawialiśmy na jakiś luźny temat, by złapać oddech, po czym powiedziałem:

— Do rzeczy, dziewczyny, chciałbym zobaczyć wasze CV.

Wyjęły je z teczki, wydawało się, że są niepewne, może dlatego, że pierwszy raz w życiu wręczały swoje aplikacje.

— Jest w porządku — powiedziałem pewnie, z uśmiechem. — Tutaj są umowy.

Ja wyjąłem z kolei swoją teczkę, otworzyłem i ze środka wydostałem centymetrowej grubości bloczek z umowami formatu A4. Podpisaliśmy dokumenty, dziewczyny dostały oryginały, ja zostawiłem dla siebie kopie.

— Dostaniecie kostiumy i zapałki, jak uzgodniłem z panią Dorotą, która będzie tutaj was pilnować i jest pracownikiem Makro. Podręczny depozyt będzie do waszej dyspozycji. Nie będziecie musiały nosić w jedną i w drugą stronę – do domu i z powrotem – materiałów. Będziecie je sobie zostawiać w wybranych skrytkach depozytowych. Objaśniłem następnie działanie kart obiegowych:

— Po przyjściu do marketu, przed rozpoczęciem pracy, zgłosicie się do ochrony, aby zapisać godzinę przyjścia i podstemplować kartę obiegową. Przy wyjściu postąpicie dokładnie tak samo. Będzie to potwierdzenie waszych godzin pracy, za które otrzymacie wynagrodzenie. Dodatkowo, przy wyjściu, zakleicie — tutaj wyjąłem ostemplowane paski ze specjalnego papieru — specjalną banderolą otwór skarbonki, ochrona również to potwierdzi pieczęcią na jej wieczku i w karcie obiegowej. Jest to, myślę, proste i nie będziecie miały z tym problemów.

— Druga część programu, zabezpieczone skarbonki, dostarczycie do wskazanego przeze mnie punktu bankowego lub pocztowego, gdzie dokonacie wpłaty. Uwaga, możecie znaleźć same takie punkty, ale… — zawiesiłem na chwilę głos, podkreślając, jakie jest to ważne — musicie koniecznie zawiadomić mnie o tym i podać mi numer telefonu do kierownika tego punktu. Sprawa wygląda tak, że skarbonka będzie nienaruszona, oklejona banderolą, dostarczona do punktu, gdzie wspólnie z panią kasjerką, która sprawdzi skarbonkę, rozpakujecie ją, przeliczycie pieniądze i dokonacie wpłaty. Tutaj w Warszawie macie inne skarbonki niż w Łodzi. Są one papierowe i do jednorazowego użycia, to znaczy po otworzeniu skarbonki na poczcie czy w banku musicie ją zniszczyć.

Tata siedział spokojnie i przysłuchiwał się naszej rozmowie.

– Dobrze — uśmiechnąłem się, popatrzyłem — jeśli dziewczyny są gotowe, możemy zaczynać.

Otrzymałem równie uśmiechnięte potwierdzenie. Poszliśmy na parking do samochodu, wzięliśmy podstawowy zestaw zapałek i rekwizytów. Wracając, widziałem, że dziewczyny też się niecierpliwią. Postanowiłem działać szybko, by nie miały zbyt wiele czasu na myślenie. Ubrałem je w gustowne sukienki, chusty na ramiona, kapturki, do koszyka włożyłem zapałki, złożyłem papierowe skarbonki. Brakowało tylko identyfikatorów, przygotowałem je również i mogliśmy zaczynać.

Przygotowania zajęły nam około godziny. Dochodziła jedenasta — czas premiery. Ruch w sklepie był bardzo duży. Oczywiście ja również wziąłem swój zestaw, ale bez kostiumu. Zupełnie „w cywilu", jak na premierze w Łodzi, sprzedałem pierwsze pudełka zapałek. Pracowałem z dziewczynami około godziny.

— Dziewczyny, nie trzeba wiele, róbcie to, co ja i wystarczy — powiedziałem. — Zapraszam, promocja „Dziewczynki z zapałkami", dycha, dwie, nie masz papierka, daj miedziaka, będzie to niewielka strata. Kupisz zapałki, dasz dzieciom pomoc w biedzie — wymyślałem różne

slogany. — Dziękuję, do widzenia, miłego dnia.

Dwoiłem się i troiłem. Dziewczyny szybko się zorientowały, na czym polega zabawa, tak więc po godzinie już byłem spokojny i czułem, że szkolenie mogę zakończyć. Czekała mnie jeszcze jedna przeprawa – musiałem zmagazynować pełny samochód zapałek. Nie było to możliwe w Makro, gdyż pani Dorota stwierdziła, że sami mają problem ze swoim towarem. Postawiła sprawę na tyle jasno, że tylko przytaknąłem, że ma w zupełności rację i to nie jest dobry pomysł.

Zacząłem biegać po okolicy i prosić o jakiś kąt na zapałki dla „Dziewczynki z zapałkami": jakaś wulkanizacja, sklep, warsztat samochodowy. Sam dodawałem sobie entuzjazmu, bo zaczynało mi go powoli brakować. Nikt nie miał takiego kąta albo po prostu nie chciał sobie głowy zawracać.

Usiadłem na krzesełku wewnątrz KFC, usytuowanego prawie na terenie parkingu Makro — który chyba jest tam do dzisiaj — pijąc kawę już dosyć zrezygnowany… i nagle doznałem oświecenia. Wstałem od stolika i poszedłem pewnym krokiem do obsługi KFC. Poprosiłem kierowniczkę. Po chwili podeszła do mnie miła młoda dziewczyna. Przedstawiłem się, powiedziałem, że jest premiera akcji charytatywnej „Dziewczynka z zapałkami" i poprosiłem o pomoc. „Udzielając pomocy, tym samym włączają się państwo do udziału w naszej akcji pomocy dzieciom" – powiedziałem. Dziewczyna ochoczo się zgodziła. Pokazała mi miejsce, gdzie można złożyć baśniowy towar.

Szybko pobiegłem do samochodu. Podjechałem z Andrzejem pod restaurację. Umówiłem się, że po zapałki będzie się zgłaszała dziewczyna z identyfikatorem „Dziewczynki z zapałkami" i podałem pani jej nazwisko. Pożegnaliśmy się. Przy stoliku stała jeszcze moja zimna kawa. Usiadłem, odsapnąłem po czym dopiłem ją spokojnie i stwierdziłem, że czas najwyższy wracać do Łodzi. Przy pożegnaniu z naszymi hostessami powiedziałem im, gdzie są zapałki i jak mogą uzupełniać zapasy. Przypomniałem im, że po każdym dniu będą składały telefonicznie raporty do Łódzkiego biura, ile udało im się zarobić oraz ile zapałek sprzedały i w jakich godzinach pracowały. Oczywiście, miały też informować o wszelkich problemach i trudnościach. Po tym ostatnim etapie szkolenia pożegnaliśmy się serdeczniej niż na powitanie. Dziewczyny były zadowolone, a skarbonki coraz cięższe, co i dla mnie nie miało duże znaczenie. Wsiadłem z kierowcą do auta, dochodziła już piętnasta. Powiedziałem: „Panie Andrzeju, wracamy do domu".

***

Święta zbliżały się wielkimi krokami i pracy było bez liku. W Łodzi działały trzy markety, kilkadziesiąt hostess, czasem około stu. Z Warszawy płynęły raporty, kwoty okazały się zadowalające, ale analiza wyników już nie – coś się działo ze średnimi kwotami za pudełeczko zapałek. Spadały. Był to bardzo niepokojący sygnał. Nie mogłem wyjechać z Łodzi, aby zrobić kontrolę. Podejrzewałem najgorsze. Z drugiej jednak strony myślałem: „Przecież jest tam ich ojciec, może więc to nie to". Były to też nasze pierwsze doświadczenia w tym zakresie, więc chciałem być ostrożny z wyciąganiem pochopnych wniosków.

Pracownicy w punkcie bankowym zgodzili się pomagać przy przeliczaniu bilonu i potwierdzać prawidłowe zabezpieczenie skarbonek. Dawało to poczucie względnego bezpieczeństwa i spokoju. Tego, co działo się w Łodzi, było też bardzo wiele. Czasem nie miałem nawet chwili, aby się posilić. Biegałem do banku wpłacać pieniądze, gdzie musiały być dodatkowo liczone. Zajmowało to dużo czasu. Oprócz tego miałem na głowie koordynowanie i sprawdzanie hostess. Na zimne trzeba było dmuchać. Prawie z każdą hostessą chciałem zamienić dwa słowa albo przed wyjściem, albo po powrocie z akcji.

Czas do Bożego Narodzenia szybko minął. W Święta miałem poczucie naprawdę dobrze spełnionego obowiązku. „Nareszcie mam swoje miejsce na ziemi — myślałem — i to z dziewczynką z zapałkami". Dziękowałem Bogu, że tak hojnie mnie obdarował.

Dziewczyny w Warszawie pracowały w sumie dwa tygodnie przed Świętami oraz pomiędzy Świętami a Sylwestrem; i na tym koniec. Akcja zakończona – świąteczna akcja „Dziewczynki z zapałkami". Na początku stycznia pojechałem do Warszawy rozliczyć zespół z Ząbków. Umówiliśmy się w bardzo dogodnym dla mnie miejscu, przy skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej. Myślę, że do dziś stoi tam świadek tego spotkania, stary, wysłużony, jednopiętrowy McDonald's.

Z Dworca Centralnego dotarłem tam pieszo. Spotkaliśmy się przy wejściu. Weszliśmy i usiedliśmy. Coś wisiało w powietrzu. Dziewczyny zachowywały się nieswojo, a i ojciec miał dziwną minę.

Miałem wrażenie, że rozmowa była prowadzona na siłę. Zniecierpliwiony tata poprosił o pieniądze dla dziewczyn. Oczywiście, nie chciał by przelano je na konto, tylko gotówka na spotkaniu. Wyliczyć nie było trudno, gdyż mieliśmy codziennie raporty. Tata też powyliczał i podał mi swoją wersję. Udało mi się przeforsować sprawę prowizji i tutaj ustaliliśmy, że jeżeli nie ma konta bankowego, to pieniądze prze-

ślemy przekazem na adres domowy. Zawsze to jakieś zabezpieczenie, a kwota też nie była mała. Pomyślałem, że faktycznie może przekazanie pieniędzy rozładuje napięcie. Wyjąłem podpisane koperty z odliczonymi kwotami i poprosiłem o przeliczenie i pokwitowanie odebranych pieniędzy. Poprosiłem o dokumenty. Przed przekazaniem pieniędzy obejrzałem karty obiegowe dziewczyn. Wszystko wskazywało na to, że są w porządku — i pieczęcie, i podpisy wdawało się że wszystko jest ok. Następnie poprosiłem o umowy, aby wystawić do nich rachunki, rozmowa cały czas była ciężka, ale mężczyzna przemówił:

— Niech pan słucha, pan zniszczy te umowy i nie będziemy robić cyrku. Jutro wszyscy zapomną, że ktoś tam w ogóle w Makro był.

Oczy otworzyły mi się szerzej.

— No co pan, niedzisiejszy? A z tymi prowizjami to już pan da spokój, możesz je pan wziąć.

Po tych słowach byłem już pewien, a szczególnie po wyrazie twarzy dziewczyn. Jednej z nich zbierało się na płacz. Zebrałem się w sobie, uspokoiłem oddech i zaczynam:

— Co pan zrobił najlepszego!? Czego pan uczy te dziewczyny!? Swoje córki. Jak one będą żyć? Do jakiej pracy pójdą? Jak będą patrzeć w oczy ludziom? Nie zniszczę tych umów, będą w archiwum w dokumentach. Jak ze swojej strony mam wam dalej zaoferować współpracę? Jak pan chcesz niszczyć umowy i chcesz, by jutro nikt nie pamiętał, że w Makro byliśmy? Do czego tam doszło? – zawiesiłem głos, nie miałem przecież dowodów na przestępstwo i tutaj tata nerwowo przemówił.

— Dobra panie, rób pan sobie, co tam chcesz z tymi umowami, a my już jedziemy do domu, bo późno.

Ciężko mi było ze względu na dziewczyny, które były dość mocno przestraszone. Wyjaśniła się też sprawa konta, tata telefonicznie nalegał, by wypłacić dziewczynom gotówkę do ręki. Jeśli otrzymałyby pieniądze przelewem na konto, po sprawie pozostałby ślad, a tak — wystarczy pieniądze przekazać z ręki do ręki, zniszczyć umowy i już nie ma śladów.

Mężczyzna dodał na zakończenie:

— Panie, nikt niczego nie powie, nie udowodni. Nie musisz pan się o nic martwić ani niczego się bać.

Dalszy ciąg edukacji, pomyślałem. Sytuacja była tak kuriozalna i beznadziejna, że aż poczułem jak mnie mdli. Najgorsze myśli przyszły mi do głowy. Nawet dokładnie nie wiem, jak się rozstaliśmy.

Skala zniszczeń objawiła się dopiero później, kiedy pojechałem do Ząbek. Okazało się, że w zadeklarowanych raportach zapałek było o wiele za mało. W KFC nie mogłem się doliczyć co najmniej połowy pudełeczek. Później, mając te informacje, zrobiłem wyliczenia, z których wynikało, że akcja w Makro Ząbki udała się co najmniej, podkreślam, dwa razy lepiej, niż to wynikało z kwoty pieniędzy którą otrzymaliśmy. Było ich kilka tysięcy więcej, ale niestety nie na koncie Fundacji. Nie będę pisał, jakiej kwoty się doliczyliśmy tzn. jej braku, ale straciliśmy dużo.

Byłem tak zbolały po tym incydencie, że na kilka miesięcy odłożyłem wędrówkę „Dziewczynki z zapałkami" po Polsce. Bardzo ciężko było mi wyobrazić sobie, że ludzie mogą być tak bezmyślni, działać bez sumienia i na krzywdę innych. Na myśl o tym zbierało mi się na wymioty i dopiero po jakimś czasie nauczyłem się podchodzić do takich ludzi z politowaniem i współczuciem. Tutaj był większy dramatyzm sytuacji. Ojciec dziewczynek nadzorował cały proceder i stworzył… no właśnie, kogo i co? Czasami myślę o tych dziewczynach i ich ojcu, co teraz robią i jak im się ułożyło życie. Jakie piętno wyryły w nich tamte przedświąteczne dni poświęcone dziewczynce z zapałkami?

Wyszedłem z McDonald's, skierowałem swoje kroki na Dworzec. Było już późno. Z warszawskiego nieba padał deszczyk. „To Warszawa płacze nad losem dziewczynki z zapałkami z Ząbek" — pomyślałem. Pozdrawiam was, jeśli czytacie tę książkę i wierzę, że już naprawiliście to, co tak zepsuliście.

Środa, szósty dzień

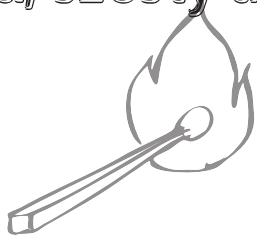

Dzisiaj też obudziłem się bardzo wcześnie, przed pierwszą trzydzieści. Po szklaneczce wody wziąłem się za ćwiczenia. Hania spała w najlepsze. Postanowiłem wykorzystać okazję. Ćwiczyłem około godziny. Cisza, spokój — udało mi się całkowicie wyłączyć i dosyć trudne ćwiczenia poszły mi nie najgorzej. Tylko wolniutki wdech i jeszcze wolniejszy wydech, najlepiej bezszelestnie. Czasami słyszałem bicie serca, to w wolniejszym, to w przyspieszonym tempie. Jeszcze jeden dźwięk, coś w rodzaju muzyki w głowie, jakiś instrument wewnętrzny. Dźwięk ten trudno jest porównać do jakiegokolwiek instrumentu, który znamy. Po ćwiczeniach delikatnie i powolutku wślizgnąłem się pod kołdrę, by nie obudzić Hani. Udało się. Po godzinie dosyć trudnych ćwiczeń rozluźniłem ciało jak tylko mogłem. Usnąłem nie wiadomo kiedy. Obudziłem się po trzyipółgodzinnym śnie, sprawdziłem w telefonie — było przed szóstą. Wstałem po cichutku na poranną toaletę. Muszę powiedzieć, że pomimo picia tylko czystej wody, mocz jest zabarwiony intensywnie, jakby był trochę mętny, wiatry cały czas nie traciły na mocy. Gardło, podobnie jak wczoraj, lekko opuchło, może nawet troszeczkę mocniej. Ruchy powolne, chód typowy „ekonomiczny", jak go nazwałem. Włączyłem czajnik, zagrzałem troszkę wody i powolutku, delektując się jak zawsze, małymi łyczkami, wypiłem. Zauważyłem kolejną zmianę w organizmie — w gardle i w innych częściach jamy ustnej czułem dziwny smak, albo może to było coś w rodzaju braku smaku. Ślina, która normalnie raczej smaku nie ma, albo jest on niewyczuwalny, teraz przybrała jakiś dziwny smak – może to jest mój naturalny. Z czasem może się to wyjaśni i będziemy wiedzieli, co się dzieje.

Pracę zacząłem dzisiaj parę minut po ósmej. Zauważyłem pewien „postęp" w gardle — przy mówieniu czułem jakby chrypkę. Zmierzało

to chyba w złym kierunku. Odczuwałem, że poruszałem się troszkę jak cień. W biurze widziałem dziwne, inne niż zwykle spojrzenia, niektórych koleżanek i kolegów. Słyszałem pytania typu:

— Piotr, czy wszystko z tobą w porządku? Nie jesteś chory?

Na co uśmiechałem się lekko i odpowiadałem:

— Nie, wręcz przeciwnie, wszystko jest w porządku.

Ale w rozmowie z Hanią dowiedziałem się, że powstały jakieś „przecieki do prasy". Hania powiedziała kilku osobom, że od paru dni nie jem i piję tylko wodę. No OK, jak powiedziała to pewnie zaczyna się robić szum wokoło, ale znając życie i tak by się to prędzej czy później rozniosło.

Poza tym, sprawny i uważny obserwator mógł spokojnie zauważyć, że poruszałem się inaczej i mówiłem w inny sposób niż zwykle. No i jeszcze jedno — poszliśmy wczoraj z Hanią na „Pietrynkę". Jest tam fajna apteka. Mają takie oryginalne urządzenie, na które natknąłem się przypadkiem. Można sobie zmierzyć wzrost, wagę i ciśnienie z tętnem jednocześnie. No, nie można było nie skorzystać. Miła pani daje bezpłatny, srebrny żetonik, którym uruchamia się urządzenie, po pomiarach maszyna drukuje na papierowej taśmie wyniki i już. Trwa to około trzydziestu sekund.

W moim przypadku nie można się było spodziewać niczego innego. Wzrost bez zmian, ale waga inna — około czterech kilogramów w dół w piątym dniu postu — niewiele poniżej 78 kilogramów – super. Przy mojej normalnej wadze, którą od lat utrzymuję, a jest to pomiędzy 81 a 82 kilogramy, spadek o 4 kilo już zaczyna być widoczny. Najbardziej chyba widać na twarzy. Niektórzy sprawni obserwatorzy w biurze też to zauważyli, tak więc powoli zaczynali też o tym rozmawiać. Tylko woda. Maja, nasza wspaniała kasjerka „zrobiła oczy", prawie wytrzeszcz z niedowierzania:

— A co? A jak?

Ania, jej pomocnik i członek komisji, w której liczą pieniądze:

— Piotr, co ty wyprawiasz? W ogóle o nas nie myślisz! A jak ci się coś stanie? No i tak powoli temat mojego postu, czy inaczej głodówki albo oczyszczania, stawał się tematem „medialnym".

Tego dnia udało nam się ustalić, jak wybrnąć z tematu klapy dymowej, która jest niezbędna do oddymiania klatki schodowej na wypadek pożaru. Klatka schodowa jest drogą ewakuacji dzieci z drugiego piętra w razie zaprószenia ognia i jest wymagane, by taka klapa została

tam zainstalowana. Pan Bogdan, rzeczoznawca, zgodził się nam pomóc w rozwiązaniu tego problemu. Skontaktował nas z panem Zbyszkiem. Wcześniej uprzedził go, jaka jest sytuacja, że Fundacja nie ma pieniędzy, potrzebuje pomocy a dzieci nie mają gdzie nocować — praktycznie ferie zimowe już przepadły, a wakacje przed nami. Ze względu na pismo, które otrzymaliśmy ze straży pożarnej, zakazujące nam noclegu na drugim piętrze, odwołaliśmy ferie dzieciom z całej Polski, łącznie około trzydziestu grupą po maksymalnie dwadzieścioro dzieci w każdej. Po różnych działaniach, do których włączyliśmy nawet Naczelnika Komendy Wojewódzkiej Straży Pożarnej, taki „dusza człowiek", życzliwy, bardzo pomocny, nie udało nam się przebić przez obwarowania przepisów i urzędów. Cała koncepcja przygotowywana chyba przez miesiąc, również z udziałem rzeczoznawcy, upadła.

Dzisiaj ponownie zebraliśmy siły. Pojawił się pan Bogdan, który uruchomił kolejne osoby, będące specjalistami w tej branży. Powstała kolejna koncepcja rozwiązania problemu, a tym samym nowe „światełko w tunelu", kolejna szansa na pokonanie problemu hostelu dla dzieci przy Fundacji. Tym samym zrodziła się nadzieja na zorganizowanie wakacji w roku 2011. Czas ten szybko zbliżał się do nas i do dzieci, które z utęsknieniem czekały na obiecane, letnie wyjazdy. W ferie zimowe w roku 2011 dosłownie był dramat. Dzieci czekały na ferie od wakacji, czyli całe półrocze. Przed feriami dowiedziały się, że jednak nie uda im się nigdzie wyjechać i trzeba będzie zostać w domu. W tym dniu jednak nasze serca, zabiły mocniej, pojawiła się realna szansa, że ruszy nasz fundacyjny hostel i będziemy mogli zacząć działania związane z wakacjami, które są też dla nas bardzo ważnym czasem. Możemy wtedy poznać dzieci, z którymi pracujemy i którym pomagamy, a przede wszystkim realizować cel statutowy Fundacji, do czego jesteśmy powołani.

Przygotowujemy i systematycznie udoskonalamy program letniego wypoczynku i rekreacji. Korzystamy z naszego hostelu i baz noclegowych, które mamy na terenie całego kraju. Sami również przygotowujemy się i szkolimy, by zorganizować jak najlepiej ten czas, w którym ich dziecięce prawo do zabawy i pewnej wakacyjnej beztroski powinno być uszanowane. Wszyscy powinniśmy zrobić jak najwięcej, by każde dziecko w tym okresie spędziło choć kilka niezapomnianych, cudownych dni. Pozbawi je to w doskonały sposób kompleksów, żalu czy dyskomfortu, że „koledzy i koleżanki to byli tu i tam, a ja nigdzie nie byłem i całe wakacje spędziłem w domu". Niektórzy widzieli

„super fajne" miejsca. Inni byli u rodziców zagranicą i opowiadają na wyścigi fantastycznie ciekawe historie. Każde dziecko, by mogło dobrze się rozwijać, powinno mieć zapewnioną również taką formę samorealizacji, która pozwala podnieść samoocenę lub, co ważne, pozwala dziecku dostrzec dobre strony życia i daje możliwość porównania miejsc, środowisk i ludzi, która jest tak ważną w wychowaniu i poznawaniu świata przez młodych ludzi.

Dzień pracy kończył się dziś bardziej optymistycznie niż zwykle. Nowe światło padające na sprawy naszego baśniowego hostelu rzuciło nawet trochę blasku na beznadziejną sprawę marketów, które na wezwanie MSWiA pozamykały przed „Dziewczynką z zapałkami" swoje drzwi. Pomimo ogromnej życzliwości dyrektorów i personelu marketów, nie mogliśmy dostać zgody na działalność, która w podstawowy sposób zasila nasz i tak niewystarczający budżet. Minister, nakładając na zarządy, czy nawet dyrekcje marketów, obowiązek pewnych czynności kontrolnych wobec Fundacji, które na ich terenie prowadzą zbiórkę, praktycznie wyeliminował te markety z naszego projektu charytatywnego pozyskiwania pieniędzy. Oto przykład rozmowy z panią z działu public relations, jednej z największych sieci handlowych:

— Proszę pana, ja mam trzysta sklepów, jestem w dziale sama jedna i też nie wiem, w co mam ręce włożyć. Kto tego będzie pilnował? Do końca tego roku absolutnie nic się nie zmieni i na pewno żadnych pozwoleń na akcje nie będzie.

— Co mogę zrobić, abyście zrozumieli dramatyzm sytuacji „Dziewczynki z zapałkami"? Będzie miała w tym roku co najmniej 500 tysięcy mniej w swoim budżecie, właśnie ze względu na wstrzymanie akcji tylko w waszej sieci.

No tak, ale sprawa hostelu trochę nas ożywiła. Może jednak coś się uda zmienić i nie będzie tak źle.

Tego dnia po pracy pojechałem do domu. Oczywiście, nie mogłem stracić okazji i wracałem przez las. Tam spotkało mnie ogromne szczęście. Na polance, już zielonej, gdzieniegdzie ukwieconej na biało od pojawiających się pierwszych ślicznych zawilców, zobaczyłem pasącą się rodzinkę sarenek. Jedna zwinęła się w kłębuszek i leżała, ucinając sobie popołudniową drzemkę, inne skubały trawkę. Naliczyłem ich chyba sześć. Uwielbiam te zwierzęta — są takie piękne i szlachetne w swoim wyglądzie. Pomimo, iż nie są małe w porównaniu do zwie-

rząt domowych, to bije od nich subtelność i delikatność, a najbardziej wrażliwość i bezbronność. Uznałem, że to piękna wróżba na kończący się dzień.

Do domu dotarłem przed siódmą, z pewnymi obawami o reakcję i zachowanie mamy. Ale mama była OK, tylko zapytała, jak się czuję, jak tam głodówka i kiedy koniec. Oczywiście nie omieszkała wtrącić, bym już zaczął pić soki, że już sześć dni to dużo, a i tak będę musiał kilka dni pić soki bez jedzenia, więc będzie to nie sześć, a z dziesięć dni postu. Zapewniłem, że się zastanowię i może pójdę za jej radą, oczywiście, by ją troszkę uspokoić.

Jak zwykle wieczór spędziliśmy na rozmowach – opowiadała o tym, co się działo w czasie mojej nieobecności, jakie przygody ją spotykały, u kogo była, czy dzwoniła znajoma, koleżanka lub rodzina, a jeśli tak, to co u nich słychać. I tak do wieczora. Ja też troszkę jej opowiadałem, co się dzieje w Fundacji, w mojej pracy…

I tak powoli minął szósty dzień bez jedzenia. Szklaneczka wody na dobranoc i jeszcze trochę pracy nad książką. Przed dziesiątą ułożyłem się do snu. Oczywiście, jakżeby inaczej, piesek położył się przy moim posłaniu i tak sobie razem zasypialiśmy. Kotka też się troszkę pokręciła koło nas, przy tym delikatnie pomrukując, po czym poszła spać do mojej mamy. „To jest właśnie mój prawdziwy rodzinny dom" — pomyślałem i przymknąłem powieki.

Afera podsłuchowa

Było już ciepło, świąteczny gwar i zamieszanie skończyły się. Myślałem o nowych projektach w ramach dalszej działalności „Dziewczynki z zapałkami". Okres Świąt Bożego Narodzenia był najlepszą okazją i czasem, aby „dziewczynka" mogła sprzedawać swoje zapałki. Dystrybucja pomocy w postaci jogurtów dla dzieci kosztowała, co oznaczało tym samym, że potrzebowaliśmy pieniędzy. Poza tym w tej działalności nie myślałem tylko o jogurtach i nie miałem zamiaru na tym poprzestawać.

Inną udaną akcją, którą przeprowadziliśmy, był projekt związany z paczkami świątecznymi dla podopiecznych Fundacji. Podobnie jak i z jogurtami, udało mi się zdobyć słodycze dla dzieci. Należało jednak za nie zapłacić. Zaczęło się od czekolady, którą w bardzo atrakcyjnej cenie zaproponował nam jeden z producentów. Do tego doszły cukierki i wafelki. Po owoce natomiast pojechaliśmy na ulicę Zjazdową w Łodzi, gdzie, dosłownie od niepamiętnych czasów, znajdował się rynek hurtowy artykułów spożywczych i nie tylko.

W poprzedniej epoce, przed erą centrów handlowych i supermarketów, rynki były swego rodzaju „eldorado". Ludzie sprzedawali tam wszystko, co udało się wyprodukować w kraju czy za granicą i gdzieś kupić, jak to się wtedy mówiło, „spod lady", bo z reguły nie było tych towarów normalnie w sklepach. Kwitł też tak zwany „import walizkowy". Towary z Węgier — Vegeta, czekolada, gumy kulki, orzechy w polewie. Towary z Czech — piwo i rum, NRD to kawa i czekolada, chałwa z Ukrainy, złoto z Rosji. Zawsze było tam mnóstwo ludzi, gwarno i głośno i co rusz słychać było inną muzykę odtwarzaną z przenośnych super nowoczesnych magnetofonów kasetowych, jak na tamte czasy.

Dzisiaj to miejsce wyglądało już zupełnie inaczej. Wybudowano pawilony, w których głównie sprzedaje się warzywa, owoce i artykuły

spożywcze. Pojechaliśmy tam, żeby kupić owoce również cytrusowe i oczywiście dobre jabłuszka, aby nasze paczki były bardziej okazałe. Z rolnikami i plantatorami także udało się znaleźć nić porozumienia i z dużym upustem zakupiliśmy — oczywiście w ilościach hurtowych — to, co chcieliśmy. Wychodziło bardzo dużo paczek do zrobienia — wafelki, czekolady, cukierki to wszystko mieściło się na paletach.

Nie było to możliwe, aby pakuneczki robić w maleńkim biurze w biurowcu, a nawet w naszym magazynie, który wynajęliśmy przy szkole. Idąc jak po przysłowiowej nitce do kłębka, znaleźliśmy, dosłownie naprzeciwko szkoły, halę pofabryczną — kilkaset metrów kwadratowych. Była idealna.

Fabryka, w której znajdowały się pomieszczenia została już sprywatyzowana. Właścicielem była spółka zarówno z polskim, jak i zagranicznym kapitałem. W biurze, które administrowało posesją, pracowała młoda dziewczyna — pani Monika. Zaoferowała nam swoją pomoc i pomogła nam przekonać właścicieli, by nieodpłatnie użyczyli nam powierzchni na wykonanie paczek świątecznych dla dzieci. Praktycznie mogliśmy od razu działać, ale pojawiła się jeszcze jedna przeszkoda. Towaru było bardzo dużo, a owe pomieszczenie mieściło się na pierwszym piętrze. Na szczęście mieliśmy na wyposażeniu dźwig — coś w rodzaju wciągarki na szynie wysuniętej na około metr przez specjalny balkon na zewnątrz. Pozostało, więc przywieźć tylko wszystkie składniki paczek, co też zacząłem organizować.

Łącznie z zakupem owoców zajęło to około dwóch tygodni. Dodatkowo, by podkreślić i zaakcentować wkład naszej „Dziewczynki…", przygotowaliśmy do paczek swojego rodzaju zakładki do książek bądź kolorowanki jak je też nazywaliśmy. Były to kwadratowe, białe karteczki z grubego kartonu, na których po jednej stronie był nadrukowany wizerunek dziewczynki z zapałkami, a po drugiej znajdowały się różne postacie z lubianych baśni. Jeszcze tylko brakowało ładnych reklamówek i byliśmy gotowi do akcji „Paczka świąteczna z Dziewczynką z zapałkami".

Pakowanie samych podarunków paczek także zajęło kilka ładnych dni, ale pomagali nam nasi pierwsi wolontariusze z pobliskich szkół podstawowych. Dzieci pracowały bardzo sumienne i uwijały się jak mróweczki, zgrabnie wkładając łakocie do paczek. W sumie zrobiliśmy ich około pięciu tysięcy sztuk. Z rozdaniem pakunków było już znacz-

nie łatwiej. Kontakty ze szkołami nawiązane przy okazji „akcji jogurtowej" funkcjonowały bardzo sprawnie — wystarczył dosłownie jeden telefon do pedagoga.

Mikołaj z paczkami „Dziewczynki z zapałkami" odwiedzał szkoły na terenie całej Łodzi. W niektórych placówkach był on faktycznie „prawdziwy" - z wielką siwą brodą, w czerwonej czapie i długim płaszczu. Mieliśmy wtedy jeden piękny kostium Mikołaja, wykonany przez mamę naszej hostessy. Udało nam się też wypożyczyć dodatkowo jeden czy dwa kostiumy, aby Mikołaj mógł nadążyć z zamówieniami. Albo ja, albo któryś z pracujących z nami kierowców przebierał się, odwiedzał dzieciaki w szkołach czy innych miejscach i wręczał im z całą świąteczną powagą paczki ze smakołykami.

Chciałem również nagłośnić informację o naszej świątecznej akcji za pośrednictwem mediów. Pomyślałem, że zadzwonię do TVP Łódź i poproszę o zakomunikowanie w wiadomościach, że jeśli gdzieś są dzieci, które marzą o Mikołaju, a w minione święta nie był on dla nich hojny, to zaprasza po paczki od „Dziewczynki z zapałkami". Szczegóły odbioru prezentów można było uzgodnić telefonicznie.

Zadzwoniłem i przedstawiłem swoją propozycję — nagle głos w słuchawce przybrał dziwną barwę, stał się głośniejszy i zagrzmiał: „Panie, o co tu chodzi z tą dziewczynką z zapałkami? Wie pan, bo jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze!". Próbowałem nawiązać rozmowę, ale ktoś po drugiej stronie odłożył słuchawkę. Przypomniałem sobie wtedy mojego znajomego Grześka, któremu proponowałem współpracę przy nagłośnieniu medialnym akcji i tym, co się mogło stać po ostatniej naszej wymianie zdań na ten temat w pubie. „Wy chcecie zarobić na tym kasę" — jak to wtedy powiedział.

***

W kolejnych dniach w dość naturalny sposób zaczęła tworzyć się mapa i kalendarz naszej aktywności w centrach handlowych. Następnym terminem akcji w marketach był czas przed Świętami Wielkanocnymi, później przed wakacjami, dalej od grudnia ponownie główna gala sprzedaży zapałek. Pozostawały jeszcze inne miasta.

Zgodnie z złożeniami projektu, nie chciałem ograniczać „Dziewczynki z zapałkami" tylko do działalności lokalnej na terenie Łodzi. Przecież symbol „Dziewczynki…" został zgłoszony w Genewie do ochrony międzynarodowej. Wyprawy z akcją do innych miast postanowiłem jednak chwilowo odłożyć. Mój zapał został trochę przygaszony

po pierwszej akcji w Warszawie, po której to doszedłem do wniosku, że musimy bardziej umocnić się tutaj na miejscu, w Łodzi.

Teraz chciałbym opowiedzieć o wydarzeniu, które w bardzo poważny sposób zagroziło całemu projektowi „Dziewczynki z zapałkami" i dosłownie mojemu zdrowiu.

Siedziałem sobie w domu z mamą i zwierzakami. Zbliżał się wieczór. Dzwonek do drzwi zwiastował miłego gościa. Gość w dom, Bóg w dom — tej zasady byłem nauczony od dzieciństwa, do czego przyczyniła się głównie moja babcia i dziadek. Otworzyłem drzwi, a w progu stał mój sąsiad z bloku naprzeciwko moich okien, Grzesiek. Znałem go z opowiadań moich sąsiadów zza ściany — Arka i jego ojca Zbyszka. Arek przyjaźnił się trochę z Grześkiem i jego bratem Maćkiem. Tata Zbyszek z kolei miał z nimi wspólny język dzięki komputerom, którymi bardzo się interesował. Wydawało się, że chłopaki są dobrzy w tej dziedzinie. Z tych rozmów w ogóle wynikało, że są współczesną elitą młodzieży. Fantastyczne wyniki w nauce, znajomość języków obcych — i to nie jednego, ale co najmniej dwóch. Prestiżowe szkoły… Jednym słowem — nowoczesna młodzież bez kompleksów, z doskonałymi perspektywami na przyszłość. Taki gość w domu, to już jest coś. Zaprosiłem Grześka do środka, przygotowałem herbatę i ciastka.

Grzesiek zaczął:

— Wiesz, że znam się doskonale na branży komputerowej i że rynek w tej branży daje ogromne możliwości rozwoju?

— No tak, może… no, widać to wszędzie, aczkolwiek, jeśli chodzi o mnie, to ja ograniczam się tylko do Worda w komputerze, dzięki któremu mogę sobie napisać pismo czy list, zaproszenie do współpracy przy akcji charytatywnej, którą organizuję. No i co ważne, mogę sprawdzić od razu błędy w tekście, co daje mi duży komfort psychiczny i nie martwię się, że jakiś rażący byk przemyci się do adresatów moich listów.

Z rozmowy wynikało, że chłopak chce rozkręcić własną firmę komputerową. Zainteresował tym swoich pracodawców i będą oni partycypować w tym biznesie. Postawili mu jednak warunek: otrzyma od nich wsparcie finansowe, jeśli załatwi dwóch żyrantów na kredyt, który ma dostać od ich firmy. Zapytałem, kto ma być drugim żyrantem tego kredytu czy pożyczki, bo z tego co dotychczas powiedział wynikało, że pierwszym będzie jego starszy brat . Okazało się, że pomyślał o mnie.

Grzesiek powiedział mi jeszcze, że bardziej chodzi o poręczenie osobą niż majątkiem, gdyż nie muszę go posiadać ani wykazywać

w żaden sposób. Rozmawialiśmy jeszcze trochę również o mojej działalności i wynikało z tego, że jeśli ta inicjatywa się powiedzie, a co do tego nie ma wątpliwości, to „Dziewczynka z zapałkami" zyska lojalnego przyjaciela w branży komputerowej. Wszystko brzmiało obiecująco i wiarygodnie.

Jeśli byłaby to „mina", to nie wiązałby z tym przecież swojego brata. Poza tym znałem jego rodziców – byli bardzo wierzący i pobożni. Uczestniczyli w życiu Kościoła, podobnie zresztą jak chłopcy, którzy często służyli do mszy świętej. I opinia mojego sąsiada Zbyszka o chłopakach też była jak najlepsza, a zawsze liczyłem się ze zdaniem sąsiada. Był to stary harcerz i człowiek z pasją, taka „stara szkoła" — bardzo mi odpowiadająca: słowo ważniejsze od pieniędzy.

Po krótkim namyśle, stwierdziłem, że chętnie pomogę. Grzesiek podał mi termin spotkania. Dodał, że potrzebny będzie tylko dowód osobisty i to wszystko. Umówiliśmy się na termin i godzinę. Wszystko miało trwać tylko kilka minut. „W porządku" — powiedziałem i rozstaliśmy się po przyjacielsku. Spotkanie było umówione na wtorek, w moim biurze przy Piotrkowskiej. Traf chciał, że firma Grześka, gdzie mieliśmy podpisać dokumenty, mieściła się zaraz obok biurowca.

We wtorek, punktualnie przed dziewiątą zjawił się u mnie Maciek, jak zawsze elegancko ubrany w garnitur, koszulę i krawat — tak jak wspomniałem — „wyższa półka" młodzieży polskiej. Studiował, zdaje się, w Warszawie w Szkole Głównej Handlowej. Porozmawialiśmy chwilę, on również nie znał do końca szczegółów przedsięwzięcia, więc stwierdziłem, że pewnie to jakaś tajemnica handlowa. Wyszliśmy z biura i wsiedliśmy do windy. Maciek był bardzo rozmowny i poruszaliśmy wiele różnych spraw. Weszliśmy do biura jego brata, a dokładnie do firmy gdzie pracował. Grzesiek już na nas czekał. To, co trochę mnie wtedy zdziwiło, to jego niewyraźna mina.

Wszystko odbyło się bardzo szybko. W pokoju konferencyjnym czekało na nas dwóch mężczyzn. Wyglądało na to, że byli szefami Grześka. Na stole leżały gotowe do podpisania dokumenty. Poproszono nas o dowody, które podaliśmy jednemu z panów. Drugi spisał nasze dane. „Dziękuję, wszystko jest w porządku. Tutaj są dokumenty poręczenia pożyczki. Proszę przeczytać" – powiedział bardzo oficjalnym tonem.

Z dokumentów wynikało, że pożyczka jest jak każda inna, chociaż przyznam, że trudno było mi się wczytywać w treść, ale przecież nie było to takie istotne. Miałem pełne zaufanie zarówno do Maćka, jak i do

Grześka. W tym przypadku pożyczka była udzielana tylko przez osoby prywatne a nie przez bank. Pomyślałem jeszcze wtedy o całej sytuacji i stwierdziłem, że szefowie Grześka muszą go bardzo dobrze znać, skoro udzielają mu pożyczki. Podpisałem, więc dokumenty co uczynił też Maciek. Podaliśmy sobie ręce i pożegnaliśmy się z pracodawcami Grześka. Wyszliśmy w trójkę na ulicę. Jeszcze chwilę porozmawialiśmy i wszyscy rozeszliśmy się do swoich zajęć. Mimo, że teoretycznie nie miałem powodów do niepokoju, to jednak w głębi duszy czułem się trochę podenerwowany — martwiło mnie trochę podpisanie weksli jako zabezpieczenia pożyczki — pierwszy raz w życiu je podpisałem i miałem głęboką nadzieję, że ostatni. W duchu też przekonywałem się, że to były tylko formalności bez wątpienia człowiek był pewny i interes, który miał rozpocząć też.

Szybko zapomniałbym o całej sprawie, gdyby nie fakt, że od czasu do czasu spotykałem rodziców braci. Czasami też widywałem Grześka, zawsze w pośpiechu, jak przystało na młodego biznesmena. Ja byłem zajęty swoją „Dziewczynką z zapałkami" i nie miałem czasu myśleć o niczym więcej.

Któregoś dnia otrzymałem list polecony. Nadawca był mi jakby znany. Otworzyłem i dosłownie zamurowało mnie. Tak się akurat złożyło, że byłem sam w domu. Mama wyszła do jednej ze swoich koleżanek. Z niedowierzaniem i kompletnym zaskoczeniem przeglądałem dokumenty, które wyjąłem z koperty. Wynikało z nich jednoznacznie, że Grzesiek nie spłaca kredytu i że to ja mam za niego spłacać niefortunnie powstały dług. Podpisałem weksle i stałem się przecież żyrantem. Z dokumentów wynikało jeszcze, że są też bardzo wysokie odsetki od kosmicznej dla mnie kwoty kilkudziesięciu tysięcy złotych. Już w tym momencie pomyślałem, że sprawa jest bardzo paskudna.

Szybko się ubrałem i pobiegłem do sąsiedniego bloku, gdzie mieszkał nasz młody biznesmen, wyjaśnić sprawę. Grzesiek na szczęście był w domu. Przez domofon poprosił, bym poczekał. Zaraz będę na dole, powiedział. Po kilku minutach wyszedł z klatki.

— Cześć, co tam się stało?

— Grześ, to ty mi powiedz, co się stało!

— Nic konkretnego, wszystko porządku, nie wiem, o co pytasz.

— Udzieliłem ci pełnego zaufania. Proszę, może zobacz, dostałem jakieś wezwanie do zapłaty twojego kredytu.

— Tak? — udawał zaskoczonego — no, co ty! Przecież dostali pie-

niądze. Nie wszystko jeszcze, ale spokojnie, tylko spokojnie, to jakaś pomyłka.

Zapewnił mnie, że wszystko wyjaśni i że nie muszę się o nic martwić. W liście podany był termin, do którego miałem wpłacić pieniądze na wskazany numer konta, po upływie tego terminu sprawa miała być skierowana do sądu. Powiedziałem to Grześkowi i pokazałem list.

— Nie, nie, wszystko będzie dobrze. Nic się nie przejmuj, już dostali część pieniędzy. Nie wiem, dlaczego to wysłali. Co im odbiło?

Po rozmowie wróciłem do domu, w ogóle nieuspokojony — w rozmowie też zauważyłem, że jego zachowanie było całkowicie niewiarygodne. Zdradzał też objawy pewnego lęku, jakby coś ukrywał. Choć jestem postrzegany w swoim środowisku jako ostoja spokoju, to ciężko było mi być spokojnym tego wieczoru i praktycznie przez całą noc nie zmrużyłem oka, a muszę przyznać nie pamiętam, czy zdarzyło mi się to kiedyś. Tylko z opowiadań znałem sytuacje, kiedy ludzie przez noc potrafili osiwieć w wyniku właśnie silnego stresu.

Teoretycznie niczego nie ryzykowałem. Wydawałoby się — nie mam żadnego majątku, który mógłbym stracić, nieruchomości, nawet samochodu, nie mówiąc już o koncie w jakimkolwiek banku — to czego mógłbym się bać? Czegoś jednak mogłem. Byłem przecież świeżo upieczonym prezesem Fundacji „Dziewczynka z zapałkami", poważnej instytucji, a działo się to już w czasie, kiedy organizacja została zarejestrowana, co trochę przeciągało się w czasie.

Byłem w tej sprawie w Warszawie chyba dwa razy, by w Sądzie Rejonowym składać uzupełnienia, wyjaśnienia i dokumenty. Podczas jednej z wizyt dowiedziałem się, że minęły już czasy spontanicznego rozwoju różnych inicjatyw zgodnie z wezwaniem pierwszego po wojnie demokratycznie wybranego prezydenta Lecha Wałęsy - „bierzcie sprawy w swoje ręce". Na początku lat dziewięćdziesiątych rejestrowano bez problemów fundacje i inne organizacje. Wszystkie wnioski o rejestracje były rozpatrywane zwykle pozytywnie nawet w ciągu dwóch miesięcy. Rejestrując moją pierwszą fundację w 1993 roku, faktycznie załatwiłem to bardzo szybko.

Teraz jednak wszystko trwało znacznie dłużej. Organizacje takie zaczęły służyć różnym celom. I tak na przykład jedna z sieci klubów nocnych na Pomorzu działała w tamtym czasie pod szyldem organizacji charytatywnej. Całkiem niedawno podano w wiadomościach, że we Włoszech nad Morzem Śródziemnym jest klub nocny działający

również pod szyldem organizacji charytatywnej. Ciekawe, czy pomysł na to przywędrował tam z Polski czy odwrotnie. Tak więc na przełomie lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku i nowego millenium na rejestrację organizacji charytatywnej trzeba było czekać około dwóch lat. Czyli zbliżał się koniec działalności gospodarczej „Dziewczynki z zapałkami", a miał się zacząć nowy czas i nowa historia – baśniowa bohaterka będzie miała swoją fundację, co wydawało się, otwiera przed nią nowe, niezmierzone horyzonty.

Ale co ze świeżo upieczonym prezesem? Skompromitowanym przecież, z kontem obciążonym długiem i szybko rosnącymi olbrzymimi odsetkami. Dla nikogo taki prezes nie będzie wiarygodną osobą i nikt nie zagłębi się w wyjaśnianie okoliczności powstałego długu. A jeśli jeszcze weźmiemy pod uwagę, że ów skompromitowany prezes kieruje działaniami fundacji w tak wrażliwej i delikatnej materii, jaką jest pomoc charytatywna i prowadzenie działalności publicznej?

Jestem z natury romantykiem i idealistą, stąd też nie mogłem sobie wyobrazić takiej sytuacji, by ciążył na mnie dług i rzucał cień na moją osobę, a tym samym na całą Fundację. A przecież, jak na ironię, robiłem wszystko, by od samego początku działalność „Dziewczynki z zapałkami" była jak najbardziej przejrzysta i jasna, a sam fundament możliwie nieskazitelnie czysty i wolny od jakichkolwiek podejrzeń o złą wolę czy złe działanie. To, co najbardziej kochałem i co dopiero dostałem w darze od losu, który do tej pory różnie mnie traktował, było zagrożone stratą.

Nieprzespana noc to jedno, ale coś stało się po tamtej nocy z moim „regulatorem oddawania moczu" i objawiało się tym, że co chwilę czułem potrzebę udania się do toalety. Dolegliwość ta powracała do mnie jeszcze po długich latach od tamtych wydarzeń.

Na drugi dzień, jak zwykle pojechałem do Łodzi, ale moje pierwsze kroki nie były bynajmniej skierowane do biura „Dziewczynki z zapałkami". Od razu udałem się do feralnej firmy, w której podpisałem kredyt. Na moje szczęście zastałem tam jednego ze wspólników, którego poznałem, kiedy byłem tu za pierwszym razem.

— Przepraszam, ale na pewno pan wie, w jakiej sprawie przychodzę — powiedziałem. — Pozwoli pan, że usiądę — zrobiłem tak, nie czekając na odpowiedź i wyjąłem z torby kopertę otrzymaną dnia poprzedniego. Wyciągnąłem z niej list, pokazałem panu siedzącemu na przeciwko mnie i powiedziałem:

— Proszę pana, nie bardzo wiem, co się dzieje, widziałem się z Grześkiem wczoraj i powiedział, że pieniądze są płacone i wszystko jest w porządku. Jakby pan mógł mi coś wyjaśnić…

— Proszę pana, Grzesiek w ogóle nic nam nie oddał, mało tego, oszukał nas i już nie pracuje w naszej firmie.

— Coś mi tu nie pasuje — odpowiedziałem. — Pracuje u panów kilka lat, nie wiem, rok czy dwa, panowie pożyczają mu pieniądze, a on okazuje się oszustem? Znam jego rodzinę, są to bardzo porządni ludzie i sprawa jest niewiarygodna. Proszę powiedzieć coś więcej.

— No, nie mogę panu powiedzieć nic więcej, proszę rozmawiać z Grześkiem, nie wiem… z rodziną? Niech oddadzą pieniądze. Jego brat studiuje, postanowiliśmy ściągnąć pieniądze od pana, gdyż żyranci odpowiadają za dług solidarnie.

Pomyślałem sobie: „Sprawa jest poważna, trzeba jej się dokładnie przyjrzeć, a wyjaśnienie muszę uzyskać od Grześka". Pan na spotkaniu dość wyraźnie dawał mi odczuć, że nie udzieli mi żadnych informacji i nie jest zainteresowany rozmową, a raczej tyko i wyłącznie pieniędzmi. Po spotkaniu, jeśli można tak je nazwać, zadzwoniłem do Grześka:

— Cześć stary, musimy się koniecznie spotkać, mam coś ważnego w twojej sprawie i powinno cię to zainteresować.

Umówiłem się najszybciej jak mogłem — w rozmowie zaproponował spotkanie na drugi dzień, ale pomyślałem sobie, że to dobrze. Będzie czas, by się przygotować. Tego dnia po pracy spotkałem się z kolegą — pomyślałem, że jest to osoba, która może mi pomóc. Zadzwoniłem do Krzyśka, który był moim dobrym kumplem, jeszcze z czasów podstawówki. Dobrze się uczył, skończył chemię na Politechnice, ale za namową narzeczonej, a później żony, został policjantem. Skończył szkołę policyjną i pracował jako oficer śledczy. Gdy wracałem do domu, zastanawiałem się, czy powiadomić brata Grześka — Maćka i jego rodziców o całej sytuacji, ale ostatecznie stwierdziłem, że nie ma co robić szumu, tylko powoli wyjaśnić sprawę.

Wsiadłem w autobus do domu i jadąc, próbowałem ułożyć sobie w głowie jakieś plany działania. Nie wysiadłem na swoim przystanku, tylko pojechałem na osiedle, największe blokowisko w moim mieście, gdzie wtedy mieszkał Krzysiek ze swoją żoną i córeczką. Po wyjściu z autobusu wszedłem do delikatesów po dwa piwa i coś słodkiego dla Mariki — jego córki. Nie mając własnej rodziny, bardzo lubiłem ich odwiedzać.

Z „zaopatrzeniem" pobiegłem szybko w kierunku bloku, gdzie mieszkali. Zadzwoniłem domofonem. Wszedłem. Było jak zawsze miło, sympatycznie. Asia, żona Krzyśka, robiła właśnie kolację. Najczęściej właśnie o tej porze ich odwiedzałem, ale zdarzyło się też, że byłem na wspólnym śniadaniu lub obiedzie. Zawsze siedzieliśmy w miłej atmosferze.

Gdy już nacieszyliśmy się pierwszymi chwilami spotkania, opowiedziałem Krzyśkowi, jaka przygoda mnie spotkała. Powiedziałem o moich odczuciach, a on bez wahania zaoferował mi swoją pomoc w tej sprawie. Stwierdził, że faktycznie mój plan działania jest dobry. Zalecił mi jeszcze, abym dyskretnie rejestrował wszystkie rozmowy, jakie będę prowadził. Posunął się nawet do tego, że zaproponował mi pożyczenie specjalnego sprzętu do podsłuchu, którym dysponował.

Na drugi dzień, przed pójściem do pracy poszedłem do niego do firmy detektywistycznej, gdzie pracował. Zgodnie z jego zaleceniem wszedłem i wystukałem na klawiaturze telefonu wewnętrznego numer, który od niego otrzymałem. Znajomy głos w słuchawce powiedział: „Obywatelu, czekajcie na dole" i po kilku minutach za szklanymi drzwiami pojawił się Krzysiek. Zaprosił mnie do środka; szliśmy najpierw schodami, potem długim korytarzem, aż doszliśmy do jego biura. Usiedliśmy przy starym wysłużonym biurku, spojrzał na mnie i wyciągnął sprzęt, po czym poinstruował dosyć szybko, jak się z nim obchodzić i doradził mi jak najdalej idące środki ostrożności. Miał tego dnia, jak powiedział, dużo pracy i na szkolenie mnie nie miał zbyt wiele czasu. Podziękowałem i pojechałem do pracy. Spotkanie z Grześkiem miało się odbyć około południa. Przygotowałem urządzenie i czekałem.

Wykonywałem swoją pracę jak zawsze, starając się maksymalnie skupić uwagę na swoich obowiązkach. Ktoś zapukał do drzwi, otworzyłem. W wejściu stała oczekiwana przeze mnie osoba. Przywitałem gościa bardzo serdecznie, usiedliśmy, zrobiłem herbatę, wyciągnąłem słodycze.

— Grzegorz, wiem coś więcej o całej sprawie. Mógłbym pomóc, ale musisz mi powiedzieć dokładnie, co się stało — zacząłem.

Był dość przygaszony, jakby trochę złamany — widziałem, że potrzebuje pomocy i chyba nie miał się z tym do kogo zwrócić, a ja naprawdę byłem gotowy, aby mu pomóc. Nie naciskałem, nie wyciągałem informacji, a raczej naprowadzałem go na właściwy tok myślenia

i pokazywałem mu możliwość wyjścia z kłopotu. Rozmawialiśmy z godzinę. Spotkaliśmy się jeszcze ze dwa razy, podczas odbytych rozmów opowiedział mi wszystko, co zaszło.

Okazało się, że ów biznes był niczym innym jak oszustwem. Grzegorz, pracując przez dwa lata w firmie, zaczął wynosić sprzęt komputerowy. Robił również podmiany z droższego na tańszy — części, podzespoły, wszystko. Jak to zwykle bywa, zaczęło się od złotówki. Z biegiem czasu stał się coraz mniej ostrożny i brawurowy w swoich działaniach. Pewnego dnia ktoś dosłownie złapał go za rękę. Ale co ma do tego pożyczka?

Właściciele firmy poszli za radą życzliwej sobie osoby: jeśli zgłosicie przestępstwo na policję, będziecie mieli skazanego i zero możliwości odzyskania pieniędzy. Jeśli podpisze wam umowę o pożyczkę i znajdzie poręczycieli to będziecie mieli żyranta, z którego może uda się coś ściągnąć. A jeśli chłopaka dobrze nastraszycie — jakby nie patrzeć, człowiek pełnoletni, któremu grozi odsiadka — taki gość zrobi wszystko, by tylko nie pójść za kratki.

Z rady skorzystali, przygotowali „przedstawienie", na które zaprosił mnie Grześ. Musiał grać na tyle wiarygodnie, by zacne towarzystwo zgodziło się wziąć udział w przygotowanym spektaklu, co udało się doskonale, bo przez kilka miesięcy miałem wątpliwy zaszczyt w nim uczestniczyć.

Jak już dowiedziałem się, o co chodziło, skontaktowałem się z drugim żyrantem — Maćkiem. Umówiliśmy się na spotkanie, Maciek pracował i studiował w Warszawie, tak więc kilka dni trwało, zanim udało nam się spotkać.

Spotkaliśmy się u mnie późnym wieczorem. Mama była w domu, poszliśmy więc do mojego maleńkiego pokoiku. Tam w spokoju zacząłem wypytywać Maćka, czy wie, co się dzieje, że brat nie płaci kredytu, że nie pracuje już w tej firmie i że ścigają mnie za ten dług i chcą, żebym do tego i tego dnia oddał pieniądze. A jeśli nie ureguluje zaległości to uruchomią odpowiednie procedury sądowe. Maciek był niesamowicie zaskoczony. W rozmowie dowiedziałem się również, że za poręczenie kredytu otrzymał on konkretne korzyści od młodszego brata — w ten sposób zgodził się na udział w całym przedstawieniu.

— Maciek — powiedziałem — że ty zgodziłeś się na to? W życiu bym nie pomyślał, że brat mógł na taką „minę" wsadzić brata!

Jednak biorąc pod uwagę fakt, że nad Grześkiem wisiała realna groźba więzienia, musiał zrobić wszystko, żeby się z przymusowego urlopu „wykupić". Maciek zdenerwował się tak mocno, aż z jego ust posypały się przekleństwa pod adresem młodszego brata. Łudził się jeszcze, że brat ma pieniądze i może je oddać, że jak powie rodzicom, to będzie miał tak przegrane, że koniec. Mówił różne rzeczy, a ja spokojnie zaproponowałem, żeby się spotkać i porozmawiać o wszystkim z rodzicami. Tak też zrobiliśmy. Był to kolejny krok w całej akcji — kolejny akt.

Spotkaliśmy się z rodzicami, opowiedziałem im, co się wydarzyło i zaproponowałem, jak rozwiązać tę sytuację. Krzysiek mój przyjaciel, o którym pisałem podpowiedział mi, że trzeba zawrzeć ugodę — zastąpić umową o ugodę umowę pożyczki i określić dokładnie zasady, jak oddać ludziom pieniądze. Zaproponowałem to rozwiązanie, a oni nie mieli innej alternatywy. Bardzo uczciwi ludzie, zachowali się honorowo i postanowili, że pieniądze oddadzą.

Kolejny krok — spotkanie z właścicielami firmy, w której pracował Grzesiek. Zadzwoniłem do firmy, poprosiłem szefa do telefonu:

— Piotr … — przedstawiłem się. — Proszę pana, dzwonię w sprawie oddania długu, to znaczy pieniędzy, które państwa firma pożyczyła panu i tu wymieniłem nazwisko. Myślę, że będą panowie zadowoleni. Kiedy moglibyśmy się spotkać w tej sprawie?

Pan po drugiej stronie słuchawki podał termin — za trzy dni — wtedy miał być również obecny drugi współwłaściciel. Spotkaliśmy się z rodzicami i chłopcami w moim biurze, ustaliliśmy jeszcze raz szczegóły naszej propozycji dla byłych pracodawców Grześka i poszliśmy na spotkanie.

Weszliśmy do firmy, panowie już czekali. Wkroczyliśmy do biura i usiedliśmy wszyscy wygodnie. Spokojnie przedstawiłem całą sprawę – wiemy o kradzieżach syna zaczęli rodzice i o tym, że kredyt był fikcyjny, przygotowany celem odzyskania pieniędzy. „Obecni rodzice i brat Grześka chcą się porozumieć i oddać pieniądze" powiedziałem. Rozmawialiśmy o ugodzie. Panowie powiedzieli, że mogą przystać na proponowane rozwiązanie. Rozstaliśmy się w atmosferze bardziej już optymistycznej. Jednak jakby nie było, miałem z nimi za kilka dni rozprawę w sądzie zgodnie z otrzymanym pismem. Powiedzieli jeszcze, co było dla mnie zrozumiałe z ich punktu widzenia, że nie będą zatrzymywać egzekucji długu, dopóki nie dostaną choćby jakiejś części

pieniędzy. Jeden z panów dostrzegając moje niefortunne położenie, w przypływie współczucia powiedział mi przy pożegnaniu, „Może niech pan tak jak my pomyśli o jakimś kredyciku".

Za kilka dni stawiłem się w sądzie na placu Dąbrowskiego. Pojawił się tam też jeden ze wspólników z adwokatem. Ja przyszedłem sam, gdyż uznałem, iż w takiej sytuacji, kiedy już wiedziałem, że padłem ofiarą oszustwa, nie jest mi potrzebny udział obrońcy. Zresztą nie miałem adwokata ani pieniędzy, by mu zapłacić. Weszliśmy na salę rozpraw i sąd odczytał, co następuje. Został wydany wyrok, bym oddał pieniądze panu X i Y. Wysoki Sąd w osobie młodej pani sędzi trochę naciskał na mnie, bym coś powiedział, bronił się, zajął jakieś stanowisko. Mnie też troszkę wmurowało zachowanie i postawa wspólnika siedzącego naprzeciwko, który nie wycofał żądań względem mojej osoby, mając świadomość, że wiem, iż ten cały dług był zupełną mistyfikacją i że jest to nic innego jak próba wyłudzenia pieniędzy.

Kiedy stałem na sali rozpraw, długo wpatrywałem się w oczy mojego rzekomego wierzyciela, który też patrzył w taki sposób, z którego wynikało jasno, że dopnie swego. Na koniec sąd postanowił, że jestem winien i mam oddać pieniądze. Po sprawie spotkałem się z rodzicami Maćka, aby dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja. Zapewniali, że zdobędą pieniądze i będą podpisywać umowę ugody.

Otrzymałem list, który zawierał wyrok sądu z siedmioma czy czternastoma dniami na odwołanie się od orzeczenia. Czekałem dalej, byłem jeszcze u rodziców Grześka, ale nie bardzo chcieli ze mną rozmawiać, odniosłem nawet wrażenie, że chyba przestaje im zależeć na rozwiązaniu powstałego problemu. Powiedzieli nawet: „A jak nakradł, to niech idzie siedzieć i będzie spokój", co odczytywałem jako brak chęci czy woli, a może i możliwości spłacenia długu, jaki ciążył na ich synu. Sprawiali wrażenie zagubionych i może po prostu zaczynało im brakować cierpliwości, nerwów i siły w tej trudnej dla nich sytuacji.

Dzień uprawomocnienia wyroku minął, a ja czekałem i nic nie robiłem. Następnego dnia, wieczorem, odwiedził mnie Maciek w radosnym nastroju.

Jedno z pierwszych pytań brzmiało: „I jak tam mieszkanko? Wykupione na własność?". „W sumie — przeliczyłem szybko w myślach — wartość mojego mieszkania pokryłaby część kredytu". Powiedziałem spokojnie, że tak. W swoim czasie istniała taka możliwość, że za symboliczną kwotę można było wykupić mieszkania, spółdzielnia

postanowiła się ich pozbyć. Miałem akurat tysiąc czy dwa odłożone a tyle akurat wystarczyło.

— A dlaczego pytasz?

— A nie, no tak… — odpowiedział zmieszany, nie podając powodu.

Powiedział, że zbierają pieniądze i dogadują się z panami X i Y. Miałem już wtedy dość duże doświadczenie w kontaktach z ludźmi na różnych poziomach i szczeblach. Obaj bracia byli kpiarzami, wesołkami, raczej w dobrym tego słowa znaczeniu, ale teraz postanowili chyba zakpić sobie ze mnie. Kilkadziesiąt tysięcy złotych nie leży na ulicy, jak niektórzy mówią, a mój wyrok sądowy właśnie się wczoraj uprawomocnił. A oni przecież nie mają nic do tego — wyrok jest wyrokiem sądu niezawisłego i niezależnego. Mieszkanie przecież jest wykupione. Nie miałem już złudzeń. Zachowanie Maćka zgasiło we mnie chęć pomocy jego rodzinie, co brałem pod uwagę przez cały czas trwania tego zamieszania – trzeba było zacząć działać.

Na drugi dzień, z samego rana, pobiegłem na plac Dąbrowskiego. Wielkimi schodami, potem holami do biura podawczego. Otworzyłem torbę, wyciągnąłem teczkę, a z teczki dokumenty.

— Proszę pani, chciałem złożyć dwa wnioski: jeden wniosek w sprawie przywrócenia terminu w sprawie i drugi wniosek w sprawie unieważnienia pożyczki.

Złożyłem oba wnioski, na kopiach pani przystawiła pieczęcie z datami przyjęcia dokumentów. Schowałem potwierdzenia i poszedłem do pracy. Można powiedzieć, że prawie zapomniałem o sprawie.

Po jakimś czasie pojawił się u mnie Maciek, był jakby trochę przestraszony. Później przyszli jego rodzice, i znowu Maciek. Prosili i namawiali mnie, abym wycofał wnioski. Swoją drogą, ciekawe, skąd się o nich tak szybko dowiedzieli.

Postawiłem twardy warunek: albo dostanę właściwy dokument potwierdzający, że załatwili sprawę z panami X i Y, albo unieważnię ten fikcyjny kredyt w sądzie. Tym samym oczyszczę nas.

— Maciek, również ciebie — powiedziałem z uśmiechem i całą swoją życzliwością dla niego — z ciążącego nad nami widma konieczności zwrotu ogromnych pieniędzy z odsetkami.

Pomimo tych słów Maciek i tak już nie był nawet w części taki radosny, jak wtedy, gdy pytał o moje mieszkanie.

Wizyty ustały, ale nawet moja mama zorientowała się, że coś się dzieje i zaczęła rozpytywać: „Piotr, po co oni tak przychodzą? Co tam

za konszachty z nimi masz? Bardzo mi się to nie podoba". Musiałem ją uspokajać i zapewniać, że nic złego się nie dzieje. Ale, niestety działo się i któregoś dnia po złożeniu wniosków w sądzie pod domem zjawiła się jakaś ekipa podejrzanych typów. Wyglądali jakby czekali na kogoś z konkretnym zamiarem, wiele godzin stali pod moim blokiem, aż do późnej nocy.

Mama uznała, że ma to związek ze sprawą i zaczęła też się mocno martwić. Gdyby wiedziała, w co się dałem wpakować! Po jakimś czasie otrzymałem list polecony, w środku plik dokumentów – przejrzałem papiery, umówiłem się, aby zobaczył je ktoś, kto się na tym zna. Treść dokumentów okazała się na tyle satysfakcjonująca, że mogłem wycofać oba wnioski z sądu.

***

Myślę, że nie mogłem nie opowiedzieć o tej mojej przygodzie, o której jeszcze latami przypominał mi mój poturbowany pęcherz, kiedy biegałem bez opamiętania do toalety. Stres tamtej nocy był tak silny, że coś się tam poprzestawiało.

Najważniejsze jednak, że mój honor i tym samym honor prezesa nowopowstałej Fundacji, i samej dziewczynki z zapałkami, został obroniony. Mogłem teraz dalej zajmować się swoją największą pasją, jaką miałem i największą miłością mego życia. Z dokumentów wynikało, że rodzina Grześka i Maćka zawarła ugodę z panami X i Y i oddała skradzione przez Grześka pieniądze — kilkadziesiąt tysięcy złotych. Była tam również pisemna deklaracja, że sprawa została załatwiona, zamknięta i strony nie będą wysuwać wobec siebie żadnych roszczeń.

Jest to niesamowity przykład tego, jak przestępstwo rodzi przestępstwo. Na początku sprawy złoczyńca był jeden. Następnie pracodawcy stali się wspólnikami, chcąc wyłudzić pieniądze ode mnie i brata Grześka. Później dołączyła cała rodzina, uznając, że wyrok się uprawomocnił i gość (czyli ja), który może spłacić ten dług chociaż w jakiejś części.

Miałem świadomość, iż bieg wydarzeń bez udziału Krzyśka mógłby być zgoła inny. Swoim doświadczeniem pomógł mi uratować „Dziewczynkę z zapałkami". Myślę, że warto jeszcze nadmienić, że we wniosku o unieważnieniu kredytu znajdowały się dwa zdania brzmiące mniej więcej tak: „Jestem w posiadaniu materiałów i dowodów potwierdzających fikcyjność pożyczki, o której mowa we wniosku".

Sprzęt, który mi pożyczył oddałem mu w nienaruszonym stanie i później nieraz przy piwku wspominaliśmy naszą przygodę.

A co u naszego młodego biznesmena Grześka? Dowiedziałem się po jakimś czasie, że otworzył firmę komputerową, coś w rodzaju hurtowni. Nabył masę sprzętu, sprzedał i nie oddał kontrahentom pieniędzy — oszukał jednego, drugiego i kolejną firmę. Zainteresowały się nim właściwe służby. Spędził chyba dwa lata „na przymusowym urlopie" tam, gdzie tak bardzo nie chciał trafić.

Niech to będzie właściwe ostrzeżenie dla młodych ludzi — z bogactwem i łatwym życiem jest trochę jak ze świecą i ćmą, która tak się zachwyca jasnością płomienia, że w końcu w nim ginie. Podobnie jest w życiu — jeśli dążymy do bogactwa i łatwych pieniędzy, nie zachowując i nie przestrzegając starych i świętych zasad, zginiemy w płomieniach.

— Ktoś umiera! — rzekła mała gdyż babcia, jedyna na świecie osoba, która ją kochała, ale umarła niedawno, mówiła jej zawsze, że ile razy gwiazdka spada z nieba, tyle razy duszyczka jakaś do Boga odchodzi.

I znowu potarła zapałkę, która zapłonęła wesoło i daleko rozświeciła ciemności, a w blasku tym dziewczynka ujrzała babunię, jaśniejącą i uśmiechniętą łagodnie.

— Babciu! Zabierz mnie z sobą! — zawołało biedactwo. Ja wiem, że Ty znikniesz zaraz, jak tylko zapałka zgaśnie — tak samo, jak zniknęły piec ciepły, i gęś pieczona, i śliczna choinka — I spiesznie potarła wszystkie pozostałe zapałki ażeby dłużej przytrzymać babcię, aż się jasno zrobiło dokoła, jaśniej jeszcze aniżeli w dzień biały. Nigdy jeszcze babcia nie była taka ładna i duża; wzięła swoją małą wnuczkę na rękę i wśród tego wesela i światłości uleciała z nią wysoko, tam, gdzie niema ani głodu, ani bojaźni i strachu — prosto do Boga!

Nazajutrz zaś rano w kąciku pomiędzy domami siedziała mała dziewczynka z rumianą buzią i uśmiechem na ustach: zmarzła, zmarzła na śmierć w ostatnią noc starego roku. Ranek noworoczny zaświtał nad biednym ciałkiem, które siedziało jeszcze z zapałkami w fartuszku; cała jedna paczka była prawie do szczętu spalona.

— Chciała się ogrzać przy nich — mówili ludzie. Ale nikt nie wiedział, ile śliczności widziała i w jakim blasku odeszła z babką zakosztować uciech Nowego Roku.

H.Ch. Andersen: Bajki.- Warszawa, 1937

Zakończenie

Pierwszy raz piszę książkę i są to dla mnie zupełnie nowe doświadczenia. Przyznam, że spodziewałem się iż po napisaniu tekstów, wystarczy przekazać je osobom, które zajmują się profesjonalnie korektą i już. Wszystko będzie poprawione. Ktoś kto z kolei zajmuje się „designem" i składem, przygotuje książkę do druku i to też będzie tylko kilka dni. Dalej tylko drukarnia wydrukuje określony nakład i wszystko będzie super. Ale tylko tak myślałem - fajnie i szybko.

Poprawianie tekstów zajęło chyba więcej czasu niż ich napisanie. Zaangażowałem do korekty kilka osób. Szybko zorientowałem się, że każdy korektor ma swój styl i charakter. Zdarzyło się, że po przeczytaniu poprawionego tekstu miałem wrażenie, że jest to inne opowiadanie. Zmiana szyku zdań, słów spowodowała, że teksty były literacko bardzo wygładzone i poprawne, ale straciły swój emocjonalny charakter i myśli tam zawarte. Niektóre teksty poznikały, mówiąc brutalnie zostały powycinane. Tak więc teksty do korektorów trafiły co najmniej trzy a nawet więcej razy a ja też musiałem je za każdym razem sprawdzać.

Poza książką cały czas miałem na swoich barkach całą Fundację. Zaczynają się wakacje. Podjęliśmy ryzyko ich zorganizowania, pomimo braku środków, ale co gorsza braku zgód w marketach na naszą działalność zarobkową.

Na finiszu książki, aby przyspieszyć jej wydanie i zyskać na czasie przestałem jeździć do domu. Długi weekend praktycznie spędziłem w biurze. Hania się na mnie obraziła i od tygodnia ze sobą nie rozmawiamy. W domu nie byłem już prawie dwa tygodnie, ale za to na dniach książka będzie oddana do składu. Jeśli tam nie będzie żadnych niespodzianek to powinna zostać wydana do połowy lipca Anno Domini 2011.

Mieliśmy jeszcze czterech praktykantów. Naszych wolontariuszy z zagranicy. Akurat teraz dziewczyna, która zajmuje się u nas praktykami sama wyjechała na swoje praktyki doktoranckie i ja przyjąłem na siebie obowiązek opieki nad naszymi gośćmi z zagranicy. Kolejny czas odebrany książce.

Wychodzi na to, że od napisania pierwszych wersów książki długopisem na starych, gdzieś zachowanych kartkach papieru A4 w kratkę, do wydrukowania upłynie 100 dni.

Na początku nosiłem się z zamiarem opisania w jednej książce wszystkich dziejów i przygód, jakie mogę opowiedzieć. Ale okazało się, że jest tego tak dużo, że powstanie książki mogłoby potrwać do przyszłego roku. Tak więc postanowiłem zakończyć opowiadanie na okresie pomiędzy rokiem 1998/2003 działalności Fundacji. Myślę że i tak tego nie jest mało i są Państwo usatysfakcjonowani niniejszą lekturą.

Mam nadzieję że wkrótce będzie dostępna następna książka opisującej kolejne lata działalności Fundacji od 2004 do 2012 roku. Dowiecie się jak drużyna baśniowa uratowała „Dziewczynkę z zapałkami", dlaczego groziło jej niebezpieczeństwo i skąd przybyła ta niezwykła pomoc.

Kolejnym ciekawym opowiadaniem będzie historia o tym, jak wytoczono proces „Dziewczynce z zapałkami", jak sąd skierował na badania psychiatryczne prezesa Fundacji i dlaczego i co z tego wyszło.

Oczywiście nie zabraknie propozycji korupcyjnej i to nawet niejednej, nie zabraknie prób przeciwstawienia się naszemu stwórcy.

O tym wszystkim już w następnej książce.

Fajnie podsumowała całą sprawę moja mama: „Piotrek, tyle rzeczy w życiu robiłeś, tyle zawodów miałeś a teraz zostałeś pisarzem".

Jeszcze raz dziękuję wszystkim przyjaciołom „Dziewczynki z zapałkami", ludziom, których mogę nigdy nie poznać a zawsze będę pamiętał o ich pomocy. Dziękuję wszystkim tym, których znam, nauczycielom zaangażowanym w pomoc dzieciom, dyrektorom i prezesom sieci handlowych, którzy pomogli i wpuścili „dziewczynkę z zapałkami" pod swoje strzechy. Ogromne podziękowania należą się także wszystkim naszym wolontariuszom, a jest ich bardzo wielu. Licząc na przestrzeni tych wspaniałych, minionych lat, nawet kilkadziesiąt tysięcy.

Postanowiłem się nie golić dopóki nie skończę pracy nad książką. Na razie są to już dwa tygodnie, a dokładnie trzynaście dni.

Bardzo chciałem, by książka była dokładnym odzwierciedleniem sytuacji, które przeżyłem. Jednak po namowach osób, które znają się na rzeczy, uległem i zmieniłem niektóre imiona i troszkę niektóre historie, aby nie kojarzyć tych spraw, które miały miejsca z konkretnymi

osobami i aby poprzez konkretne osoby nie kojarzyć konkretnych sytuacji. Celem tego zabiegu jest to, by nikt nie ucierpiał z powodu ukazania się tej książki.

Cały czas „dziewczynka z zapałkami" nie może sprzedawać swoich zapałek w największych sklepach kraju. Dlaczego jej tego zabroniono? Dlaczego nie pozwala się pracować Fundacji, znanej w Polsce od kilkunastu lat? Dlaczego spycha się na margines, Fundację, która stała się wzorem dla innych organizacji? Tysiące wolontariuszy w całym kraju czeka na decyzje, które pozwolą nam wykonywać naszą misję pomocy dzieciom. Czy to się zmieni? Czy jest w tym świecie miejsce dla małej, biednej i zziębniętej „dziewczynki z zapałkami"? W świecie ogromnych dysproporcji. W świecie zależności, korupcji, manipulacji i cierpień. W świecie rosnącej bezdomności, gdzie znany cytat: „Być albo nie być" staje się nie tylko filozoficznym rozważaniem. W świecie, gdzie coraz częściej wystawiane są na próbę nasze najwyższe wartości. W świecie obfitującym w coraz wymyślniejsze towary, gdzie coraz bardziej deficytowym towarem staje się miłość..

Jestem przekonany, że ta książka tchnęła w ciebie nowego ducha i dała cenną wiedzę mówiącą o historii, która wydarzyła się i dalej się tworzy, czasami obok ciebie, gdy przy zakupach, ktoś poprosi cię, byś kupił zapałkę „dziewczynki z zapałkami".

Jeśli chciałbyś o coś spytać, dowiedzieć się czegoś więcej skontaktuj się z nami wyślij na adres: email fundzz@gmail.com , zadzwoń 00 48 42 6310387 czy też wejdź do nas do Fundacji, do naszego baśniowego zamku miejsca zupełnie nie spotykanego, gdzie zawsze gość jest traktowany zgodnie z zasadami naszych pradziadów „Gość w dom, Bóg w dom".

„Dziewczynka z zapałkami" wzywa i prosi cię o pomoc - nie pozwól by od nas odeszła.

Kryzys coraz bardziej dokucza

Powstało dwadzieścia rozdziałów tej książki. Tak, jak planowałem opisałem dziesięć dni postu i dziesięć opowiadań. Wszystko razem przekroczyłoby objętościowo sporo ponad dwieście stron książki. Pojawił się więc problem wysokiego kosztu druku. Aby tego uniknąć z bólem w sercu postanowiliśmy podzielić książkę na dwie części. Ale będzie ona tańsza, przez co będzie bardziej dostępna dla Państwa. W tych czasach, kiedy kryzys zaczyna dotykać wielu z nas, ma to ogromne znaczenie, by ta książka dotarła do jak największej ilości czytelników, którzy będą zainteresowani przeczytaniem publikacji o losach „Dziewczynki z zapałkami".

Tę część kończymy na środzie — szóstym dniu postu i aferze podsłuchowej. W drugiej części będą opisane kolejne dni do dziesiątego dnia postu włącznie, czyli niedzieli. Będą następne opowiadania, których może tytułów nie zdradzę, ale na pewno będzie ciekawie. Ufamy, że jak w tego typu sytuacjach sprawdzi się powiedzenie: „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło". Może mniejsza objętość zachęci też do czytania w czasach, w których, niestety, książka jako taka staje się coraz mniej popularna. Są jeszcze inne powody, ale o nich w kolejnych książkach.

Jeśli chcielibyście, by szybko ukazały się kolejne opowiadania o losach naszej baśniowej ale jakże realnej „Dziewczynce z zapałkami", wspierajcie nas. Wychowanie dzieci to nasza wspólna sprawa, a opieka i troska o nie to powinność nas wszystkich.

Jak można pomóc

Wiele projektów, które próbowaliśmy wdrożyć cały czas leży, póki co, na półce. Byłoby wspaniale, jeśli dzięki tej książce udałoby się zrealizować choć jeden z nich. Są na świecie organizacje np. Greenpeace i Amnesty International, które działają tylko dzięki dobrowolnym datkom, przelewanym co miesiąc na konto organizacji. Jest to tak zwane polecenie stałe w banku. Po złożeniu takiego polecenia bez naszego udziału bank co miesiąc przeleje kwotę na konto naszej Fundacji. Ja osobiście nawet nie mając zarobków wspieram w ten sposób Amnesty International. Pomimo mojej trudnej sytuacji, co miesiąc zasilam konto tej organizacji.

Wspaniale byłoby, gdyby znalazły się osoby, które zechciałyby w ten sposób wesprzeć naszą „Dziewczynkę z zapałkami". Wcale nie musi to być wielka kwota. Wystarczy chociaż kilkanaście złotych w sytuacji, gdy ktoś nie może sobie pozwolić na więcej. Na pewno pomogłoby to nam w przypadkach braku pozwoleń na naszą działalność sprzedaży baśniowych zapałek w sklepach. Póki co, jak czytaliście mają się one różnie i niestety nie pozwala to stabilnie funkcjonować i skupiać się na naszej pracy, której celem jest pomoc dzieciom.

Wystarczy wypełnić dwa formularze, jeden złożyć w swoim banku a drugi zachować. Pojedyncze, niewielkie nawet kwoty, którymi wesprą nas Państwo mogą zmienić dramatyczną na dziś sytuację organizacji. Jesteśmy w stanie zrobić o wiele więcej, ale bez Państwa wsparcia może to się nie udać.

Dziękujemy

P.S.

Dziewczynka z zapałkami wyrusza z drużyną baśniową w poszukiwaniu pomocy dla biednych dzieci. Chcemy dotrzeć nawet do innych, odległych krajów.

Jeśli ktoś miałby jakiś niepotrzebny rower, namiot, śpiwór a nawet samochód, chętnie skorzystamy w czasie naszej misji. Osoby mogące pomóc prosimy o kontakt telefoniczny pod numerem 42 631 03 87 lub e-mail: fundzz@gmail.com

Z góry dziękujemy za jakąkolwiek pomoc.

FUNDACJA **DZIEWCZYNKA Z ZAPAŁKAMI**

ZGODA NA OBCIĄŻENIE RACHUNKU

NINIEJSZYM UPOWAŻNIAM:

Nazwa i adres	IDENTYFIKATOR NIP WIERZYCIELA									
FUNDACJA **DZIEWCZYNKA Z ZAPAŁKAMI** **ul. Gdańska 29, 90-715 Łódź**	**7**	**2**	**5**	**1**	**7**	**9**	**9**	**6**	**6**	**5**

Do obciążania wskazanego poniżej rachunku bankowego w formie polecenia zapłaty niżej podanymi kwotami w terminie do 10. dnia każdego miesiąca, poczynając od miesiąca ..... / ..... roku

Nazwa i dokładny adres ofiarodawcy - posiadacza rachunku bankowego:

IMIĘ/IMIONA .....

NAZWISKO .....

DATA URODZENIA .....

ULICA .....

NR DOMU ..... NR MIESZKANIA .....

MIASTO .....

KOD POCZTOWY.....

NR TELEFONU .....

ADRES E-MAIL .....

Z NUMERU RACHUNKU BANKOWEGO OFIARODAWCY

NA RACHUNEK WIERZYCIELA: **63 1320 144926334 96120000001**

IDENTYFIKATOR PŁATNOŚCI

Niniejszy dokument stanowi jednocześnie zgodę dla banku na obciążenie mojego rachunku bankowego w formie polecenia zapłaty z tytułem dokonania przeze mnie darowizny na rzecz Fundacji. Cofnięcie zgody wymaga formy pisemnej, pod rygorem nieważności. Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację, zgodnie z ustawą z dnia 29 sierpnia 1997 roku o ochronie danych osobowych (tekst jedn.: Dz. Ustaw z 2002 nr 101, poz. 926 wraz z późniejszymi zmianami).

DOTACJA MIESIĘCZNA PLN

.....
miejsce/data

..... podpis ofiarodawcy - posiadacza rachunku zgodny z wzorem złożonym w banku.

OTRZYMUJE BANK

Wypełniony druk złóż w swoim banku lub wyślij na adres Fundacji

FUNDACJA **DZIEWCZYNKA Z ZAPAŁKAMI**

ZGODA NA OBCIĄŻENIE RACHUNKU

NINIEJSZYM UPOWAŻNIAM:

Nazwa i adres	IDENTYFIKATOR NIP WIERZYCIELA									
FUNDACJA **DZIEWCZYNKA Z ZAPAŁKAMI** **ul. Gdańska 29, 90-715 Łódź**	**7**	**2**	**5**	**1**	**7**	**9**	**9**	**6**	**6**	**5**

Do obciążania wskazanego poniżej rachunku bankowego w formie polecenia zapłaty niżej podanymi kwotami w terminie do 10. dnia każdego miesiąca, poczynając od miesiąca ..... / ..... roku

Nazwa i dokładny adres ofiarodawcy - posiadacza rachunku bankowego:

IMIĘ/IMIONA .....

NAZWISKO .....

DATA URODZENIA .....

ULICA .....

NR DOMU ..... NR MIESZKANIA .....

MIASTO .....

KOD POCZTOWY.....

NR TELEFONU .....

ADRES E-MAIL .....

Z NUMERU RACHUNKU BANKOWEGO OFIARODAWCY

NA RACHUNEK WIERZYCIELA: **63 1320 144926334 96120000001**

IDENTYFIKATOR PŁATNOŚCI

Niniejszy dokument stanowi jednocześnie zgodę dla banku na obciążenie mojego rachunku bankowego w formie polecenia zapłaty z tytułem dokonania przeze mnie darowizny na rzecz Fundacji. Cofnięcie zgody wymaga formy pisemnej, pod rygorem nieważności. Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację, zgodnie z ustawą z dnia 29 sierpnia 1997 roku o ochronie danych osobowych (tekst jedn.: Dz. Ustaw z 2002 nr 101, poz. 926 wraz z późniejszymi zmianami).

DOTACJA MIESIĘCZNA PLN

.....
miejsce/data

..... podpis ofiarodawcy - posiadacza rachunku zgodny z wzorem złożonym w banku.

OTRZYMUJE BANK

Wypełniony druk złóż w swoim banku lub wyślij na adres Fundacji

Nagroda

Nie mogę nie skorzystać z okazji, by poprosić o pomoc w odnalezieniu naszego baśniowego lwa. Był to ulubieniec dzieci, który podróżował po Polsce w czasie wakacji 2007. Ostatnio widziano go w Krakowie na poddaszu hostelu „A kuku", przy ulicy Św. Tomasza 8. W hostelu powiedziano nam, że wystawiono go przy śmietniku.

Opiszę króciutko jsak wyglądał: bardzo duża głowa, solidnie wykonana z laminatu, pomalowana na kolor jasno-brązowy — chociaż kolor można zawsze zmienić — wielka grzywa i wąsy zrobione z długich, wąskich, pociętych gąbek również pomalowanych, cały tułów uszyty z brązowo-beżowej tkaniny, by lew mógł bawić dzieci.

Do środka lwa trzeba było wejść we dwie osoby. Jedna stała i wkładała głowę druga stała za nią i musiała być pochylona, aby rękoma trzymać się w pasie tej pierwszej, która miała założoną głowę. Obie były jakby ukryte i nie widoczne pod skórą wykonaną z dzianiny w tym samym kolorze co głowa. Oczywiście lew miał długi, piękny ogon. Miał też cztery specjalne buty, które były łapami.

Nasze dzieci a my wraz z nimi bardzo przeżywamy utratę naszego ukochanego przyjaciela i nie możemy o nim zapomnieć. Wdzięczni będziemy za każdą informację o nim i za pomoc w jego odnalezieniu przewidujemy wysoką nagrodę. W załączeniu obrazek naszego zwierzaka.

Osoby mogące pomóc prosimy o kontakt telefoniczny pod numerem 42 631 03 87 lub e-mail: fundzz@gmail.com

Na okładce książki umieściliśmy zdjęcie naszego przyjaciela lwa.